

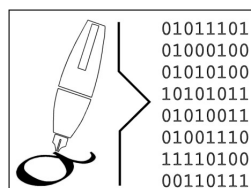
Michael Crichton

Trzynasty Wojownik

Przekład: Aleksandra Niemircz

Wydanie oryginalne: 1976

Wydanie polskie: 1997



Williamowi Howellsowi

Nie chwal dnia, dopóki nie nadejdzie wieczór; kobiety, dopóki jej nie spalą; miecza, dopóki go nie wypróbowano; panny, dopóki nie wyjdzie za mąż; lodu, dopóki po nim nie przejdiesz; piwa, dopóki nie zostanie wypite.

Przysłowie wikingów

Zło istnieje od dawna.

Przysłowie arabskie

WSTĘP

Rękopis ibn-Fadlana stanowi najwcześniejszą znaną relację naocznego świadka o życiu i społeczności wikingów. Jest to niezwykle cenny dokument, opisujący barwnie i szczegółowo wypadki, które zdarzyły się ponad tysiąc lat temu. Rękopis ten, rzecz jasna, nie przetrwał w stanie nienaruszonym w ciągu tego ogromnie długiego czasu. Ma on własną osobliwą historię, nie mniej godną uwagi niż sam tekst.

POCHODZENIE RĘKOPISU

W czerwcu A.D. 921 kalif Bagdadu wysłał członka swego dworu, Ahmeda ibn-Fadlana, z misją poselską do króla Bułgarów. Ibn-Fadlan spędził w podróży trzy lata i właściwie nigdy nie wypełnił tej misji, ponieważ na swej drodze napotkał wikingów i przeżył wśród nich wiele przygód.

Kiedy w końcu powrócił do Bagdadu, opisał swoje przeżycia w formie urzędowego sprawozdania dla dworu. Ten oryginalny rękopis dawno temu zaginął, więc aby go odtworzyć, musimy oprzeć się na nielicznych fragmentach zachowanych w późniejszych źródłach.

Najbardziej znane spośród nich to arabski leksykon geograficzny, napisany przez Yakuta ibn-Abdallaha około XIII wieku. Yakut zamieścił w nim niemal tuzin dosłownych wyjątków z relacji ibn-Fadlana, która liczyła wówczas trzysta lat. Należy przypuszczać, że Yakut korzystał z kopii oryginału. Mimo to późniejsi uczeni bez końca tłumaczyli i poprawiali kolejne przekłady tych kilku ustępów.

Inny fragment został odkryty w Rosji w roku 1817 i opublikowany w Niemczech przez Akademię St. Petersburgską w 1823 roku. Materiał ten zawiera pewne fragmenty uprzednio opublikowane przez J. L. Rasmussena w roku 1814. Rasmussen wykorzystał rękopis wątpliwego pochodzenia, który znalazł w Kopenhadze, a który od tamtej pory dawno już zaginął. W owym czasie istniały również tłumaczenia szwedzkie, francuskie i angielskie, ale są one rażąco niedokładne i najwyraźniej nie zawierają żadnego nowego materiału.

W roku 1878 w prywatnej kolekcji starożytności sir Johna Emersona, ambasadora brytyjskiego w Konstantynopolu, odkryto dwa nowe rękopisy. Sir John był najwidoczniej jednym z tych chciwych kolekcjonerów, których żądza zdobywania przewyższa zainteresowanie konkretnym zdobytym przedmiotem. Rękopisy owe znaleziono po jego śmierci; nikt nie wie, gdzie je uzyskał i kiedy.

Jeden z nich to geografia napisana po arabsku przez Ahmeda Tusiego, wiarygodnie datowana na A.D. 1047. Czyni to rękopis Tusiego chronologicznie bliższym niż jakikolwiek inny oryginału ibn-Fadlana, który przypuszczalnie powstał około A.D. 924-926. Uczeni uważają jednak rękopis Tusiego za najmniej pewny ze wszystkich źródeł; tekst pełen jest oczywistych błędów i wewnętrznych niekonsekwencji i chociaż autor cytuje obficie pewnego „ibn-Faqiha”, który zwiedził krainę Północy, wiele autorytetów waha się, czy uznać ten dokument.

Drugi rękopis to tekst Amina Raziiego, datowany w przybliżeniu na lata 1565-1595. Napisany został po łacinie i, według autora, jest bezpośrednim tłumaczeniem tekstu ibn-Fadlana z arabskiego. Rękopis Raziiego zawiera informacje o Turkach Oguz i kilka ustępów dotyczących bitew z potworami z mgieł, których nie znaleziono w innych źródłach.

W roku 1934 w klasztorze w Ksymos koło Salonik w północno-wschodniej Grecji odkryto ostatni tekst, pisany średniowieczną łaciną. Rękopis z Ksymos zawiera dalsze uwagi o stosunkach ibn-Fadlana z kalifem i o jego zetknięciu się ze stworami z krainy Północy. Zarówno autorstwo, jak i czas powstania rękopisu są niepewne.

Porównanie tych wielu wersji i tłumaczeń, które powstawały w ciągu ponad tysiąca lat, a pisane były po arabsku, łacinie, niemiecku, francusku, duńsku, szwedzku i angielsku, jest przedsięwzięciem ogromnej miary. Mogłaby się z nim zmierzyć jedynie osoba o wielkiej erudycji, obdarzona dużymi zasobami energii; w roku 1951 taki człowiek się znalazł. Per Fraus-Dolus, emerytowany profesor Wydziału Literatury Porównawczej Uniwersytetu w Oslo, zestawił wszystkie znane źródła i rozpoczął wielkie dzieło tłumaczenia, którym zajmował się aż do swojej śmierci w 1957 roku. Fragmenty jego nowego przekładu zostały opublikowane w „Sprawozdaniach Muzeum Narodowego w Oslo: 1959-1960”, ale nie wzbudziły wielkiego zainteresowania wśród uczonych, prawdopodobnie dlatego, że czasopismo to ma dość ograniczony zasięg.

Przekład Frausa-Dolusa był całkowicie dosłowny; we wstępie zamieścił on uwagę, że „w naturze języków leży to, iż piękne tłumaczenie nie jest wierne, tłumaczenie wierne zaś odnajdzie swą własną urodę bez pomocy”.

Przygotowując niniejszą pełną i opatrzoną przypisami wersję przekładu Frausa-Dolusa, dokonałem kilku zmian. Usunąłem pewne powtarzające się fragmenty; zostały one zaznaczone w tekście. Zmieniłem układ akapitów, rozpoczynając każdą cytowaną bezpośrednio wypowiedź od nowego wiersza, zgodnie z konwencją współczesną.

Opuściłem znaki diakrytyczne w nazwach arabskich. Wreszcie, w niektórych przypadkach, przekształciłem oryginalną składnię, głównie poprzez przestawienie szyku zdań podrzędnych tak, aby łatwiej było uchwycić sens.

WIKINGOWIE

Portret wikingów nakreślony przez ibn-Fadlana różni się znacznie od tradycyjnego europejskiego wyobrażenia o nich. Pierwsze europejskie opisy wikingów zostały sporządzone przez duchownych; byli oni w owym czasie jedynymi obserwatorami, którzy umieli pisać; postrzegali tych pogańskich ludzi Północy z osobliwym przerażeniem. Oto cytowany przez D. M. Wilsona typowo hiperboliczny ustęp, pióra dwunastowiecznego irlandzkiego pisarza:

Słowem, choćby nawet było sto głów z hartowanego żelaza na jednej szyi, i sto ostrych, gotowych, chłodnych, nigdy nie rdzewiejących języków w każdej głowie, i sto gadatliwych, donośnych, nieustających głosów dobiegających z każdego języka, nie mogłyby one opisać ani opowiedzieć, wyliczyć ani wyrazić tego, co wszyscy Irlandczycy wspólnie wycierpieli, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, świeccy i duchowni, starzy i młodzi, szlachetnie urodzeni plebejusze, z powodu niedoli, ucisku i krzywd wyrządzonych w każdym domu przez tych odważnych, gniewnych, całkowicie pogańskich ludzi.

Współcześni uczeni uważają, że takie mrozące krew w żyłach relacje o najazdach wikingów są w znacznym stopniu wyolbrzymione. Mimo to autorzy europejscy wciąż mają tendencje do pomijania Skandynawów, uznają ich za krwiożerczych barbarzyńców, nieistotnych z punktu widzenia głównego nurtu zachodniej kultury i myśli. Często dzieje się tak nawet kosztem oczywistej logiki. Na przykład David Talbot Rice pisze:

Od VIII do XI wieku rola i wpływ wikingów były może istotnie bardziej znaczące niż rola jakiegokolwiek innej pojedynczej grupy etnicznej w Europie Zachodniej... Wikingowie byli zaiste wielkimi podróżnikami i dokonywali największych wyczynów żeglarskich; ich miasta były wielkimi centrami rzemiosła i handlu; ich sztuka była oryginalna, twórcza i inspirująca; szcycili się wspaniałą literaturą i rozwiniętą kulturą. Czy naprawdę była to pewna cywilizacja? Należy, jak sądzę, uznać, że nie. Zabrakło tej odrobiny humanizmu, który jest stemplem probierczym cywilizacji.

Taką samą postawę wyraża w niniejszej opinii lord Clarc:

Kiedy bierze się pod uwagę sagi islandzkie, stawiane w rzędzie wielkich ksiąg ludzkości, trzeba przyznać, że wikingowie wytworzyli pewną kulturę. Ale czy była to cywilizacja? Cywilizacja oznacza coś więcej niż energię i wolę, i siłę twórczą. Coś, czego dawni Skandynawowie nie mieli, a co, nawet w ich czasach, zaczynało ponownie pojawiać się w Europie Zachodniej. Jak mogę to zdefiniować? Cóż, bardzo krótko: zmysł stałości. Wędrowcy i najeźdźcy żyli w strumieniu ciągłych zmian. Nie odczuwali potrzeby wybiegania myślą poza najbliższy marzec albo kolejną podróż czy następną bitwę. Z tego powodu nie zdarzało się im budowanie kamiennych domów czy spisywanie ksiąg.

Im uważniej czyta się takie opinie, tym bardziej wydają się nielogiczne. Doprawdy, należałoby się zastanowić, dlaczego gruntownie wykształceni i inteligentni uczeni europejscy z taką łatwością pomijają wikingów, traktując ich jedynie marginesowo. I skąd to zaabsorbowanie czysto semantycznym problemem — czy wikingowie posiadali „cywilizację”? Sytuację tę można wyjaśnić jedynie, jeśli dostrzeżę się zadawnione europejskie uprzedzenie, wynikające z tradycyjnych poglądów na prehistorię Europy. Na Zachodzie każde dziecię szkolne jest sumiennie nauczane, że Bliski Wschód to „kolebka cywilizacji” i że pierwsze cywilizacje wyrosły w Egipcie i Mezopotamii na pożywcze dorzeczcy Nilu i Tygrysu-Eufratu. Stamtąd cywilizacja rozprzestrzeniła się na Kretę i Grecję, następnie objęła Rzym, aż wreszcie dotarła do barbarzyńców z północnej Europy.

Co porabiali owi barbarzyńcy w czasie oczekiwania na nadejście cywilizacji — nie wiadomo; pytania tego nie stawiano zresztą zbyt często. Kładziono nacisk na sam proces rozprzestrzeniania się, który świętej pamięci Gordon Childe podsumował jako „opromienienie europejskiego barbarzyństwa cywilizacją Wschodu”. Uczeni współcześni podzielają ten pogląd, jak czynili to przed nimi myśliciele greccy i rzymscy. Geoffrey Bibby twierdzi: „Historia Europy Północnej i Wschodniej jest rozpatrywana z punktu widzenia Zachodu i Południa, ze wszystkimi uprzedzeniami ludzi, którzy uważając się za cywilizowanych, patrzą na tych, których uznali za barbarzyńców”.

Przy takim ujęciu Skandynawowie są, rzecz jasna, najdalszymi od źródła cywilizacji i, logicznie, ostatnimi, którzy ją przyswoili; toteż słusznie uważa się ich za największych barbarzyńców, za dokuczliwy cień w oku, zakałę dla pozostałych obszarów europejskich, usiłujących wchłonąć mądrość i cywilizację Wschodu.

Jest jednak pewien kłopot; otóż ten tradycyjny obraz prehistorii Europy został poważnie naruszony w ciągu ostatnich piętnastu lat. Rozwój technik dokładnego określania wieku na podstawie zawartości węgla wprowadził zamęt w dawnej chronologii, która zachowywała stare poglądy o dyfuzji. Obecnie rzeczą niepodważalną

jest to, że Europejczycy wznosili ogromne megalityczne grobowce, zanim Egipcjanie zbudowali piramidy; Stonehenge jest starsze niż cywilizacja Grecji mykeńskiej; metalurgia w Europie mogła wyprzedzać rozwój umiejętności metalurgicznych w Grecji i Troi. Znaczenie tych odkryć nie zostało jeszcze w pełni ocenione, ale z pewnością nie można już uważać prehistorycznych Europejczyków za dzikusów gnuśnie oczekujących na zesłanie dobrodziejstw wschodniej cywilizacji. Przeciwnie, wydaje się, że owi Europejczycy mieli dostatecznie duże zdolności organizacyjne, pozwalające obrabiać olbrzymie kamienie; wydaje się również, iż posiadali imponującą wiedzę astronomiczną, która umożliwiła wybudowanie Stonehenge, pierwszego obserwatorium na świecie.

Tak więc trzeba zweryfikować europejską stronniczość wobec cywilizowanego Wschodu, samo zaś pojęcie „europejskiego barbarzyństwa” wymaga doprawdy świeżego spojrzenia. Jeśli wziąć to pod uwagę, owe barbarzyńskie niedobitki, wikingowie, nabierają nowego znaczenia, my zaś możemy ponownie zanalizować to, co wiadomo o Skandynawach z X wieku.

Przede wszystkim powinniśmy sobie uświadomić, że „wikingowie” nie byli nigdy wyraźnie jednolitą grupą. To, co widywali Europejczycy, to były rozproszone, pojedyncze drużyny żeglarzy, pochodzących z rozległego obszaru geograficznego — Skandynawia jest większa niż Portugalia, Hiszpania i Francja razem wzięte — którzy wyruszyli ze swoich państw feudalnych w celu handlowym lub pirackim, czy też w obu tych celach naraz; wikingowie słabo je rozróżniali. Ale tendencja taka jest charakterystyczna dla wielu żeglarzy, od Greków po Anglików z czasów królowej Elżbiety.

W gruncie rzeczy, jak na ludzi, którym brakowało cywilizacji, którzy „nie odczuwali potrzeby wybiegania... poza następną bitwę”, wikingowie przejawiają nadzwyczaj wytrwałe i celowe zachowania. Dowód szeroko rozprzestrzenionego handlu, arabskie monety — pojawiają się w Skandynawii już A.D. 692. W ciągu następnych czterystu lat kupcy-piraci wikingowie dotarli na zachodzie aż do Nowej Fundlandii, na południu aż na Sycylię i do Grecji (gdzie pozostawili nacięcia na lwach z Delos), na wschodzie zaś aż po Góry Uralskie w Rosji, gdzie ich kupcy łączyli się z karawanami przybywającymi z jedwabnego szlaku do Chin. Wikingowie nie byli budowniczymi imperium i powszechnie uważa się, że ich wpływy na tym rozległym obszarze nie były trwałe. Jednakże były one dość trwałe, by pozostawić nazwy miejscowości w wielu okolicach w Anglii, co zaś do Rosji — wikingowie dali nazwę samemu narodowi, od normańskiego plemienia Ruś. Jeśli chodzi o mniej uchwytne wpływy ich pogańskiego wigoru, niewyczerpanej energii i systemu wartości, rękopis ibn-Fadlana pokazuje, jak wiele typowych cech i postaw wikingów zachowało się do dnia dzisiejszego. Doprawdy, jest w sposobie życia wikingów coś uderzająco bliskiego współczesnej wrażliwości, coś głęboko pociągającego.

Należy powiedzieć parę słów o autorze manuskryptu ibn-Fadlanie, człowieku, który przemawia do nas tak wyrazistym głosem, pomimo upływu ponad tysiąca lat i filtru kopistów i tłumaczy, należących do tuzina tradycji językowych i kulturowych.

Nie wiemy prawie nic o jego sprawach osobistych. Najwidoczniej był wykształcony i, sądząc z jego bohaterskich wyczynów, z pewnością nie był zbyt stary. On sam zaś wyraźnie stwierdza, że pozostawał w bliskich stosunkach z kalifem, którego nie darzył szczególną sympatią. (Nie był w tym odosobniony, gdyż kalifa al-Muqtadira dwukrotnie odsuwano od władzy, a w końcu został zabity przez jednego ze swych wyższych urzędników).

O społeczeństwie, z którego się wywodził, wiemy więcej. W X wieku Bagdad, Miasto Pokoju, był najbardziej ucywilizowanym miastem na ziemi. Wewnątrz jego słynnych okrężnych murów żyło ponad milion mieszkańców. Bagdad był centrum intelektualnym i handlowym, miastem o wyjątkowym wdzięku, elegancji i przepychu. Były tam pachnące ogrody, chłodne cieniste altany i nagromadzone bogactwa ogromnego imperium.

Arabowie z Bagdadu, choć byli muzułmanami żarliwie wyznającymi swoją religię, pozostawali otwarci na wpływy ludów, które wyglądały, postępowały i wierzyły inaczej niż oni. W tych czasach Arabowie byli w istocie najmniej zaściankowymi ludźmi na świecie, co czyniło ich doskonałymi obserwatorami obcych kultur.

Sam ibn-Fadlan to człowiek bezsprzecznie inteligentny i spostrzegawczy. Interesuje się zarówno szczegółami życia codziennego, jak i wierzeniami ludzi, których spotyka. Wiele z tego, co ogląda, uderza go jako prostackie, nieprzyzwoite i barbarzyńskie, ale nie traci on zbyt dużo czasu na oburzanie się; jeżeli niekiedy wyrazi swą dezaprobatę, szybko powraca do swoich bezpośrednich obserwacji. A opisuje to, co widzi, z nadzwyczajną małą protekcjonalnością.

Jego sposób relacjonowania może wydawać się dziwaczny, rażący wobec zachodniej delikatności uczuć; nie opowiada on tak, jak przyzwyczailiśmy się słuchać. Mamy skłonność do zapominania, że nasz własny zmysł dramatu wywodzi się z tradycji ustnej — z przedstawienia na żywo, wykonywanego przez barda przed publicznością, która często bywała niespokojna i niecierpliwa albo też ośpała po nazbyt obfitym posiłku. Nasze najstarsze opowieści — *Iliada*, *Beowulf*, *Pieśń o Rolandzie* — przeznaczone były do śpiewania przez pieśniarzy, którzy przede wszystkim mieli dostarczać rozrywki.

Ale ibn-Fadlan był pisarzem, a jego zasadniczym celem nie miała być rozrywka. Nie było nim też sławienie jakiegoś słuchającego go protektora ani utrwalanie mitów społeczności, w której żył. Wręcz przeciwnie, był on posłem sporządzającym sprawozdanie; jego ton jest tonem rewidenta podatkowego, nie barda; antropologa, nie dramaturga. Istotnie, ibn-Fadlan często wycisza najbardziej ekscytujące elementy swej narracji, nie chcąc, by zakłóciły klarowny i wyważony opis.

Czasami owa beznamiętność jest tak irytująca, że nie udaje nam się dostrzec, jak nadzwyczajnym był obserwatorem. W ciągu setek lat po ibn-Fadlanie tradycją wśród podróżników stało się pisanie wyssanych z palca, fantastycznych kronik o cudzoziemskich dziwach — gadających zwierzętach, skrzydlatych ludziach, którzy fruwali, o spotkaniach z potworami o wielkich cielskach i z jednoróżcami. Jeszcze nie tak dawno, bo dwieście lat temu, trzeźwi skądinąd Europejczycy wypełniali swoje dzienniki opowieściami o afrykańskich pawianach toczących walki z rolnikami i podobnymi nonsensami.

Ibn-Fadlan nigdy nie spekuluje. Każde jego słowo brzmi prawdziwie, a ilekroć przytacza fakt, o którym tylko słyszał, starannie to *zaznacza*. W równym stopniu dba o podkreślenie zdarzeń, w których występuje jako naoczny świadek; oto dlaczego często powtarza zdanie: „Widziałem to na własne oczy”.

I właśnie owa prawdziwość czyni opowieść ibn-Fadlana tak przerażającą. O spotkaniu z potworami z mgieł „zjadaczami umarłych”, pisze z taką samą dbałością o szczegóły, z takim samym ostrożnym sceptycyzmem, jakie cechują pozostałe partie rękopisu.

W każdym razie czytelnik może sam to osądzić.

WYJAZD Z MIASTA POKOJU

Chwała niech będzie Bogu Miłosiernemu, Współczującemu, Panu Dwóch Światów, a błogosławieństwo i pokój Księciu Proroków, naszemu Panu i Mistrzowi Mahometowi, którego Bóg błogosławi i zachowuje w trwałym i nieustającym pokoju i szczęściu aż do Dnia Wiary!

Oto księga Ahmada ibn-Fadlana, ibn-al-Abbasa, ibn-Rasida, ibn-Hammada, podopiecznego Muhammada ibn-Sulaymana, posła al-Muqtadira do króla Saqalibów, w której szczegółowo opowiada on o tym, co widział w kraju Turków, Chazarów, Saqalibów, Baszkirów, Rusów i ludzi Północy, oraz o dziejach ich królów i o zwyczajach, jakimi się oni kierują w wielu dziedzinach swego życia.

List Yiltawara, króla Saqalibów, dotarł do Przywódcy Wiernych, al-Muqtadira. Prosił on w nim o przysłanie kogoś, kto nauczyłby go religii i zapoznał z prawami islamu; kto wybudowałby dla niego meczet i wzniósł dlań kazalnicę, z której można by było prowadzić misję nawracania ludu we wszystkich zakątkach jego królestwa; prosił także o udzielenie porad w sprawie budowy fortyfikacji i umocnień obronnych. Usilnie prosił on kalifa, aby zrobił wszystkie te rzeczy. Pośrednikiem w tej sprawie był Dadir al-Hurami.

Przywódca Wiernych, al-Muqtadir, jak powszechnie wiadomo, nie był potężnym i sprawiedliwym kalifem, lecz oddawał się przyjemnościom i nadstawiał ucha, by usłyszeć pochlebne mowy swoich urzędników, którzy robili z niego głupca i okrutnie szydzili zeń za jego plecami. Nie należałem do tej kompanii, nie byłem też szczególnym ulubieńcem kalifa z powodu, który wyjaśnię.

W Mieście Pokoju żył podstarzały kupiec imieniem ibn-Qarin, bogaty we wszystko z wyjątkiem szczodrego serca i miłości do ludzi. Skrzętnie ukrywał swe złoto, podobnie jak młodą żonę, której nikt nigdy nie widział, ale wszyscy opowiadali, że jest piękna ponad wszelkie wyobrażenie. Pewnego dnia kalif posłał mnie, bym doręczył ibn-Qarinowi wiadomość. Zgłosiłem się zatem w domu kupca i zażądałem, aby mnie wpuszczono z listem i pieczęcią. Do dziś nie znam treści tego listu, ale to nie ma znaczenia.

Kupca nie było, załatwiał jakieś sprawy poza domem; wytłumaczyłem odźwiernemu, że muszę oczekiwać jego powrotu, skoro kalif polecił, bym koniecznie osobiście przekazał owo pismo w jego ręce. Odźwierny wpuścił mnie zatem do środka; czynność ta zajęła mu trochę czasu, gdyż brama tego domu miała wiele rygli, zamków, krat i skobli, jak zwykle w mieszkaniach skąpców. Wreszcie zostałem wpuszczony i czekałem przez cały dzień, coraz silniej odczuwając głód i pragnienie, ale słudzy skąpego kupca nie zaproponowali mi pokrzepiającego poczęstunku.

W żarze popołudnia, kiedy wokół mnie cały dom był cichy, a słudzy spali, ja także poczułem się senny. Wówczas ujrzałem przed sobą zjawę w bieli, kobietę młodą i piękną; pojąłem, że była to ta właśnie żona, której nigdy nie widział żaden mężczyzna. Nie odzywała się, ale posługując się gestami zaprowadziła mnie do innej komnaty, której drzwi zamknęła na klucz. Posiadłem ją natychmiast; nie potrzebowała ku temu zachęty, albowiem mąż jej był stary i bez wątpienia opieszały. Tak więc popołudnie mijało szybko, aż wreszcie usłyszeliśmy powracającego pana domu. Jego żona błyskawicznie wstała i wyszła, nie wymówiwszy nawet słowa w mojej obecności, ja zaś podniosłem się w pośpiechu, aby uporządkować swoje szaty.

Z pewnością zostałem przyłapany, gdyby nie owe liczne zamki i zasuw, które utrudniły skąpcowi wejście do jego własnego domu. Mimo to kupiec ibn-Qarin odkrył mnie w przyległej komnacie i przyglądał mi się podejrzliwie, pytając, dlaczego przebywałem tam, a nie na dziedzińcu, będącym stosownym miejscem oczekiwania dla posłańca. Odpowiedziałem, że czując się głodny i słaby, poszukiwałem żywności i cienia. Było to kiepskie kłamstwo, toteż w nie nie uwierzył; poskarżył się kalifowi, ten zaś, o czym wiedziałem, w duchu był rozbawiony, jednakże publicznie musiał okazać surowość. Tak więc, gdy władca Saqalibów poprosił o misję od kalifa, ten sam mściwy ibn-Qarin nalegał, abym to właśnie ja zostałem wysłany; tak też się stało.

W naszej grupie był poseł króla Saqalibów, o imieniu Abdallah ibn-Bastu al-Hazari, nudny i napuszony człowiek, który mówił zbyt wiele. Byli w niej także Takin al-Turki i Bars al-Saqłabi, obydwaj jako przewodnicy tej wyprawy, jak również ja. Wieźliśmy dary dla władcy, jego żony, dzieci i jego dowódców. Zabraliśmy także pewne leki, które powierzono pieczy Sausana al-Rasiego. To była nasza grupa.

Tak oto wyruszyliśmy we czwartek 11 Safara roku 309 [21 czerwca 921 roku] z Miasta Pokoju [Bagdad]. Zatrzymaliśmy się na dzień w Nahrawanie, a stamtąd posuwaliśmy się szybko, aż dotarliśmy do al-Daskary, gdzie stanęliśmy na trzy dni. Następnie wędrowaliśmy prosto przed siebie bez żadnego zbaczania z drogi, aż dojechaliśmy do Hulwanu. Przebywaliśmy tam dwa dni. Z Hulwanu przybyliśmy do Qirmisin, gdzie pozostaliśmy przez dwa dni. Potem ruszyliśmy i podążaliśmy naprzód, aż dotarliśmy do Hamadanu, gdzie zabawiliśmy przez trzy dni. Dalej podążaliśmy do Sawy i byliśmy tam przez dwa dni. Stamtąd przybyliśmy do Ray, gdzie pozostaliśmy przez jeden dzień.

dni, oczekując Ahmada ibn-Alego, brata al-Rasiego, ponieważ był on w Huwar al-Ray. Później sami pojechaliśmy do Huwar al-Ray i przebywaliśmy tam przez trzy dni.

Fragment niniejszy daje wyobrażenie o ibn-Fadlanowskich opisach podróży. Prawie w jednej czwartej rękopis pisany jest w ten sposób; autor wymienia po prostu nazwy osad i podaje liczbę dni spędzonych w każdej z nich. Większość tego materiału została pominięta.

Najwyraźniej członkowie wyprawy ibn-Fadlana wędrują na północ, aż wreszcie zostają zmuszeni do zatrzymania się na czas zimy.

Pobyty nasz w Gurganiyi trwał długo; spędziliśmy tam kilka dni miesiąca Radżab [listopad] oraz pełne trzy kolejne miesiące: Sza'ban, Ramadhan i Szawwal. Nasz długi postój spowodowany był ostrym mrozem. Zaprawdę, opowiadano mi, iż dwaj ludzie wzięli wielbłądy do lasu, aby przywieźć drewno. Zapomnieli jednakże wziąć ze sobą hubkę i krzesiwo, toteż zasnęli w nocy, nie rozpalając ogniska. Kiedy obudzili się następnego ranka, odkryli, że wielbłądy zamarły z zimna na kość.

Zaiste, widziałem rynek i ulice Gurganiyi zupełnie opustoszałe z powodu tego zimna. Można było przemierzać je wzdłuż i wszerz, nie spotykając nikogo. Pewnego razu, kiedy wyszedłem z kąpieli, wszedłem do domu i spojrzałem na swoją brodę; była ona jedną bryłą lodu. Musiałem ją odmrażać przy ogniu. Mieszkałem dzień i noc w domu położonym wewnątrz innego domu, w którym rozbity był turecki wojskowy namiot, ja sam zaś opatulałem się w wiele ubrań i futrzanych pledów. Ale, wbrew temu wszystkiemu, w nocy moje policzki często przywierały do poduszki.

Widziałem w tym najwyższym natężeniu zimna, jak ziemia tworzy czasem wielkie szczeliny, a ogromne i stare drzewa rozszczepiają się przez to na dwoje.

Mniej więcej w połowie Szawwala roku 309 [luty 922 roku] pogoda zaczęła się zmieniać, lód na rzece stopniał, my zaś zaopatrzyliśmy się w rzeczy niezbędne w dalszej podróży. Nabyliśmy tureckie wielbłądy i łodzie zrobione z wielbłądziej skóry, przygotowując się do przepraw przez rzeki, które mieliśmy przekraczać w ziemi Turków.

Załadowaliśmy zapasy chleba, prosa i solonego mięsa na trzy miesiące. Nasi znajomi w tym mieście udzielali nam wskazówek, byśmy założyli tyle odzienia, ile potrzeba. Odmalowywali czekające nas trudy straszliwymi słowami, my zaś sądziliśmy, że wyolbrzymiają je w swoich opowieściach, jednakże, kiedy sami ich doświadczyliśmy, trudy owe okazały się znacznie większe, niż nam mówiono.

Każdy z nas wdział koszulkę, na nią kaftan, na to wszystko tułup, a na wierzch jeszcze burkę oraz wojskowy hełm, z którego wyglądało tylko dwoje oczu. Mieliśmy także pojedyncze kalessy, na nich spodnie oraz kaptcie i na wierzch drugą parę butów. Kiedy

jeden z nas dosiadł wielbłąda, nie mógł się poruszyć z powodu swego odzienia.

Doktor praw, nauczyciel i giermkowie, którzy podróżowali wraz z nami z Bagdadu, opuścili nas teraz, obawiając się wkroczyć do tego nowego kraju, ja zaś, poseł, jego szwagier i dwaj giermkowie posuwaliśmy się naprzód¹.

Karawana była gotowa do wymarszu. Wzięliśmy sobie przewodnika spośród mieszkańców tego miasta, na imię miał Qlawus. I tak, pokładając ufność we wszechmocnym Bogu na wysokościach, wyruszyliśmy w poniedziałek trzeciego Dhu Al-Qa'da roku 309 [3 marca 922 roku] z miasta Gurganiya.

Tego samego dnia stanęliśmy w miasteczku o nazwie Zamgan, czyli u wrót kraju Turków. Następnego ranka, od wczesnej pory, posuwaliśmy się w kierunku Git. Padał tam tak gęsty śnieg, że wielbłądy zapadały się w nim aż po kolana; przeto zatrzymaliśmy się na dwa dni.

Następnie pospieszyliśmy prosto do ziemi Turków, nie spotykając nikogo na pustym, równinnym stepie. Dziesięć dni jechaliśmy konno w przejmującym zimnie i nieustannych burzach śnieżnych, w porównaniu z którymi chłód w Chorezm zdawał się jak letni dzień, tak że zapomniawszy o wszystkich naszych uprzednich niewygodach, byliśmy bliscy poddania się.

Pewnego dnia, kiedy doświadczyliśmy najdzikszego mrozu, giermek Takin jechał na koniu obok mnie wraz z jednym z Turków, który mówił coś do niego po turecku. Takin zaśmiał się i rzekł do mnie:

— Ten Turek powiada: „Cóż będzie z nas miał nasz Pan? Zabija nas zimnem. Gdybyśmy wiedzieli, czego żąda, ofiarowalibyśmy mu to”.

Odrzekłem na to:

— Powiedz mu, że chce On jedynie, abyśmy powiedzieli: „Nie ma Boga prócz Allaha”.

Turek roześmiał się i odparł:

— Gdybym to wiedział, powiedziałbym tak.

Następnie dotarliśmy do lasu, w którym było dużo suchego drewna, i zatrzymaliśmy się tam. Karawana rozpałała ogniska, rozgrzaliśmy się, zdjęliśmy ubrania i rozłożyliśmy je, by wyschły.

Najwidoczniej grupa ibn-Fadlana wkraczała w cieplejszy obszar, ponieważ nie notuje on żadnych dalszych uwag o wyjątkowym zimnie.

Ruszyliśmy znowu i jechaliśmy tak codziennie od północy aż do pory popołudniowej modlitwy — przyspieszając nieco od południa — a następnie zatrzymywaliśmy się. Kiedy przejechaliśmy w ten sposób konno piętnaście nocy, dotarliśmy do stóp ogromnej góry z licznymi wielkimi skałami. Są tam źródła, które wytryskują z owych skał, a woda gromadzi się w stawach. Z tego miejsca wędrowaliśmy dalej, aż przybyliśmy do tureckiego plemienia, które zwie się Oguz.

OBYCZAJE TURKÓW Z PLEMIENIA OGUZ

Oguzi są nomadami i mają domy z wołoku. Przebywają oni przez jakiś czas w jednym miejscu, a następnie wędrują dalej. Ich mieszkania są lokowane tu i ówdzie, zgodnie z obyczajem plemion koczowniczych. Mimo że wiodą ciężki żywot, są jak zbłąkane osły. Nie mają żadnych religijnych więzi z Bogiem. Nigdy się nie modlą, ale w zamian nazywają swoich przywódców Panami. Kiedy któryś z nich zasięga rady u swego przywódcy, mówi: „O Panie, jak mam postąpić w takiej a takiej sprawie?”. We wszelkich przedsięwzięciach opierają się jedynie na radach pochodzących od nich samych. Słyszałem ich mówiących: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”, ale mawiają tak jedynie po to, aby bardziej zbliżyć się do muzułmanów, a nie dlatego, że w to wierzą.

Władca Turków z plemienia Oguz nazywa się Yabgu. Takie jest imię władcy i każdy, kto rządzi tym plemieniem, nosi to imię. Jego poddany zawsze nazywa się Kudarkin, tak więc każdy podległy wodzowi zwie się Kudarkin.

Oguzi nie myją się po oddaniu stolca ani moczu, jak też nie kąpią się po wytrysku czy z innych powodów. W ogóle nie miewają do czynienia z wodą, a zwłaszcza w zimie.

Żadni kupcy ani inni mahometanie nie mogą dokonywać ablucji w ich obecności, chyba że w nocy, kiedy Turcy tego nie widzą, gdyż wpadają im w gniew i mówią: „Ten człowiek chce rzucić na nas urok, albowiem zanurza się w wodzie”, i zmuszają go do zapłacenia grzywny.

Żaden mahometanin nie może wjechać do kraju tureckiego, o ile ktoś z plemienia Oguz nie zgodzi się być jego gospodarzem, u którego będzie mieszkał i dla którego przywiezie szaty z kraju islamu, a dla jego żony pieprz, proso, rodzyunki i orzechy. Kiedy muzułmanin przybędzie do swego gospodarza, ten rozbija dla niego namiot i przyprowadza mu owcę, tak aby muzułmanin mógł sam zarznąć tę owcę. Turcy nigdy nie dokonują właściwego uboju; biją oni owcę po łbie tak długo, aż padnie martwa.

Kobiety z plemienia Oguz nigdy nie zasłaniają się w obecności mężczyzn, własnych ani obcych. Kobieta nie ukrywa też żadnej ze swych części ciała w czyjejkolwiek obecności. Pewnego dnia zatrzymaliśmy się u Turka; umieszczono nas w jego namiocie.

Była tam żona owego mężczyzny. Kiedy prowadziliśmy rozmowę, kobieta odsłoniła swój wzgórek łonowy i podrapała się weń, my zaś widzieliśmy, jak to czyniła. Zasłoniliśmy sobie twarze, mówiąc: „Boże, błagam o wybaczenie”. Na to jej mąż roześmiał się i rzekł do tłumacza:

— Powiedz im, że odsłaniamy łono w waszej obecności, tak że możecie zobaczyć je i się speszyć, ale jest ono nie do zdobycia. Tak jest lepiej, niż gdy się je ukrywa, a mimo to jest osiągalne.

Cudzołóstwo jest wśród nich nieznanne. Jeśli jednak kogokolwiek przyłapią na cudzołóstwie, rozrywają go na dwoje. Odbywa się to mniej więcej tak: przyciągają do siebie gałęzie dwóch drzew, przywiązują go do tych gałęzi i puszczają obydwie drzewa, tak że człowiek, który był do nich przywiązany, zostaje rozdarty na dwoje.

Obyczaj pederastii jest przez Turków uważany za straszliwy grzech. Zdarzyło się, że przybył do nich pewien kupiec; miał przebywać w klanie Kudarkin. Kupiec ten zamieszkał u swego gospodarza na czas nabywania owiec. Otóż gospodarz ów miał syna, młodzieńca bez zarostu, którego jego gość nieustannie usiłował sprowadzić na manowce, aż wreszcie chłopiec zgodził się zaspokoić jego żądzę. W tym właśnie momencie wszedł turecki gospodarz i przyłapał ich *in flagrante delicto*.

Turcy chcieli zabić kupca, a także tego syna za tak karygodny występki. Jednakże, wskutek usilnych błagań, kupcowi pozwolono uwolnić się za okupem. Zapłacił swemu gospodarzowi czterystoma owcami za to, co uczynił jego synowi, po czym pospiesznie wyjechał z ziemi Turków.

Wszyscy Turcy wyskubują sobie cały zarost z wyjątkiem wąsów.

Ich obyczaj małżeński jest następujący: jeden z nich prosi o rękę osoby płci żeńskiej, należącej do rodziny innego, za taką to a taką cenę. Opłatę małżeńską zazwyczaj stanowią wielbłądy, zwierzęta juczne i inne rzeczy. Nikt nie może wziąć sobie żony, dopóki nie wypełni zobowiązania, co do którego umówił się z mężczyznami z jej rodziny. Jeżeli je jednak wypełnił, wówczas przybywa bez żadnych ceregieli, wkracza do jej siedziby i bierze ją w obecności jej ojca, matki i braci, a oni mu tego nie bronią.

Jeśli umiera człowiek mający dzieci i żonę, wówczas poślubia ją najstarszy z jego synów, o ile nie jest ona jego matką.

Jeżeli któryś z Turków zachoruje, a ma niewolników, ci opiekują się nim, a nikt z jego rodziny się do niego nie zbliża. Rozbijają dla niego namiot z dala od domostw, a on nie wychodzi z niego, dopóki nie umrze lub nie wydobrzeje. Jednakże, jeśli jest on niewolnikiem lub człowiekiem biednym, pozostawiają go na pustyni i idą w swoją stronę.

Kiedy umiera jeden z ich najznacniejszych ludzi, kopią dla niego ogromny dół w kształcie domu, po czym udają się do niego, ubierają go w *qurtaq* z jego pasem i łukiem i wkładają mu do ręki drewniany kielich z napojem odurzającym. Zabierają

cały jego dobytek i składają w tym domu. Potem spuszcza ją tam również jego samego. Następnie budują nad nim kolejny dom i lepią z błota coś w rodzaju kopuły.

Później zabijają jego konie. Zabijają ich sto lub dwieście, tyle, ile ma, koło miejsca, na którym znajduje się grób. Zjadają ich mięso, pozostawiając głowę, kopyta, skórę i ogon, wszystko to bowiem zawieszają na drewnianych żerdziach i mówią: „Oto są jego rumaki, na których jedzie on do raju”.

Jeśli był to bohater i zabijał wrogów, rzeźbią drewniane posągi w liczbie odpowiadającej liczbie zabitych przez niego wrogów, i umieszczają je na jego grobowcu, mówiąc: „Oto są jego giermkowie, którzy usługują mu w raju”.

Czasami zwlekają z zabiciem koni przez dzień czy dwa, a wówczas jeden starzec spośród ich starszyny ponagla ich, opowiadając: „Widziałem we śnie zmarłego, który rzekł do mnie: «Tutaj oto mnie widzisz. Moi towarzysze wyprzedzili mnie, a moje stopy są zbyt słabe, bym za nimi nadążył. Nie mogę ich dogonić, przeto pozostałem sam»„. W takim przypadku ludzie ci zarzynają jego rumaki i zawieszają na jego grobowcu. Za dzień lub dwa ten sam członek starszyny przychodzi do nich i mówi: „Widziałem we śnie zmarłego, który powiedział: «Powiadom moją rodzinę, że wydostałem się z ciężkich tarapatów»„.

W ten sposób starzec ów chroni obyczaje Oguzów, inaczej bowiem mogłoby pojawić się u żywych pragnienie zachowania koni zmarłego².

Długo wędrowaliśmy po ziemiach tureckiego królestwa. Pewnego ranka wyszedł nam naprzeciw jeden z Turków. Był lichej postury, brudny, nieprzyjemny w obejściu i miał podły charakter. Zawołał:

— Stać!

Cała karawana zatrzymała się, posłuszna rozkazowi. Wówczas rzekł:

— Ani jeden z was dalej nie przejdzie.

Odpowiedzieliśmy:

— Jesteśmy przyjaciółmi Kudarkina.

Roześmiał się i rzekł:

— Kimże jest Kudarkin? Oddaję kał na jego brodę.

Nikt z nas nie wiedział, co czynić na te słowa, a wówczas Turek mruknął: *Bekend*, co znaczy „chleb” w języku chorezmijskim. Dałem mu kilka kromek chleba. Wziął je i powiedział:

— Możecie jechać dalej. Ulitowałem się nad wami.

Wjechaliśmy w obszar kontrolowany przez dowódcę armii, który nazywał się Etrek ibn-al-Qatagan. Rozbił on dla nas tureckie namioty i kazał nam w nich mieszkać. On sam zaś miał duże posiadłości, służbę i obszerną siedzibę. Przyprowadził nam owce, abyśmy mogli je zarzynać, i oddał do naszej dyspozycji wierzchowce do konnej jazdy. Turcy twierdzą, iż jest on ich najlepszym wojownikiem konnym, i zaprawdę, widziałem

pewnego dnia, gdy ścigał się z nami na swym koniu, a nad nami przelatywała dzika gęś, jak napiął swój łuk i, nie tracąc panowania nad rumakiem, strzelił do tej gęsi i strącił ją na ziemię.

Ofiarowałem mu ubiór z Merv, parę butów z czerwonej skóry, płaszcz brokatowy i pięć kaftanów z jedwabiu. Przyjął to wszystko z gorącymi słowami wdzięczności. Zdjął swój własny płaszcz z brokatu, aby wdziąć paradny strój, który mu właśnie dałem. Wówczas spostrzegłem, że *qurtaq*, który miał pod spodem, był postrzępiony i brudny, ale oni mają taki zwyczaj, że nigdy żaden z nich nie zdejmie odzienia, które nosi najbliżej ciała, dopóki się ono nie rozpadnie. Zaprawdę, także i on wyskubywał sobie cały zarost, nawet wąsy, tak że wyglądał jak eunuch. A mimo to, jak zauważyłem, był ich najlepszym jeźdźcem.

Wierzyłem, że tak wspaniałe dary zaskarbią nam jego przyjaźń, ale tak się nie stało. Był to człowiek zdradziecki.

Pewnego dnia posłał po najbliższych sobie przywódców, a byli to: Tarhan, Yanal i Glyz. Spośród nich Tarhan był najbardziej wpływowym; był on ułomny i ślepy, miał okaleczoną rękę. Następnie rzekł do nich:

— Oto są posłowie króla Arabów do wodza Bułgarów i nie mogę pozwolić im przejechać bez naradzenia się z wami.

Na to odezwał się Tarhan:

— To jest sprawa, jakiej nigdy jeszcze nie rozpatrywaliśmy. Nigdy poseł sułtana nie podróżował przez naszą krainę, odkąd jesteśmy tu my, odkąd byli tu nasi przodkowie. Czuję, że ten sułtan użył wobec nas podstęp. Ludzie ci zostali w rzeczywistości wysłani do Chazarów, aby podżegać ich przeciwko nam. Najlepiej porąbać tych posłów na dwoje, my zaś zabierzemy wszystko, co posiadają.

Inny doradca powiedział:

— Nie, powinniśmy raczej zabrać wszystko, co posiadają, a ich wypuścić nagich, tak aby mogli powrócić tam, skąd przybyli.

A kolejny radził:

— Nie, mamy jeńców u króla Chazarów, tak więc winniśmy posłać tych ludzi jako okup za ich uwolnienie.

Radzili tak pomiędzy sobą przez siedem dni, podczas gdy my znajdowaliśmy się w sytuacji bliskiej śmierci, aż wreszcie zgodzili się udostępnić drogę i pozwolić nam przejechać. Podarowaliśmy Tarhanowi jako wyraz szacunku dwa kaftany z Merv, a także pieprz, proso i kilka kromek chleba.

Wędrowaliśmy naprzód, aż dotarliśmy nad rzekę Bagindi. Tam wyciągnęliśmy nasze skórzane łodzie, wykonane ze skór wielbłądzych, rozłożyliśmy je i załadowaliśmy na nie towary, które wieźliśmy na tureckich wielbłądach. Kiedy każda łódź była wypełniona, wsiadały do niej grupy pięciu, sześciu lub czterech ludzi. Brali oni w dłonie gałęzie

brzozowe i, używając ich jako wiosł, wiosłowali wytrwale, podczas gdy woda znosiła łódź w dół rzeki i obracała ją w kółko. W końcu przeprawiliśmy się. Co do koni i wielbłądów, te przepłynęły w pław.

Przy przekraczaniu rzeki jest bezwzględnie konieczne, aby najpierw przepłynęła grupa uzbrojonych wojowników, zanim przeprowi się ktokolwiek z karawany, tak aby mogła ona utworzyć straż przednią, chroniącą przed atakiem Baszkirów w czasie, gdy główna grupa będzie przekraczała rzekę.

Tak też przeprawiliśmy się przez rzekę Bagindi, a potem w ten sam sposób przez rzekę o nazwie Gam. Następnie przez Odil, później przez Adrn, dalej przez Wars, przez Ahti i z kolei przez Wbnę. Wszystkie one to wielkie rzeki.

Następnie przybyliśmy do kraju Pieczyngów. Rozłożyli oni swoje obozowiska nad spokojnym jeziorem podobnym do morza. Są to ciemnoskórzy, silni ludzie, a ich mężczyźni golą zarost. W przeciwieństwie do Oguzów są oni biedni, widziałem bowiem ludzi z plemienia Oguz, którzy posiadali dziesięć tysięcy koni i sto tysięcy owiec. Ale Pieczyngowie są biedni; pozostaliśmy u nich tylko przez jeden dzień.

Potem ruszyliśmy dalej i dotarliśmy nad rzekę Gayih. Jest to największa, najszersza, najbardziej bystra z rzek, jakie widzieliśmy. Zaprawdę, widziałem, jak skórzana łódź wyrzuciła się w tej rzece do góry dnem, a ci, którzy w niej byli, utonęli. Wielu z naszej grupy zginęło, zatonięła też pewna liczba wielbłądów i koni. Z wielkim trudem przeprowiliśmy się przez tę rzekę. Później wędrowaliśmy dalej przez kilka dni, aż przekroczyliśmy rzekę Gaha, potem rzekę Azhn, następnie Bagag, później Smur, dalej Knal i Suh, wreszcie rzekę Kiglu. W końcu przybyliśmy do kraju Baszkirów.

Rękopis Yakuta zawiera krótki opis pobytu ibn-Fadlana wśród Baszkirów; wielu uczonych kwestionuje autentyczność tych fragmentów. Opisy, o których mowa, są niezwykle niejasne i nudne, składają się głównie ze spisów napotkanych przywódców i najznacniejszych ludzi. Sam zaś ibn-Fadlan stwierdza, że nie warto zawracać sobie głowy Baszkirami — jakże nietypowa uwaga jak na tego niezamordowanego w swojej ciekawości podróżnika.

Wreszcie opuściliśmy ziemie Baszkirów i przeprowiliśmy się przez rzekę Germansan, rzekę Urn, rzekę Urm, potem rzekę Wtig, rzekę Nbasnh, wreszcie przez rzekę Gawsin. Rzeki, o których wspominamy, są od siebie oddalone o dwa, trzy lub cztery dni podróży w każdym przypadku.

Następnie przybyliśmy do ziemi Bułgarów, która zaczyna się nad brzegiem rzeki Wołgi.

PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z NORMANAMI

Widziałem na własne oczy, jak Normanowie³ przybyli ze swoim dobytkiem i rozbili obóz wzdłuż brzegu Wołgi. Nigdy przedtem nie widziałem ludzi tak olbrzymich: są oni wysocy jak palmy, a cerę mają czerstwą i rumianą. Kobiety nie noszą staników ani kaftanów, mężczyźni zaś odziani są w ubiór z surowego płótna przerzuconego przez ramię tak, że jedna ręka pozostaje wolna.

Każdy Norman nosi topór, sztylet i miecz i nigdy nie widuje się ich bez tej broni. Miecze ich są szerokie, z wężykowatymi liniami, frankońskiego wyrobu. Od czubków paznokci aż po szyję każdy mężczyzna ma na ciele wytatuowane rysunki drzew, istot żywych i innych rzeczy.

Kobiety noszą przypiętą do piersi małą szkatułkę z żelaza, miedzi, srebra lub złota, stosownie do bogactwa i zasobności swoich mężów. Do tej szkatułki przymocowany jest pierścień, a nad nim sztylet; wszystko to zawieszane na piersi. Na szyjach noszą złote i srebrne łańcuchy.

Są oni najbrudniejszą ze wszystkich ras, jakie Bóg kiedykolwiek stworzył. Nie podcierają się po oddaniu stolca ani też nie myją po zmazie nocnej, jak gdyby byli dzikimi osłami.

Przybywają ze swojej macierzystej krainy, kotwiczą swe statki na Wołdze, która jest wielką rzeką, i budują obszerne drewniane domy na jej brzegach. W każdym z takich domów mieszka ich dziesięcioro lub dwadzieścioro, więcej lub mniej. Każdy mężczyzna ma legowisko i przesiaduje w nim z pięknymi dziewczętami, które ma na sprzedaż. Najczęściej zabawia się zjedną z nich, podczas gdy któryś z przyjaciół się temu przygląda. Czasami kilku naraz zajmuje się tym samym, każdy na oczach pozostałych.

Od czasu do czasu jakiś kupiec przybywa do takiego domu, aby nabyć którąś z dziewczyn, i zastaje jej pana trzymającego ją w uścisku, którego nie zwalnia, dopóki w pełni nie zaspokoi swej chuci; sądzą oni, iż nie ma w tym nic zdrożnego.

Każdego ranka przychodzi młoda niewolnica, przynosi ceber wody i stawia go przed swoim panem. Ten przystępuje do mycia swej twarzy i rąk, następnie myje włosy, czesząc je nad naczyniem, po czym wydmuchuje nos i odpluwa flegmę do cebrzyka

i, nie pozostawiając nieczystości na zewnątrz, splukuje wszystko do tej wody. Kiedy skończy, dziewczyna niesie ceber następnemu mężczyźnie, który robi to samo. I tak wciąż przenosi ten sam ceber od jednego do drugiego, aż każdy z tych, którzy są w domu, wydmucha nos, splunie do cebrzyka i umyje swoją twarz i włosy.

Taka jest normalna kolej rzeczy wśród Normanów, co widziałem na własne oczy. Jednakże w czasie, kiedy przybyliśmy do nich, panował pewien niepokój wśród tych olbrzymich ludzi, a przyczyna jego była taka:

Ich główny wódz, człowiek imieniem Wyglif, zapadł na zdrowiu i został umieszczony w namiocie dla chorych w pewnej odległości od obozu; dano mu chleb i wodę. Nikt nie zbliżał się, nie rozmawiał z nim ani go nie odwiedzał przez cały czas. Niewolnicy nie karmili go, Normanowie uważają bowiem, że człowiek musi się podźwignąć z każdej choroby stosownie do własnej mocy. Wielu spośród nich sądziło, że Wyglif nigdy nie powróci i nie przyłączy się do nich w obozie, lecz zamiast tego umrze.

Tymczasem jeden spośród nich, młodzieniec znacznego rodu imieniem Buliwyf, został wybrany na ich nowego przywódcę, lecz nie uznawano go, dopóki chory wódz jeszcze żył. To właśnie było przyczyną niepokojów w czasie, kiedyśmy tam przybyli. Poza tym nie było żadnych przejawów smutku czy żalu wśród tego ludu obozującego nad Wołgą.

Normanowie przywiązują wielką wagę do obowiązków gospodarza. Witają każdego przybysza ciepło i gościnnie, dają mu dużo jedzenia i ubrań, a hrabiowie i szlachta rywalizują o miano najbardziej gościnnego. Uczestników naszej wyprawy przyprowadzono przed oblicze Buliwyfa i wyprawiono dla nas wielką ucztę. Przewodniczył jej sam Buliwyf; spostrzegłem, że jest to człowiek wysoki i silny, o skórze, włosach i brodzie koloru śnieżnobiałego. Miał on postawę i cechy przywódcy.

Doceniając zaszczyt, jakim była ta uczta, grupa nasza dała pokaz jedzenia, chociaż potrawy były ohydne, a obyczaj biesiadny obejmował zrzucanie potraw i napojów, czemu towarzyszył gromki śmiech i wszelakie przejawy wesołości. W czasie tego prostackiego bankietu często zdarzało się, że jakiś hrabia pofolgował sobie z niewolnicą na oczach swoich kompanów.

Widząc to, odwracałem się i mówiłem: „Boże, błagam o wybaczenie”, a Normanowie zaśmiewali się z mojego zmieszania. Jeden z nich tłumaczył mi, że wierzą oni, iż Bóg patrzy przychylnie na takie nieskrywane przyjemności. Powiedział mi:

— Wy, Arabowie, jesteście jak stare baby, drżycie na widok życia.

Odpowiadając mu, rzekłem:

— Jestem gościem wśród was, a Allah poprowadzi mnie ku cnocie.

Dałem tym powód do dalszego śmiechu, ale nie wiem, z jakiej przyczyny doszukiwali się tutaj żartu.

Obyczaj Normanów otacza wciąż życie wojenne. Zaprawdę, ci ogromni ludzie walczą

nieustannie; nigdy nie zaznają pokoju ani pomiędzy sobą, ani pomiędzy różnymi plemionami ze swego rodzaju. Śpiewają oni pieśni o swych czynach bitewnych i męstwie i wierzą, że śmierć wojownika jest najwyższym zaszczytem.

Na przyjęciu u Buliwyfa jeden z biesiadników, należący do ich grona, śpiewał pieśń o bitwie i o męstwie, która wielce się podobała, chociaż nie słuchano jej prawie wcale. Mocny trunek Normanów prędko upodabnia ich do zwierząt i sprowadza z drogi cnoty; podczas pieśni wznoszono okrzyki, odbyła się też śmiertelna walka dwóch wojowników po jakiejś pijackiej kłótni. Bard nie przerywał swej pieśni w czasie tych wszystkich wypadków; zaprawdę, widziałem, jak chlustająca krew obryzgała mu twarz, a on obtarł ją tylko, nie przerywając śpiewu.

Wywarło to na mnie wielkie wrażenie.

Zdarzyło się też, że ów Buliwyf, który był pijany tak jak reszta, zarządził, iż mam zaśpiewać dla nich pieśń. Natarczywie się tego domagał. Nie chcąc go rozgniewać, wyrecytowałem fragment Koranu, a tłumacz powtarzał moje słowa w ich nordyckim języku. Przyjęli mnie nie lepiej niż swego własnego minstrela, później więc prosiłem Allaha o wybaczenie za takie potraktowanie Jego świętych słów, a także za to tłumaczenie⁴, które odczuwałem jako bezmyślne, gdyż, prawdę powiedziawszy, tłumacz był całkiem pijany.

Przebywaliśmy pośród Normanów od dwóch dni. Tego ranka, kiedy zamierzaliśmy wyjechać, powiedziano nam przez tłumacza, że umarł wódz Wyglif. Pragnąłem być naocznym świadkiem tego, co będzie się działo dalej.

Najpierw złożono go do grobu, nad którym wzniesiono dach, na okres dziesięciu dni⁵, dopóki nie zostanie zakończone krojenie i szycie jego ubioru. Zgromadzono także wszystkie jego rzeczy i podzielono je na trzy części. Pierwszą z nich przeznaczono dla jego rodziny; druga stanowiła zapłatę za strój, jaki sporządzano; za trzecią zaś część kupiono mocny trunek na dzień, w którym jakaś dziewczyna zgodzi się na śmierć i zostanie spalona wraz ze swoim panem.

Używaniu wina oddają się oni bez opamiętania, pijąc je dzień i noc, jak już powiedziałem. Nierzadko jeden z nich umiera z kielichem w dłoni.

Rodzina Wyglifa zapytała wszystkie jego dziewczyny i giermków:

— Kto z was umrze wraz z nim?

Na to jedna dziewczyna odpowiedziała:

— Ja.

Od chwili, w której wymówiła to słowo, nie była już wolna; gdyby pragnęła się wycofać, nie pozwolono by jej na to.

Dziewczyna, która to rzekła, została następnie powierzona dwóm innym dziewczynom, które miały jej strzec, towarzyszyć jej wszędzie, dokąd się udawała, a nawet, od czasu do czasu, myć jej stopy. Ludność zajmowała się zmarłym — krojono

dla niego ubranie i przygotowywano wszystko, co było jeszcze potrzebne. Przez cały ten okres owa dziewczyna oddawała się piciu i śpiewom, była pogodna i wesoła.

W tym czasie Buliwyf, szlachcic, który miał być kolejnym królem czy wodzem, znalazł rywala imieniem Thorkel. Nie znałem go, ale był to brzydki i plugawy, ciemny mężczyzna, różniący się od tej rumianej, jasnej rasy. Spiskował, aby samemu zostać wodzem. O tym wszystkim dowiedziałem się od tłumacza, ponieważ podczas przygotowań pogrzebowych nie było żadnych zewnętrznych oznak tego, że działo się coś niezgodnego z obyczajem.

Buliwyf nie kierował sam przygotowaniem, nie należał on bowiem do rodziny Wyglifa, a regułą jest, że to rodzina urządza pogrzeb. Buliwyf brał udział w powszechnym ożywieniu i w uroczystościach, nie przejawiając żadnych cech królewskiego zachowania, wyjąwszy czas nocnych biesiad, kiedy zasiadał na najwyższym miejscu, które było przeznaczone dla króla.

Zasiadał zaś w sposób następujący: kiedy Norman jest prawomocnym królem, siada u szczytu stołu na ogromnym kamiennym krześle o kamiennych oparciach. Taki był tron Wyglifa, lecz Buliwyf nie siadał na nim tak, jak siedziałby normalny człowiek. Zamiast tego sadowił się na jednej poręczy; w pozycji tej tracił równowagę i spadał, kiedy wypił za dużo lub śmiał się bez umiaru. Zgodnie z obyczajem nie mógł on siedzieć na tym krześle, dopóki Wyglif nie zostanie pochowany.

Przez cały ten czas Thorkel spiskował i naradzał się z innymi hrabiami. Dowiedziałem się, że byłem podejrzany jako jakiś czarownik czy mag, co bardzo mnie strapiło. Tłumacz, który nie wierzył w te opowieści, powiedział mi, że Thorkel rozpowiada, iż to ja sprawiłem, że Wyglif umarł, i przyczyniłem się do tego, że Buliwyf ma być jego następcą; aliści, zaiste, nie miałem z tym nic wspólnego.

Po kilku dniach usiłowałem wyjechać ze swoją grupą złożoną z ibn-Bastu, Takina i Barsa, jednakże Normanowie nie pozwolili nam na to, mówiąc, że mamy zostać na pogrzebie, i grożąc nam swymi sztyletami, które zawsze nosili przy sobie. Tak więc pozostaliśmy.

Tego dnia, kiedy Wyglif i dziewczyna mieli być oddani płomieniom, wyciągnięto jego statek na brzeg rzeki. Ustawiono wokół niego cztery narożne kloce z brzozy i innego drewna, a także duże drewniane figury przypominające ludzkie istoty.

Tymczasem ludzie zaczęli chodzić tu i tam, wymawiając słowa, których nie rozumiałem. Język Normanów jest nieprzyjemny dla ucha i trudny do zrozumienia.

Tymczasem zmarły wódz leżał w pewnej odległości w swoim grobie, z którego nie przeniesiono go jeszcze. Następnie przynieśli łoże, umieścili je na statku i przykryli grecką narzutą ze złotogłowa oraz poduszkami z tego samego materiału. Wówczas weszła tam stara kobieta, którą zowią oni aniołem śmierci, i rozłożyła na łożu osobiste drobiazgi. To właśnie ona zajmowała się szyciem szat i całym wyposażeniem. Ona

również miała zabić dziewczynę. Widziałem tę staruchę na własne oczy. Była ciemna, krępa, oblicze miała posępne i groźne.

Po przybyciu do grobu usunęli dach i wyciągnęli zmarłego. Wówczas ujrzałem, że zrobił się zupełnie czarny, z powodu zimna panującego w tym kraju. Obok niego złożyli oni wówczas w grobie mocny trunek, owoce i lutnię, teraz zaś wszystko to wyjęli. Pomijając kolor, zmarły nie zmienił się.

Spostrzegłem teraz Buliwyfa i Thorkela, stojących obok siebie i objawiających wielką przyjaźń w czasie ceremonii pogrzebowej, a jednak było oczywiste, że w pozorach tych nie ma cienia prawdy.

Zmarły król Wyglif był teraz odziany w obcisłe spodnie, getry, buty i kaftan ze złotogłowa, na głowę zaś włożyli mu czapkę z tego samego materiału, przybraną sobolami. Zanieśli go do namiotu na statku, usadowili na wyściełanym łożu, podparli poduszkami i przynieśli trunek, owoce i bazylię, które położyli obok niego.

Później przynieśli psa, przecięli go na dwoje i wrzucili na ten statek. Ułożyli koło niego całą jego broń i przyprowadzili dwa konie, które zgonili tak, że ociekały potem, następnie Buliwyf zabił jednego swoim mieczem, Thorkel zaś zabił drugiego. Porąbali je na kawałki swymi mieczami, ciskając odcięte kawały mięsa na statek. Buliwyf zabijał swego konia wolniej, co zdawało się mieć pewną wagę dla tych, którzy się przyglądali, ale nie wiedziałem, jakie to miało znaczenie.

Następnie sprowadzono dwa woły, porąbano je na części i rzucono na statek. Wreszcie przynieśli koguta i kurę, zabili je i również tam wrzucili.

Dziewczyna, która ofiarowała się na śmierć, chodziła w tym czasie tu i ówdzie, wchodząc po kolei do wszystkich namiotów, które tam mieli rozbite. Mieszkaniec każdego namiotu kładł się z nią, mówiąc: „Powiedz swemu panu, że zrobiłem to tylko z miłości dla niego”.

Było już późne popołudnie. Podprowadzili dziewczynę do zbudowanej wcześniej konstrukcji, która wyglądała jak framuga drzwi. Ona stanęła stopami na wyciągniętych rękach mężczyzn, ci zaś wzniesli ją ponad tę drewnianą konstrukcję. Wymówiła coś w swoim języku, po czym opuścili ją na dół. Później wzniesli ją znowu i uczyniła tak jak przedtem. Jeszcze raz opuścili ją na dół i znowu wzniesli po raz trzeci. Potem podali jej kurę, której odcięła głowę i odrzuciła ją precz.

Zapytałem tłumacza, co takiego czyniła. Odparł:

— Za pierwszym razem powiedziała: „Oto widzę tu mego ojca i matkę”; za drugim razem: „Oto widzę teraz siedzących wszystkich moich zmarłych krewnych”; za trzecim: „Oto tam jest mój pan, który przebywa w raj. Raj jest taki piękny, taki zielony. Są z nim jego mężczyźni i chłopcy. On wzywa mnie, zatem prowadźcie mnie do niego”.

Wówczas odprowadzili ją do statku. Tu zdjęła swoje dwie bransolety i dała je starej kobiecie, nazywanej aniołem śmierci, która miała ją zamordować. Zdjęła też dwie

bransolety noszone na kostkach nóg i podała je dwóm usługującym dziewczynom; były to córki anioła śmierci. Potem wniesiono ją na statek, ale nie wpuszczono jej jeszcze do namiotu.

Teraz nadeszli mężczyźni z tarczami i pałkami i wręczyli jej kielich mocnego trunku. Przyjęła kielich, zaśpiewała nad nim i opróżniła go. Tłumacz powiedział mi, że śpiewała: „Żegnam się tak z tymi, którzy są mi drodzy”. Potem wręczono jej kolejny kielich, który również przyjęła, i zaintonowała długą pieśń. Starucha upomniała ją, by wysączyła kielich bez ociągania się i weszła do namiotu, w którym leży jej pan.

W tym czasie wydawało mi się, że dziewczyna była już oszołomiona⁶. Markowała, że wchodzi do namiotu, gdy nagle ta wiedźma złapała ją za głowę i wciągnęła ją tam. W tym momencie mężczyźni zaczęli uderzać pałkami w swoje tarcze, aby zagłuszyć hałas jej krzyków, które mogły przerazić inne dziewczęta i odstraszyć je od pójścia na śmierć ze swymi panami w przyszłości.

Sześciu mężczyzn podążyło za nią do tego namiotu i każdy z nich zespolił się z nią cielesnie. Potem położyli ją koło jej pana; dwóch ludzi chwyciło ją za ręce, a dwóch za nogi. Starucha zaś, znana jako anioł śmierci, związała sznur wokół jej szyi i wręczyła obydwu jego końce dwóm ludziom, by ciągnęli. Następnie sztyletem o szerokim ostrzu zadała jej cios między żebra i wyciągnęła ostrze, podczas gdy ci dwaj mężczyźni dusili dziewczynę sznurem, aż skonała.

Wówczas zbliżył się jeden z krewnych zmarłego Wyglifa i ujawszy kawałek zapalonego drewna, podszedł tyłem, nagi, w stronę statku i podpalił go, nawet na niego nie patrząc.

Stos pogrzebowy stanął wkrótce w płomieniach i statek, namiot, mężczyzna i dziewczyna, i wszystko pozostałe buchnęło rozpętaną burzą ognia.

Jeden z Normanów, stojący koło mnie, powiedział kilka zdań do tłumacza. Zapytałem, o czym tamten mówił, i otrzymałem taką odpowiedź:

— Wy, Arabowie — powiedział — musicie być strasznie głupi. Bierzecie swego najbardziej ukochanego, najbardziej czczonego człowieka i składacie go w ziemi na pożarcie pełzającym stworom i robakom. My zaś spalamy go w jednej chwili, tak że natychmiast, bez najmniejszej zwłoki, idzie wprost do raj.

I, zaiste, nie upłynęła godzina, gdy statek, drewno i dziewczyna, wraz z tym człowiekiem, obróciły się w popiół.

NASTĘPSTWA NORMAŃSKIEGO POGRZEBU

Skandynawowie ci nie dostrzegają najmniejszego powodu do smutku po śmierci żadnego człowieka. Ubogi czy niewolnik to dla nich sprawa obojętna, ale nawet śmierć wodza nie wywoła żalu ani łez.

Tego samego wieczora, w dniu pogrzebu wodza zwanego Wyglifem, odbyły się wielkie biesiady w dworach obozowiska Normanów.

Spostrzegłem jednakże, iż nie wszystko było w porządku wśród tych barbarzyńców. Zasięgnąłem języka u mego tłumacza. Powiedział mi:

— Plan Thorkela jest taki: ujrzyć cię martwym, a potem wygnać Buliwyfa. Thorkel zyskał poparcie dla siebie u niektórych hrabiów, teraz zaś toczą się dysputy w każdym domu i we wszystkich miejscach.

Wielce strapiony, odrzekłem:

— Nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Cóż mam zrobić?

Tłumacz odparł, że powinienem uciekać, jeśli zdołam, lecz gdybym został schwytany, będzie to dowód mojej winy i postąpili ze mną tak jak ze złodziejem. Złodziej zaś traktowany jest w ten sposób: Normanowie podprowadzają go pod potężne drzewo, obwiązują mocnym sznurem, wieszają i pozostawiają tak, aż zgnije i rozpadnie się na kawałki pod wpływem działania wiatru i deszczu.

Mając wciąż w pamięci, iż ledwo uniknąłem śmierci z rąk ibn-al-Qatagana, zdecydowałem się postępować tak jak wtedy: to znaczy pozostać wśród Normanów do czasu, aż udzielą mi prawa do swobodnego wyjazdu i kontynuowania podróży.

Spytałem tłumacza, czy powinienem zanieść dary Buliwyfowi, a także i Thorkelowi, aby wyjednać swój wyjazd. Odparł, że nie mogę zanieść darów im obydwóm oraz że nie rozstrzygnięto jeszcze kwestii, kto będzie nowym wodzem. Powiedział też, że wyjaśni się to po upływie jednego dnia i nocy, nie później.

Albowiem prawdą jest, że Normanowie nie mają ustalonego sposobu wybierania nowego wodza, kiedy stary przywódca umiera. Siła ramion liczy się bardzo, ale ważne jest też poparcie wojowników, hrabiów i szlachty. W pewnych wypadkach nie ma jednoznacznego spadkobiercy rządów; i właśnie taka sytuacja zaistniała. Mój tłumacz

powiedział, że powinienem uzbroić się w cierpliwość, a także modlić się, co też czyniłem.

W tym czasie wielka burza nadciągnęła nad brzegi rzeki Wołgi, burza trwająca dwa dni, z zacinającym deszczem i potężnymi wichrami, a po tej burzy zimna mgła rozpostarła się na ziemi. Była biała i tak gęsta, że człowiek nie widział nic na odległość większą niż dwanaście kroków.

Otóż ci sami olbrzymi normańscy wojownicy, którzy, z racji swego ogromu, siły ramion i okrutnego usposobienia, nie mają na całym świecie niczego, czego mogliby się obawiać, lękają się tych oparów czy mgły, która nadchodzi wraz z burzami.

Ludzie z ich rasy dokładają wszelkich starań, aby ukryć swój strach, nawet przed sobą nawzajem; wojownicy śmieją się i żartują nadmiernie, dając nierozumny pokaz uczucia beztroski. W ten sposób udowadniają coś wręcz przeciwnego; i doprawdy, ich próby zamaskowania się są dziecinne; udają, że nie dostrzegają prawdy, jednakże w istocie każdy z nich i wszyscy razem, w całym obozowisku, odbywają modły i składają ofiary z kur i kogutów, a jeśli spytać któregoś z nich, jaki jest powód jego ofiary, odpowie: „Składam ofiarę za powodzenie mego handlu” albo: „Składam ofiarę na cześć takiego a takiego zmarłego członka mojej rodziny”, lub też poda wiele innych powodów, a potem doda: „I jeszcze za rozwianie się mgły”.

To właśnie uznałem za dziwne, że tak silni i wojowniczy ludzie mogą bać się czegoś tak bardzo, że aż udają brak wszelkiego strachu; a wśród wszystkich racjonalnych powodów do lęku mgła czy opary wydały mi się, zgodnie z moim sposobem myślenia, całkowicie niewytłumaczalne.

Powiedziałem do mego tłumacza, że człowiek może się bać wiatru albo rozszalałych burz piaskowych, albo powodzi, albo falowania ziemi, albo grzmotów i błyskawic na niebie, wszystko to bowiem może wyrządzić krzywdę człowiekowi, zabić go lub zniszczyć jego siedzibę. Jednakże, mówiłem, mgła ani opary nie przynoszą żadnego zagrożenia ani szkody; w istocie jest to najłagodniejsza ze wszystkich postaci zmiennych żywiołów.

Tłumacz odpowiedział mi, że wielu żeglarzy arabskich zgodziło się z Normanami w sprawie niepokoju⁷, kryjącego się w kłębach mgły; tak samo również, jak mówił, wszyscy podróżujący morzem odczuwają trwogę przed każdą mgłą lub oparami, ponieważ zwiększają one niebezpieczeństwo podróży po wodach.

Powiedziałem, że takie wyjaśnienie jest rozsądne, ale że jeśli mgła okrywa ziemię, a nie wodę, to nie rozumiem, czego można się obawiać. Na to tłumacz odrzekł:

— Mgła zawsze przynosi strach, gdziekolwiek się pojawia. Powiedział też, że z punktu widzenia Normanów nie ma różnicy, czy pojawia się ona na lądzie czy na wodzie.

Później zaś powiedział mi, że w istocie Normanowie nie tak bardzo obawiają się tej mgły. Dodał też, że on, jako człowiek, nie boi się jej. Uznał, że to tylko drobna sprawa,

bez większego znaczenia. Mówił:

— To tylko lekki ból w stawach kończyn, który może pojawić się wraz z mgłą, nic poza tym.

Po tym poznałem, że mój tłumacz, tak jak inni, odrzuca wszelkiego rodzaju zaniepokojenie mgłą i udaje obojętność.

Zdarzyło się teraz, że mgła nie rozwiała się, chociaż opadła nieco i zrzędnęła w dalszej części dnia; słońce pojawiło się jako okrąg na niebie, ale też było ono tak słabe, że mogłem patrzeć wprost w jego światło.

Tego samego dnia przybyła łódź normańska, wioząca szlachcica z ich rasy. Był to młody człowiek o słabym zaroście i podróżował jedynie z małą grupą giermków i niewolników, wśród których nie było kobiet. Uznałem przeto, że nie był to kupiec, gdyż na tym obszarze Normanowie sprzedają przede wszystkim kobiety.

Gość ten osadził swą łódź na mieliźnie i pozostał tak z nią aż do zmroku, a żaden człowiek nie podchodził do niego zbyt blisko ani go nie pozdrowiał, chociaż był on przybyszem i wszyscy doskonale go widzieli. Mój tłumacz powiedział:

— Jest to krewny Buliwyfa; zostanie przyjęty w czasie nocnej biesiady.

Odrzekłem:

— Dlaczego pozostaje on na swoim statku?

— Z powodu mgły — odparł tłumacz. — Według zwyczaju musi on stać w widocznym miejscu przez wiele godzin, tak żeby wszyscy mogli go zobaczyć i przekonać się, że nie jest wrogiem nadchodzącym z mgły.

O tym wszystkim tłumacz mówił mi z wyraźnym wahaniem.

W czasie nocnej uczty ujrzałem, jak młodzieniec ów wchodził do dworu. Tutaj powitano go ciepło, z wszelkimi przejawami miłego zaskoczenia jego przybyciem; szczególnie wylewny był Buliwyf, który zachowywał się tak, jak gdyby ten młody człowiek dopiero przyjechał, a nie stał koło swego statku przez tyle godzin. Po wielu powitaniach młodzieniec wygłosił płomienną mowę, której Buliwyf wysłuchał z niezwykle zainteresowaniem; nie pił i nie figlował z niewolnicami, lecz zamiast tego w milczeniu słuchał młodzieńca, który przemawiał wysokim, łamiącym się głosem. Przy końcu tej opowieści wydawało się, że młodzian ma łzy w oczach; podano mu kielich z napojem.

Zapytałem mego tłumacza, o czym była mowa. Oto jego odpowiedź:

— To Wulfgar, syn Rothgara, wielkiego króla z Północy. Jest on krewnym Buliwyfa, potrzebuje jego pomocy i wsparcia w bohaterskiej misji. Wulfgar powiada, że ów daleki kraj cierpi z powodu strasznego i trudnego do opisanego zagrożenia, wobec którego wszystkie ludy są zbyt bezsilne, by mu się przeciwstawić, prosi zatem Buliwyfa, aby pośpiesznie wyruszył do tego dalekiego kraju i ocalił jego lud i królestwo jego ojca, Rothgara.

Zapytałem tłumacza, o jakie zagrożenie chodzi. Rzekł do mnie:

— Nie ma ono nazwy, którą mógłbym wypowiedzieć⁸.

Tłumacz wyglądał na bardzo poruszonego słowami Wulfgara, tak jak i wielu innych spośród Normanów. Dojrzałem mroczny wyraz przygnębienia na obliczu Buliwyfa. Zagadnąłem tłumacza o szczegóły dotyczące tego zagrożenia.

Tłumacz powiedział mi:

— Nie można używać jego nazwy, gdyż zabronione jest wymawianie jej, albowiem wywołuje ona demony.

Kiedy to mówił, zobaczyłem, że obawia się nawet myśleć o tych sprawach, wyraźnie pობladł, tak więc zakończyłem swoje indagacje.

Buliwyf milczał, siedząc na kamiennym tronie. Zaprawdę, zebrani tam hrabiowie i wasale oraz wszyscy niewolnicy i słudzy również milczeli. Żaden człowiek na dworze nie odzywał się. Posłaniec Wulfgar stał przed zgromadzonymi z pochyloną głową. Nigdy przedtem nie widziałem wesołych i hałaśliwych Normanów tak przygnębionych.

Wówczas weszła do tej sali starucha zwana aniołem śmierci i usiadła koło Buliwyfa. Ze skórzanej torby wyciągnęła kilka kości — nie wiem, ludzkich czy zwierzęcych — rzuciła te kości na ziemię, wypowiadając cicho jakieś słowa, i przesunęła po nich ręką.

Pozbierała kości, rozrzuciła je znowu i cała procedura powtórzyła się z jeszcze większą liczbą zaklęć. Raz jeszcze kości zostały rzucone, aż wreszcie starucha odezwała się do Buliwyfa.

Zapytałem tłumacza o sens jej wypowiedzi, ale mi go nie objaśnił.

Potem Buliwyf wstał, wznosił swój kielich z mocnym trunkiem i zwrócił się do zgromadzonych hrabiów i wojowników, wygłaszając dość długą mowę. Kilku wojowników, jeden po drugim, wstało ze swoich miejsc, aby stanąć naprzeciw niego. Nie wszyscy wstali, naliczyłem jedenastu. Buliwyf zaś wydawał się z tego zadowolony.

Teraz spostrzegłem też, że Thorkel robił wrażenie niezwykle uradowanego tymi wypadkami i przybrał bardziej królewską postawę. Buliwyf zaś nie zważał na niego i nie okazywał mu nienawiści, ani nawet zainteresowania, chociaż przedtem, kilka chwil temu, byli wrogami.

Nagle ta sama starucha, anioł śmierci, wskazała na mnie i wymówiła jakąś formułę, po czym wyszła z sali. Teraz wreszcie mój tłumacz przemówił:

— Bogowie wzywają Buliwyfa, aby opuścił to miejsce i szybko, pozostawiając za sobą wszystkie swoje sprawy i troski, postąpił jak bohater i podążył, by odeprzeć niebezpieczeństwo zagrażające Północy. To już zostało postanowione; musi on też zabrać ze sobą jedenastu wojowników. I tak samo musi on również wziąć ciebie.

Odparłem, że jadę z misją do Bułgarów i muszę niezwłocznie wykonać polecenie mojego kalifa.

— Anioł śmierci powiedział — rzekł mój tłumacz — że drużyna Buliwyfa musi się składać z trzynastu ludzi, z tych zaś jeden nie może być Normanem, tak więc ty będziesz tym trzynastym.

Protestowałem, mówiąc, że nie jestem wojownikiem. Zaprawdę, użyłem wszelkich wymówek i wykrętów, o których sądziłem, że mogą wywrzeć wpływ na tę kompanię prymitywnych stworzeń. Domagałem się, żeby tłumacz przekazał moje słowa Buliwyfowi, jednakże on odwrócił się i wyszedł z sali, wymawiając swoją ostatnią kwestię:

— Przygotuj się najlepiej, jak uznasz za stosowne. Wyruszenie o brzasku.

PODRÓŻ DO ODLEGŁEJ KRAINY

W ten oto sposób uniemożliwiono mi kontynuowanie podróży do Yiltawara, króla Saqalibów, toteż nie zdołałem wypełnić zadań powierzonych mi przez al-Muqtadira, Przywódcę Wiernych, kalifa Miasta Pokoju. Udzieliłem takich wskazówek, jakich tylko mogłem, Dadirowi al-Huramiemu, jak również posłowi Abdallahowi ibn-Bastu al-Hazariemu oraz giermkom Takinowi i Barsowi. Następnie rozstałem się z nimi i nigdy już nie dowiedziałem się, jak podróżowali dalej.

Co do mnie, uznałem swoje położenie za nie lepsze niż sytuacja umarłego. Znajdowałem się na pokładzie jednego z normańskich statków i żeglowałem w górę rzeki Wołgi, na północ, z dwunastoma spośród Normanów. Imiona ich były takie:

Buliwyf, wódz; jego zastępca czy kapitan, Ecthgow; jego hrabiowie i szlachcice: Higlak, Skeld, Weath, Roneth, Halga; jego wojownicy i waleczni żołnierze: Helfdane, Edgtho, Rethel, Haltaf oraz Herger⁹. I ja również byłem wśród nich, niezdolny do mówienia ich językiem ani do zrozumienia ich obyczajów, gdyż nie zabrano mojego tłumacza. Jedynie dzięki przypadkowi i łasce Allaha jeden z ich wojowników, Herger, był człowiekiem uzdolnionym i znał trochę mowę łacińską. Tak więc mogłem, poprzez Hergera, zrozumieć, co oznaczały wypadki, które się zdarzyły. Herger, młody wojownik, był bardzo wesoły, wydawało się, że potrafi odkryć żart we wszystkim, zwłaszcza zaś w moim przygnębieniu z powodu tego wyjazdu.

Ci Normanowie są, we własnym mniemaniu, najlepszymi żeglarzami na świecie, sam widziałem w ich zachowaniu przejawy wielkiej miłości do wód i morza. Co do statku, wyglądał on tak: był długi na dwadzieścia pięć kroków, a szeroki na nieco więcej niż osiem, wspaniałej konstrukcji, z dębowego drewna, cały czarnego koloru. Zaopatrzony był w prostokątny płócienny żagiel i olinowany likliną z foczej skóry¹⁰. Sternik stał na małej platformie koło rufy i przestawiał ster zamocowany z boku łodzi na sposób rzymski.

Statek był wyposażony w stanowiska dla wiosł, ale nigdy się nimi nie posługiwano; właściwie, posuwaliśmy się naprzód, wyłącznie żeglując. Na dziobie statku znajdowała się drewniana rzeźba dzikiego morskiego potwora, z tych, jakie pojawiają się na

niektórych normańskich łodziach; był także i ogon przy rufie. Na wodzie statek ten był stabilny i całkiem wygodny w podróży; śmiałość wojowników również podnosiła mnie na duchu.

Obok sternika znajdowało się łożo ze skór ułożonych na sznurowej sieci, z futrzanym przykryciem. Było to łożo Buliwyfa; pozostali wojownicy sypiali na pokładzie tu i ówdzie, otulając się w skóry, i ja również czyniłem podobnie.

Żeglowaliśmy po tej rzece przez trzy dni, mijając wiele małych osad nad brzegiem wody. Nie zatrzymywaliśmy się przy żadnej z nich. Później przepływaliśmy w pobliżu dużego obozowiska w zakolu rzeki Wołgi. Były tu setki ludzi i miasto dużych rozmiarów, a w środku miasta kreml, czyli twierdza otoczona glinianym wałem; wszystko imponującej wielkości. Zapytałem Hergera, co to za miejsce.

— To jest miasto Bułgar, w królestwie Saqalibów. Tamto to kreml Yiltawara, króla Saqalibów — powiedział.

— To ten właśnie król, do którego wysłano mnie jako emisariusza od mojego kalifa — odrzekłem i usilnie błagając, prosiłem, aby wypuścili mnie na brzeg, bym mógł wypełnić misję zleconą przez mego kalifa; zacząłem się tego również domagać i okazywałem gniew do takiego stopnia, do jakiego się odważyłem.

Zaprawdę, Normanowie nie zwracali na mnie uwagi, Herger nie odpowiadał na moje prośby i żądania, w końcu roześmiał mi się w twarz i skupił swoją uwagę na sprawach związanych z żeglowaniem.

I tak okręt Normanów przepłynął obok miasta Bułgar, tak blisko brzegu, że słyszałem nawoływania kupców i beczenie owiec, byłem jednakże bezradny i nie mogłem uczynić nic, poza oglądaniem tego wszystkiego na własne oczy. Po upływie godziny nawet i to zostało mi odebrane, ponieważ miasto Bułgar położone jest w zakolu rzeki, jak już mówiłem, i wkrótce zniknęło z mojego pola widzenia. W taki oto sposób przyjechałem i wyjechałem z Bułgarii.

Czytelnik może w tym miejscu poczuć się dezorientowany. Współczesna Bułgaria jest jednym z państw bałkańskich; graniczy z Grecją, Jugosławią, Macedonią, Rumunią i Turcją. Jednakże od IX do XV wieku istniała inna Bułgaria, nad brzegami Wołgi, prawie tysiąc kilometrów na wschód od współczesnej Moskwy, i do niej właśnie podążył ibn-Fadlan. Bułgaria nad Wołgą była luźno zespolonym królestwem o pewnym znaczeniu, a jej miasto stołeczne, Bułgar, było sławne i bogate, kiedy Mongołowie zajęli je w 1237 roku. Powszechnie uważa się, że Bułgaria Wołgo-Kamska oraz Bułgaria bałkańska były zaludnione przez pokrewne grupy osadników przemieszczających się z terytoriów nad Morzem Czarnym w latach 400-600, ale niewiele na ten temat wiadomo. Stare miasto Bułgar znajduje się na terenie współczesnego Kazania.

Później minęło osiem kolejnych dni na łodzi, wciąż płynącej po rzece Wołdze, a łąd wokół doliny rzeki stał się bardziej górzysty. Dotarliśmy teraz do innego rozgałęzienia tej rzeki, do miejsca, gdzie nazywana jest ona przez Normanów rzeką Oker; tam skierowaliśmy się w lewą odnogę i płynęliśmy naprzód przez dziesięć dalszych dni. Powietrze było chłodne, wiatr silny, a dużo śniegu leżało jeszcze na ziemi. Mają tam również dużo wielkich lasów na obszarze, który Normanowie nazywają Vada.

Następnie przybyliśmy do obozowiska ludzi Północy; był to Massborg. Nie było to właściwie miasto, lecz obóz złożony z kilku drewnianych domów, bardzo dużych, zbudowanych na styl Północy; żyło zaś to miasto ze sprzedaży produktów żywnościowych kupcom, którzy przebywali tę trasę tam i z powrotem. W Massborgu pozostawiliśmy naszą łódź i podróżowaliśmy łądem na koniach przez osiemnaście dni. Jest to trudny, górzysty rejon, niezwykle zimny, przeto byłem wielce wyczerpany trudami tej jazdy.

Ludzie Północy nigdy nie podróżują nocą. Nieczęsto też w nocy żeglują, lecz wolą każdego wieczora przybić do brzegu i doczekać porannego brzasku, zanim popłyną dalej.

Jednakże złożyło się tak: podczas naszego podróżowania noce stały się krótkie i nie można było ugotować posiłku w czasie ich trwania. Zaprawdę, wydawało się, że zaledwie ułożyłem się do snu, byłem budzony przez Normanów, którzy mówili: „Chodź, już dzień, musimy ruszać w dalszą drogę”. Sam sen także nie był pokrzepiający w tych zimnych okolicach.

Herger wyjaśnił mi też, że w tej północnej dzikiej krainie dzień jest długi w lecie, noc zaś jest długa w zimie i rzadko się zdarza, że są one równe. Powiedział mi także, że powinienem przyjrzeć się dokładnie w nocy zasłonie nieba; toteż pewnego wieczora uczyniłem to i ujrzałem na niebie migoczące blade światła koloru zielonego i żółtego, a chwilami błękitnego, które zawisły w powietrzu jak zasłona na wysokościach. Byłem wielce zdumiony widokiem tej podniebnej kotary, ale Normanowie nie uważają jej za coś niezwykłego.

Znowu podróżowaliśmy przez pięć dni, schodząc z gór na tereny leśne. Lasy krainy Północy są zimne i gęste, rosną w nich olbrzymie drzewa. Jest to obszar wilgotny i lodowaty, w niektórych miejscach tak zielony, że oczy aż bołą od intensywnej jasności tej barwy, jednakże w innych miejscach jest on czarny, ciemny i groźny.

Następnie jechaliśmy dalej przez siedem dni, doświadczając obfitego deszczu. Deszcz ów często pada z taką obfitością, iż jest to uciążliwe; chwilami myślałem, że się utopię, do tego stopnia powietrze wypełniało się wodą. W innych momentach, kiedy wiatr miotał deszczem, stawał się on jak burza piaskowa, kłująca ciało i paląca oczy, zaciemniająca pole widzenia.

Pochodząc z obszaru pustynnego, ibn-Fadlan był naturalnie pod wrażeniem bujności soczystej zieleni i obfitych deszczów.

Normanowie nie obawiali się żadnych rozbójników w tych lasach, czy to z powodu swej wielkiej siły, czy też z racji braku bandytów; prawdę mówiąc, nie spotkaliśmy w tych lasach ani jednego z nich. W krainie Północy w ogóle mieszka niewielu ludzi, tak w każdym razie zdawało mi się podczas mojego tam pobytu. Często wędrowaliśmy dni siedem czy dziesięć, nie napotykając żadnej osady, zagrody czy domostwa.

Nasz sposób podróżowania był taki: wstawaliśmy rano i, bez żadnych ablucji, wsiadaliśmy na konie i jechaliśmy do południa. Wtedy jeden czy drugi z wojowników polował na jakąś zdobycz, małe zwierzę lub ptaka. Jeśli padał deszcz, jedzenie to było spożywane bez gotowania. Deszcz lał przez wiele dni; początkowo postanowiłem nie jeść surowego mięsa, które poza tym nie było *dabah* [nie pochodziło z rytualnego uboju], ale po pewnym czasie ja również je zjadałem, mówiąc półszepem: „w imię Boże” i ufając, że Bóg zrozumie moje kłopotliwe położenie. Kiedy deszcz nie padał, rozpalano ogień za pomocą małej ilości żaru, który drużyna zawsze woziła ze sobą, i gotowano pożywienie. Jedliśmy również jagody i trawy, których nazw nie znam. Później jechaliśmy przez pozostałą część każdego dnia, która była dość długa, aż do nadejścia nocy, kiedy znowu odpoczywaliśmy i posilaliśmy się.

Wiele razy w nocy padał deszcz, toteż szukaliśmy schronienia pod wielkimi drzewami, a mimo to wstawaliśmy przemoczeni, nasze skórzane śpiwory również były mokre. Normanowie nie narzekali z tego powodu, są oni bowiem pogodni w każdym momencie, jedynie ja złorzeczyłem, i to nie było jak. Nie zwracali na mnie uwagi.

Wreszcie powiedziałem do Hergera:

— Ten deszcz jest zimny.

Roześmiał się na to.

— Jakże deszcz może być zimny? — powiedział. — To tobie jest zimno i ty jesteś nieszczęśliwy. Deszcz nie jest ani zimny, ani nieszczęśliwy.

Widziałem, że wierzy on w te głupstwa i naprawdę uważa mnie za niemądrego, gdyż sądziłem inaczej; mimo to pozostałem przy swoim.

Zdarzyło się też tak, że pewnej nocy, w czasie gdyśmy jedli, wymówiłem nad moim posiłkiem: „w imię Boże”, a Buliwyf zapytał Hergera, co powiedziałem. Wyjaśniłem Hergerowi, iż wierzę, że jedzenie musi być poświęcone, toteż uczyniłem tak zgodnie z moimi wierzeniami. Buliwyf rzekł do mnie:

— Czy taki jest obyczaj Arabów?

Odpowiedziałem w ten sposób:

— Nie, gdyż naprawdę to ten, kto zabija pożywienie, musi dokonać tego poświęcenia. Wymówiłem te słowa, aby nie zgrzeszyć zapomnieniem¹¹.

Normanowie uznali to za powód do wesołości. Uśmieali się serdecznie. Później Buliwyf powiedział do mnie:

— Czy potrafisz rysować dźwięki?

Nie zrozumiałem, co miał na myśli, i zapytałem o to Hergera, po czym odbyła się krótka wymiana zdań, aż wreszcie zrozumiałem, że chodziło mu o pisanie. Normanowie nazywają mowę Arabów dźwiękami lub szmerem. Odpowiedziałem Buliwyfowi, że umiem pisać, a także czytać.

Powiedział, że mam napisać coś dla niego na ziemi. W świetle wieczornego ogniska ująłem patyk i napisałem: „Bogu niech będzie chwała”. Wszyscy Normanowie patrzyli na ten napis. Kazano mi powiedzieć, co znaczył, więc uczyniłem to. Teraz znów Buliwyf wpatrywał się w ten napis przez długi czas z głową opuszczoną na piersi.

Herger rzekł do mnie:

— Którego Boga chwalisz?

Odpowiedziałem, że głoszę chwałę jedyne Boga, którego imię jest Allah.

— Jeden Bóg nie może wystarczyć — odparł Herger.

Później jechaliśmy jeszcze przez jeden dzień, po nim minęła jedna noc i znowu kolejny dzień. Wieczorem zaś tego dnia Buliwyf wziął patyk, narysował na ziemi to, co ja narysowałem uprzednio, i kazał mi przeczytać.

Wymówiłem głośno słowa: „Bogu niech będzie chwała”.

Buliwyf był z tego zadowolony; zobaczyłem, że poddał mnie próbie, zachowując w swej pamięci symbole, które wtedy wyrysowałem, aby pokazać mi je ponownie.

Teraz z kolei Echthgow, zastępca Buliwyfa czy też kapitan, wojownik mniej wesoły niż pozostali, człowiek surowy, przemówił do mnie za pośrednictwem tłumacza, Hergera.

— Echthgow chce wiedzieć, czy potrafisz narysować dźwięk jego imienia.

Odpowiedziałem, że potrafię, i ująwszy patyk, zacząłem rysować na ziemi. W tym momencie Echthgow przyskoczył, wytrącił mi patyk i zdeptał mój napis. Mówił coś gniewnym głosem.

Herger objaśnił:

— Echthgow nie chce, abyś kiedykolwiek rysował jego imię, i musisz to przyrzec.

Zdumiało mnie to; spostrzegłem też, że Echthgow jest na mnie niezwykle rozgniewany. Pozostali również wpatrywali się we mnie z niepokojem i złością. Przyrzekłem Hergerowi, że nie będę rysował imienia Echthgowa ani żadnego z pozostałych, co uspokoiło ich wszystkich.

Po tym wydarzeniu nie debatowano więcej nad moim pisanem, ale Buliwyf wydał pewne polecenia i odtąd zawsze, kiedy padał deszcz, kierowano mnie pod najbardziej rozłożyste drzewo, dawano mi też więcej niż przedtem jedzenia.

Nie zawsze sypialiśmy w lasach ani też nie zawsze jechaliśmy konno przez lasy. Dojechawszy do skraju niektórych lasów, Buliwyf i jego wojownicy zapuszczali się

w głąb i pędzili galopem przez gęstwą drzew, bez niepokoju ani nawet myśli o strachu. Kiedy indziej znów, przy innych lasach, Buliwyf przystawał, a wojownicy zeskakiwali z koni, rozpalali ogień i składali jakąś ofiarę z żywności, z kilku kromek twardego chleba albo z sukiennej chusty, zanim ruszyli dalej. A później jechali skrajem takiego lasu, nigdy nie zapuszczając się w gąszcz.

Zapytałem Hergera, dlaczego tak się działo. Odparł, że niektóre lasy są bezpieczne, inne zaś nie, ale nie wyjaśnił tego dokładnie.

— Co groźnego jest w lasach uważanych za niebezpieczne? — spytałem.

— Są rzeczy, których żaden człowiek nie da rady pokonać, żaden miecz nie może zabić i żaden ogień nie zdoła spalić, i takie rzeczy są w tych lasach — odpowiedział.

— Skąd wiadomo, że tak jest? — dopytywałem się.

Roześmiał się na to i rzekł:

— Wy, Arabowie, zawsze chcielibyście znać przyczyny wszystkiego. Wasze serca to wielki, pękający z nadmiaru wór przyczyn.

Odparłem:

— A wy nie dbacie o przyczyny?

— To nie daje żadnego pożytku. My mawiamy: Człowiek powinien być umiarkowanie mądry, ale nie nazbyt mądry, żeby nie poznał zawczasu swojego losu. Człowiek, którego umysł jest wolny od niepokoju, nie poznaje swego losu przedwcześnie.

Wiedziałem już, że muszę zadowolić się taką odpowiedzią. Prawdą bowiem było, że przy takiej czy innej okazji zadawałem jakieś pytanie, Herger zaś odpowiadał, a jeśli nie rozumiałem jego odpowiedzi, pytałem dalej, a on odpowiadał bardziej wyczerpująco. Jednakże bywało i tak, że kiedy zagadnąłem go o coś, odpowiadał w zwięzły sposób, jak gdyby pytanie nie miało istotnego znaczenia. I wówczas nie mogłem uzyskać od niego niczego poza kiwaniem głową.

Tak więc jechaliśmy dalej. Zaprawdę, mogę rzec, iż pewne lasy w dzikiej krainie Północy wywołują uczucie strachu, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nocami, siedząc przy ognisku, Normanowie snuli opowieści o smokach i dzikich bestiach, a także o swych przodkach, którzy zabijali te stwory. One to, jak mówili, były źródłem mojego lęku. Jednakże sami opowiadali te historie bez najmniejszych oznak strachu, a co do owych bestii, żadnej z nich nie widziałem na własne oczy.

Pewnej nocy usłyszałem pomrukiwanie, które wziąłem za odgłos piorunu, oni jednakże twierdzili, że był to ryk smoka w lesie. Nie wiem, co jest prawdą, przytaczam tutaj jedynie to, co mi powiedziano.

Kraina Północy jest zimna i mokra, słońce widać tam rzadko, niebo bowiem jest szare, zasnuwane gęstymi chmurami przez cały czas.

Mieszkańcy tych terenów są bladzi jak len, a włosy ich są bardzo jasne. Mimo tylu dni podróży w ogóle nie spotkałem ciemnych ludzi, co więcej, mieszkańcy tych obszarów

dziwowali się mojej skórze i czarnym włosom. Wielokrotnie zdarzyło się, że jakiś rolnik lub jego żona czy córka podchodzili, by dotknąć mnie muśnięciem dłoni; Herger śmiał się i mówił, że próbują zetrzeć kolor, sądząc, iż jest on namalowany na moim ciele. Są oni nieoświeconymi ludźmi, bez żadnej wiedzy o rozległości świata. Wiele razy bali się mnie i nie podchodzili do mnie zbyt blisko. W pewnym miejscu, nie znam jego nazwy, jakieś dziecko krzyknęło na mój widok z przerażenia i pobiegło, by przylgnąć do swej matki.

Wojownicy Buliwyfa reagowali na to wielkim rozbawieniem. Teraz jednakże zauważyłem takie zjawisko: w miarę upływu dni wojownicy Buliwyfa przestawali się śmiać i popadali w zły humor, coraz gorszy z każdym nowym dniem. Herger powiedział mi, że myślą o napoju, którego byli pozbawieni od wielu dni.

Przy każdej zagrodzie czy domostwie Buliwyf i jego wojownicy pytali o ten trunek, ale w ubogich okolicach często nie było żadnego mocniejszego napitku, toteż doznawali srogiego zawodu, aż wreszcie nie było już w nich nawet śladu wesołości.

W końcu przybyliśmy do jakiejś wioski, w której wojownicy znaleźli napitek, i wszyscy z tych Normanów upili się natychmiast, pijąc zachłannie, niebaczni, że przez ten pośpiech trunek zalewał im podbródki i ubrania. Zaprawdę, jeden z tej kompanii, poważny wojownik Ecthgow, był tak otumaniony likworem, że upiwszy się jeszcze na koniu, spadł, usiłując z niego zsiąść. Koń zaś kopnął go w głowę, tak że obawiałem się o jego bezpieczeństwo, ale Ecthgow roześmiał się i oddał koniowi kopnięcie.

Pozostaliśmy w tej wiosce przez dwa dni. Byłem tym wielce zdumiony, gdyż uprzednio wojownicy okazywali pośpiech i chęć jak najszybszego dotarcia do celu swej podróży, teraz zaś wszystkiego zaniechali dla picia i drzemki w pijackim stuporze. Wreszcie trzeciego dnia Buliwyf zarządził, że mamy jechać dalej, więc wojownicy ruszyli, a ja wraz z nimi, i nie uznali straty dwóch dni za coś niezwykłego.

Nie jestem pewien, przez ile kolejnych dni jechaliśmy dalej. Wiem, że pięć razy zmienialiśmy konie na świeże wierzchowce, płacąc za nie w wioskach złotem i zielonymi muszelkami, które Normanowie cenią bardziej niż jakiegokolwiek inne przedmioty na świecie. W końcu przyjechaliśmy do wioski o nazwie Lenneborg, położonej nad morzem. Morze było szare, podobnie jak niebo, a powietrze zimne i ostre. Tutaj wsiedliśmy na inną łódź.

Statek ten był z wyglądu podobny do poprzedniego, ale większy. Normanowie nazywali go *Hosbokun*, co znaczy „kozył morski”, z tego powodu, iż statek ów bodzie fale tak, jak bodzie kozioł. A także i z tej przyczyny, że owa łódź była szybka, a dla tych ludzi kozioł jest zwierzęciem, które oznacza zwinność.

Bąłem się płynąć po morzu, gdyż woda była wzburzona i bardzo zimna; ludzka ręka zanurzona w niej natychmiast traciła czucie, tak straszliwie zimne było to morze. A jednak Normanowie byli weseli, żartowali i pili aż do wieczora w tej nadmorskiej

wiosce Lenneborg, a także zabawiali się z wieloma kobietami i niewolnicami. Jest to, jak mi powiedziano, normański zwyczaj praktykowany przed podróżą morską, albowiem żaden człowiek nie wie, czy przeżyje taką wyprawę, przeto wyjeżdżając, oddaje się nieumiarkowanym hulankom.

W każdym miejscu witano nas z wielką gościnnością, jest ona bowiem przez tych ludzi uważana za cnotę. Najbiedniejszy rolnik stawiał przed nami wszystko, co miał, i to nie ze strachu, że go zabijemy czy obrabujemy, lecz jedynie z dobroci i uprzejmości. Normanowie, jak się dowiedziałem, nie znoszą rozbójników czy zabójców ze swojej rasy i traktują takich ludzi okrutnie. Jest to zasada, której przestrzegają wbrew ogólnemu mniemaniu, iż są oni zawsze pijani, awanturują się jak nierozumne zwierzęta i zabijają się nawzajem w krwawych pojedynkach. Jednakże tego nie uważają za morderstwo; każdy zaś człowiek, który morduje, sam zostanie zabity.

I, tak samo, swoich niewolników traktują z wielką łagodnością, co dla mnie było rzeczą zdumiewającą¹². Jeśli niewolnik zachoruje czy umrze wskutek jakiegoś nieszczęścia, nie uważa się tego za szczególną stratę: a kobiety, które są niewolnicami, o każdej porze muszą być gotowe do usłużenia każdemu mężczyźnie, publicznie lub na osobności, tak w dzień, jak i w nocy. Nie ma żadnego przywiązania do niewolników, ale nie ma też w stosunku do nich brutalności i są oni zawsze nakarmieni i odziani przez swoich panów.

Później dowiedziałem się i tego, że wprowadzie każdy mężczyzna może posiadać dowolnie wybraną niewolnicę, ale nawet żonę najuboższego rolnika wodzowie i książęta Normanów szanują tak samo jak własne małżonki. Wymuszenie uległości kobiety wolno urodzonej, która nie jest niewolnicą, to przestępstwo i mówiono mi, iż mężczyzna byłby za to powieszony, chociaż nigdy tego nie widziałem.

Powiadają, że niewinność u kobiet jest wielką cnotą, ale rzadko spotykałem ją w praktyce, gdyż cudzołóstwa nie uważa się za sprawę istotną, jeśli zaś żona jakiegoś mężczyzny, niskiego czy wysokiego rodu, jest pełna wigoru, skutki tego uznaje się za niegodne uwagi. Ludzie ci są bardzo swobodni w tych sprawach, mężczyźni z Północy powiadają, że kobiety są zwodnicze i nie można im ufać; wydaje się, że z pewną rezygnacją godzą się na to i mówią o tym z właściwą sobie pogodą ducha.

Zapytałem Hergera, czy jest żonaty, a on odpowiedział, że ma żonę. Spytałem z całą dyskrecją, czy jest mu wierna, on zaś roześmiał mi się w twarz i rzekł:

— Żegluję po morzach i mogę nigdy nie powrócić, mogę też być nieobecny przez wiele lat. Moja żona nie jest trupem.

Zrozumiałem z tego, że żona nie była mu wierna, on zaś nie troszczył się o to.

Normanowie nie uważają żadnego potomka za bękarta, jeżeli jego matka jest żoną. Dzieci niewolników są czasami niewolnikami, czasami zaś ludźmi wolnymi; jak to jest rozstrzygane, nie wiem.

W pewnych rejonach niewolnicy piętnowani są przez obcięcie ucha. Na innych terenach noszą obręcze z żelaza, wskazujące na ich pozycję. W innych znów okolicach niewolnicy nie są w ogóle znakowani, gdyż taki jest miejscowy obyczaj.

Męźołośćwo jest wśród Normanów nie znane, chociaż opowiadają oni, iż inne ludy je praktykują; oni sami zaś nie wyrażają zainteresowania tą sprawą, a skoro nie zdarza się ono u nich, nie mają na nie kary.

O tym wszystkim i o innych rzeczach dowiadywałem się z rozmów z Hergerem i z naocznych obserwacji w czasie podróży naszej drużyny. Później zauważyłem, że w każdym miejscu, w którym zatrzymywaliśmy się na odpoczynek, ludzie pytali Buliwyfa, jakiego rodzaju poszukiwanie podjął, a kiedy dowiadywali się o jego naturze — ja jeszcze wtedy jej nie rozumiałem — Buliwyfowi i wojownikom, a wśród nich i mnie, okazywali najwyższy szacunek, modlili się, składali ofiary i z serca życzyli pomyślności.

Na morzu, jak już wcześniej wspomniałem, Normanowie stali się szczęśliwi i pełni triumfalnej radości, chociaż, według mego osądu, morze to było wzburzone i bardzo groźne, co odczuł także mój wrażliwy żołądek, reagując rozstrojem. W rzeczy samej, zwymiotowałem, po czym zapytałem Hergera, dlaczego jego kompani są tak szczęśliwi.

Herger rzekł:

— Jest tak, ponieważ będziemy już wkrótce w domu Buliwyfa, w mieście znanym jako Yatlam, gdzie mieszkają jego ojciec i matka, i wszyscy jego krewni, a nie widział ich on od wielu już lat.

— Czyż nie jedziemy do kraju Wulfgara? — spytałem.

— Tak, ale godzi się, aby Buliwyf złożył hołd swemu ojcu, a także swojej matce — odparł Herger.

Widziałem po ich twarzach, że wszyscy pozostali hrabiowie, szlachcice i wojownicy byli tak szczęśliwi jak sam Buliwyf. Zapytałem Hergera, dlaczego tak się działo.

— Buliwyf jest naszym wodzem, toteż radujemy się wraz z nim, jak też i z mocy, którą wkrótce posiadzie.

Spytałem, co to za moc, o której mówił.

— Moc Rundinga — odrzekł Herger.

— Jaka to moc? — dopytywałem się, na co udzielił takiej odpowiedzi:

— Moc starożytnych, moc gigantów.

Normanowie wierzą, że w minionych wiekach świat zamieszkiwany był przez rasę olbrzymich ludzi, którzy wyginęli dawno temu.

Normanowie nie uważają się za potomków owych olbrzymów, ale otrzymali oni pewne moce od tych antycznych gigantów jakimiś niezbyt dla mnie zrozumiałymi drogami. Ci nieokrzesani ludzie wierzą też w wielu bogów, którzy również są gigantami

i którzy także posiadają moc. Ale giganci, o których mówił Herger, byli olbrzymimi ludźmi, a nie bogami, albo też tak mi się wydało.

Tej nocy przybiliśmy do skalistego brzegu usłanego kamieniami wielkości ludzkiej pięści; tam też Buliwyf i jego ludzie rozłożyli obozowisko i długo w nocy pili i śpiewali przy ogniu. Herger przyłączył się do tych obrzędów, lecz nie miał cierpliwości, by wyjaśnić mi znaczenie pieśni, nie wiem zatem, o czym śpiewali, ale byli szczęśliwi. O poranku mieli przybyć do domu Buliwyfa w Yatlam.

Ruszyliśmy przed pierwszym brzaskiem; było tak zimno, że bolały mnie kości i całe ciało miałem obolałe po nocy na skalistym brzegu, a wypłynęliśmy na szalejące morze miotani wyjąłym wichrem. Żeglowaliśmy przez cały ranek; w tym czasie podniecenie tych ludzi ciągle narastało, aż stali się jak dzieci albo kobiety. Zdumiewałem się, patrząc, jak ci olbrzymi, silni wojownicy chichoczą i zaśmiewają się niczym harem kalifa, oni jednakże nie dostrzegali w tym nic niemęskiego.

Ponad szarym morzem wyłaniał się skrawek lądu, wysoki skalisty występ z szarego kamienia; za tym punktem, jak powiedział mi Herger, było miasto Yatlam. Kiedy łódź płynęła wokół tej skalnej ściany, wyteżrzałem wzrok, by zobaczyć legendarną ojczyznę Buliwyfa. Wojownicy śmiali się i wznosili coraz głośniejsze okrzyki; domyślałem się, że opowiadali wiele prostackich dowcipów i planowali liczne uciechy z kobietami po zejściu na ląd.

I wtedy poczuliśmy zapach dymu na morzu i ujrzeliśmy ten dym, a wszyscy ludzie zamilkli. Kiedy przepływaliśmy obok skalnego występu, zobaczyłem na własne oczy, że owo miasto stało w płomieniach dogasającego ognia, spowite w kłęby czarnego dymu. Nie było tam ani śladu życia.

Buliwuf i jego wojownicy zeszli na ląd i chodzili po mieście Yatlam. Leżały tam martwe ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, niektóre strawione przez płomień, inne porąbane mieczami — mnóstwo trupów. Buliwuf i jego wojownicy nie odzywali się, lecz nawet tutaj nie okazywali smutku; nie było tam żadnego płaczu ani żalu. Nigdy nie widziałem rasy, która przyjmuje śmierć tak jak Normanowie. Ja sam wymiotowałem wiele razy, patrząc na te widoki, oni zaś nie mieli nawet mdłości.

Wreszcie odezwałem się do Hergera:

— Kto to zrobił?

Herger wskazał na lasy i wzgórze oddalone od szarego morza. Nad tymi lasami zalegały mgły. Pokazywał na nie i nic nie mówił.

— Czy to te mgły? — spytałem.

— Nie pytaj więcej. Dowiesz się prędzej, niżbyś pragnął — powiedział.

Następnie wydarzyło się to: Buliwuf wszedł do dymiącego, zrujnowanego domu i powrócił ku naszej drużynie, niosąc miecz.

Miecz ten był bardzo duży i ciężki, i tak rozgrzany ogniem, że niósł on go przez

płótno owinięte wokół rękojeści. Zaprawdę, powiadam, iż był to największy miecz, jaki kiedykolwiek widziałem. Był tak długi jak moje ciało, ostrze zaś miał płaskie i szerokie na dwie męskie dłonie umieszczone koło siebie. Był tak wielki i ciężki, że nawet Buliwyf, niosąc go, postękiwał. Zapytałem Hergera, co to za miecz, a on odrzekł:

— To Runding.

Później Buliwyf kazał całej swojej drużynie wsiąść na statek i znów wypłynęliśmy w morze. Żaden z wojowników nie odwrócił się, by spojrzeć na płonące miasto Yatlam, zrobiłem to tylko ja, i widziałem dymiące ruiny i mgły, przesłaniające oddalone wzgórza.

OBOZOWISKO W TRELBURGU

Dwa dni żeglowaliśmy wzdłuż płaskiego wybrzeża, mijając wiele wysp, które nazywają się ziemią Danów, wreszcie dopłynęliśmy do rejonu bagien z siatką wąskich rzek wpadających do morza. Rzeki te nie mają swoich własnych nazw, ale każda z nich nazywa się „wyk”, ludy zaś znad owych wąskich rzek to „Wykingowie”, co dla Normanów oznacza wojowników, którzy żeglują na swoich łodziach w górę rzek, by napadać na osady¹³.

Teraz, na tych bagiennych terenach, zatrzymaliśmy się w miejscu, które zwą oni Trelburgiem, co mnie zdziwiło. Nie ma tu żadnego miasta, jest to raczej obóz wojskowy, a jego mieszkańcy to wojownicy; są wśród nich jedynie nieliczne kobiety czy dzieci. Umocnienia obronne obozowiska Trelburg zostały zbudowane na wzór rzymskich, z wielką starannością i fachowością wykonania.

Trelburg leży w punkcie połączenia się dwóch wyków, które razem płyną dalej do morza. Główna część miasta otoczona jest dużym kolistym wałem ziemnym, tak wysokim jak pięciu ludzi stojących jeden na drugim. Dla jeszcze większej ochrony na tym ziemnym pierścieniu stoi drewniane ogrodzenie. Na zewnątrz pierścienia ziemnego znajduje się rów wypełniony wodą, nie wiem, jakiej głębokości.

Te umocnienia ziemne są doskonale wykonane, swoją symetrią i jakością mogą rywalizować ze wszystkimi, jakie znamy. Co więcej, od strony lądu miasto ma drugi półokrąg wysokiego wału, a za nim drugi rów.

Samo miasto położone jest w obrębie wewnętrznego pierścienia rozerwanego przez cztery bramy, wychodzące na cztery strony świata. Każdej bramy strzegą potężne dębowe drzwi z ciężkimi żelaznymi okuciami oraz strażnicy. Wielu strażników chodzi także wzdłuż wałów obronnych, trzymając wartę w dzień i w nocy.

W wewnętrznej części miasta stoi szesnaście drewnianych domostw, wszystkie podobne do siebie; są to długie budynki, takich bowiem chcą Normanowie, ze ścianami, które wygięte są tak, że przypominają odwrócone do góry dnem łodzie ze ściętymi płasko zakończeniami od frontu i od tyłu. Mają one trzydzieści kroków długości, a w części środkowej są szersze niż po bokach. Ustawione są w ten sposób: cztery długie

domy zestawione dokładnie w czworobok. Cztery zaś czworoboki rozmieszczone są tak, że obejmują łącznie szesnaście domów¹⁴.

Każdy dom ma tylko jedno wejście i nie jest ono umieszczone w polu widzenia pozostałych. Zapytałem, dlaczego, Herger zaś odpowiedział:

— Jeśli obóz zostanie zaatakowany, ludzie muszą biec, by go bronić, toteż wejścia są takie, aby mogli oni wybiegać w pośpiechu bez obijania się i zamieszania, lecz przeciwnie, żeby każdy mężczyzna mógł swobodnie podążyć na swoje stanowisko obronne.

Tak więc, w obrębie każdego czworoboku, jeden dom ma wejście północne, następny wejście wychodzące na wschód, kolejny dom wejście południowe i ostatni zachodnie; tak jest w każdym z czterech czworoboków.

Później zobaczyłem też, że chociaż Normanowie są ogromni, te drzwi wejściowe były tak niskie, że nawet ja musiałem zginać się wpół, aby wejść do któregoś z domów. Zagadnąłem o to Hergera, który powiedział:

— Jeśli nas zaatakują, jeden wojownik może pozostać wewnątrz domu i ścinać głowy wszystkich wchodzących. Drzwi są niskie, przeto głowy będą się pochylały do ścięcia.

Zaprawdę, zobaczyłem, że pod każdym względem miasto Trelburg zostało zbudowane w celach wojennych i obronnych. Nie prowadzi się tu żadnego handlu, jak już mówiłem. Wewnątrz tych długich domów są trzy pomieszczenia czy pokoje, do każdego prowadzą drzwi. Środkowy pokój jest największy, znajduje się w nim też dół na odpadki.

Zobaczyłem zatem, że ludzie z Trelburga nie byli tacy jak Normanowie znad Wołgi. Ci stąd byli to czyści ludzie, jak na swoją rasę. Myli się w rzece, usuwali swoje nieczystości na zewnątrz domostw i przewyższali pod każdym względem tych, których poznałem do tej pory. Jednakże nie są oni prawdziwie czyści, lecz jedynie w porównaniu z innymi.

Spółeczność Trelburga to przeważnie mężczyźni, wszystkie zaś kobiety to niewolnice. Nie ma wśród tych kobiet żon, a wszystkie one brane są swobodnie, kiedy tylko mężczyźni mają na to ochotę. Ludzie z Trelburga żywią się rybami i niewielką ilością chleba; nie zajmują się oni rolnictwem ani hodowlą, chociaż na żuławach otaczających miasto są tereny nadające się pod siew. Zapytałem Hergera, dlaczego nie ma tam rolnictwa, on zaś odpowiedział:

— Ci ludzie to wojownicy. Oni nie uprawiają ziemi.

Buliwyf i jego drużyna zostali łaskawie przyjęci przez dowódców Trelburga, których jest kilku, a najważniejszy z nich nazywa się Sagard. Jest on silnym i gwałtownym człowiekiem, prawie tak olbrzymim jak Buliwyf.

Podczas nocnej biesiady Sagard zapytał Buliwyfa o jego misję i przyczyny tej wyprawy, a Buliwyf opowiedział o błagalnej prośbie Wulfgara. Herger tłumaczył mi wszystko, chociaż, prawdę mówiąc, spędziłem wśród tych nieokrzesanych pogan

dostatecznie dużo czasu, by nauczyć się kilku słów w ich języku. A oto treść rozmowy Sagarda i Buliwyfa:

Sagard przemówił tak:

— Wulfgar słusznie uczynił, podejmując się misji posłannika, chociaż jest on synem króla Rothgara, gdyż kilku synów Rothgara powaśniło się między sobą.

Buliwyf rzekł, że nic o tym nie wiedział, wyraził to tymi właśnie czy podobnymi słowami. Ale spostrzegłem, że nie był bardzo zdziwiony. Co prawda Buliwyf rzadko dziwił się czemukolwiek. Taka była jego rola, jako przywódcy wojowników i ich bohatera.

Sagard przemówił znowu:

— Zaprawdę, Rothgar miał pięciu synów, lecz trzech zginęło z ręki jednego z nich, Wiglifa, człowieka zręcznego¹⁵, z którym spiskuje w tym przedsięwzięciu herold starego króla. Jedyne Wulfgar pozostał wierny, i on właśnie wyjechał.

Buliwyf powiedział do Sagarda, że rad jest, słysząc te nowiny i że zachowa je w pamięci; na tym rozmowa się zakończyła. Buliwyf ani żaden z jego wojowników nie okazali najmniejszego zdziwienia, słuchając słów Sagarda, z czego wywnioskowałem, że wśród synów królewskich powszechne jest pozbywanie się siebie nawzajem dla zdobycia tronu.

Jest również prawdą, że od czasu do czasu zdarza się, iż syn morduje własnego ojca, aby zawładnąć tronem, co także nie jest poczytywane za nic osobliwego, Normanowie bowiem traktują to tak samo jak każdą pijacką bijatykę pomiędzy wojownikami. Normanowie postępują zgodnie z przysłowiem: „Oglądaj się za siebie” i uważają, że mężczyzna musi być zawsze przygotowany do obrony, nawet przed własnym synem.

W dniu naszego wyjazdu zapytałem Hergera, dlaczego wybudowano dodatkowe umocnienia, mające bronić Trelburga od lądu, a nie zrobiono dodatkowych fortyfikacji od strony morza. Normanowie to ludzie żeglujący po morzu i atakujący z morza, jednakże Herger rzekł:

— To właśnie ląd jest niebezpieczny.

Wypytywałem go:

— Dlaczego ten ląd jest niebezpieczny?

On zaś odparł:

— Z powodu mgieł.

W czasie naszego odjazdu z Trelburga wojownicy tam zgromadzeni uderzali swoimi pałkami o tarcze, wszczynając ogłuszający hałas przy naszym statku, który rozwinął żagiel. Miało to, jak mi powiedziano, przyciągnąć uwagę Odyna, jednego spośród ich bogów, po to, aby ów Odyn patrzył łaskawie na podróż Buliwyfa i jego dwunastu ludzi.

Dowiedziałem się także i tego: liczba trzynaście jest bardzo znacząca dla Normanów,

ponieważ, według ich rachuby, księżyc rośnie i umiera trzynastcie razy w ciągu jednego roku. Z tego powodu wszystkie ważne wyliczenia muszą zawierać liczbę trzynastcie. Tak więc Herger mówił mi, że liczba domostw w Trelburgu wynosi trzynastcie i jeszcze trzy dodatkowo, a nie szesnaście, tak jak ja to wyraziłem.

Dalej dowiedziałem się, że ci Normanowie mają pewne pojęcie o tym, że rok nie odpowiada dokładnie trzynastu przemianom księżyca, toteż w ich systemie myślowym liczba trzynastcie nie jest stała ani ściśle oznaczona. Trzynasta przemiana nazywana jest magiczną i obcą, i Herger mówił mi:

— Ty przeto, jako obcy, zostałeś wybrany na trzynastego.

Zaprawdę, ci Normanowie są przesądni, bez uciekania się do rozumu, przyczyny czy prawa. Moim oczom jawili się jako nieznośne dzieci, jednakże przebywałem wśród nich, więc trzymałem język za zębami. Dość prędko mogłem się cieszyć ze swojej roztropności, nastąpiły bowiem te wydarzenia:

Żeglowaliśmy naprzód przez jakiś czas po odejździe z Trelburga, kiedy przypomniałem sobie, że nigdy przedtem mieszkańcy żadnego miasta nie urządzali nam ceremonii pożegnalnej z biciem w tarcze przyzywającym Odyna. Powiedziałem o tym wszystkim Hergerowi.

— To prawda — odparł. — Jest szczególny powód, by wzywać Odyna, ponieważ znajdujemy się na morzu potworów.

Odebrałem to jako dowód ich zabobonności. Spytałem, czy któryś z wojowników widział kiedykolwiek owe potwory.

— Zaprawdę, wszyscyśmy je widzieli — rzekł Herger. — Jakże inaczej wiedzielibyśmy o nich?

Po brzmieniu jego głosu poznałem, że uważa mnie za głupca z powodu mego niedowierzania.

Minęło jeszcze trochę czasu, kiedy rozległ się okrzyk i wszyscy wojownicy Buliwyfa powstali, wskazując na morze, patrzyli i wykrzykiwali do siebie nawzajem. Zapytałem Hergera, co się stało.

— Jesteśmy teraz wśród potworów — powiedział, coś pokazując.

Otóż morze jest w tym rejonie niezwykle burzliwe. Wiatr wieje z gwałtowną siłą; rozbielając pianą morskie odmęty i bryzgając wodą w twarz żeglarzowi, wyprawia dziwne sztuki z jego wzrokiem. Obserwowałem morze przez dłuższą chwilę, lecz nie dostrzegłem owego morskiego potwora, nie miałem zatem powodów, by wierzyć w to, co oni opowiadali.

Nagle jeden z nich krzyknął, wzywając Odyna; wśród żarliwych modłów powtarzał to imię wiele razy w błagalnej prośbie, i wtedy ja również ujrzałem na własne oczy morskiego potwora. Miał on kształt olbrzymiego węża, który nigdy nie wznosił łba ponad powierzchnię wody, ale widziałem, jak jego ciało wiło się i skręcało, a było ono

bardzo długie, szersze niż statek normański, i miało czarną barwę. Morski potwór wypluł wodę w powietrze, jak fontanna, a potem zanurzył się w głąb, unosząc ogon rozszczepiony na dwoje niczym rozwidlony język węża. Ale ten ogon był ogromny, a każda jego część szersza niż największy liść palmowy.

Teraz ujrzałem innego potwora i jeszcze jednego, a potem następnego; wydawało się, że jest ich tam cztery, a może nawet sześć lub siedem. Każdy zachowywał się tak jak jego towarzysze, kręcąc się w wodzie, rzygając fontanną i wznosząc olbrzymi rozdwojony ogon. Na ten widok Normanowie krzykiem wzywali pomocy Odyna, a liczni spośród nich padli na pokładzie na kolana, dygocząc.

Zaprawdę, widziałem na własne oczy potwory morskie, pływające w morzu dookoła nas, a później, po upływie jakiegoś czasu, zniknęły i nie zobaczyliśmy ich więcej. Wojownicy Buliwyfa podjęli na nowo swój żeglarski trud i nikt nie rozmawiał już o tych potworach, ale jeszcze długo potem bardzo się bałem, a Herger powiedział mi, że moja twarz była biała jak twarz osoby z Północy, i śmiał się.

— Cóż mówi na to Allah? — spytał mnie, a ja nie znałem odpowiedzi¹⁶.

Wieczorem, kiedy przybiliśmy do brzegu i rozpaliliśmy ogień, spytałem Hergera, czy potwory morskie kiedykolwiek zaatakowały jakiś statek na morzu, a jeśli tak, jak się to odbyło, ponieważ nie widziałem żadnych głów tych potworów.

W odpowiedzi Herger przywołał Ecthgow, jednego ze szlachciców i zastępcę Buliwyfa. Ecthgow był poważnym wojownikiem, który nie bywał wesoły, o ile się nie upił. Zgodnie ze słowami Hergera był on na statku, który został zaatakowany. Ecthgow opowiedział mi to: potwory morskie są większe niż cokolwiek na powierzchni łądu i większe niż jakikolwiek statek na morzu, a kiedy atakują, podpływają pod okręt, unoszą go w powietrze, odrzucają na bok, jak kawałek drewna, i miażdżą swoimi rozwidlonymi ogonami. Ecthgow opowiadał, że na jego okręcie było trzydziestu ludzi, a tylko on i jeszcze dwaj inni przeżyli dzięki łaskawości bogów. Ecthgow mówił zwyczajnie i, jak zwykle on, bardzo poważnie, więc wierzyłem mu, że mówi prawdę.

Ecthgow wyjaśnił mi też, że Normanowie wiedzą, iż potwory te atakują, ponieważ pragną obcować ze statkiem, biorąc go za istotę należącą do ich rodzaju. Z tego powodu Normanowie nie budują nazbyt wielkich okrętów.

Herger powiedział mi, że Ecthgow jest wielkim wojownikiem, który zyskał sławę w boju, i że należy mu wierzyć we wszelkich sprawach.

Przez następne dwa dni żeglłowaliśmy wśród krainy Danów, trzeciego zaś dnia wpłynęliśmy na otwarte morze. Lękałem się, że tutaj znów zobaczymy morskie potwory, ale nie widzieliśmy ich; aż wreszcie dotarliśmy do terytorium zwanego Venden. Ziemie Venden są górzyste i posępne; ludzie Buliwyfa podpłynęli do nich na jego statku z pewnym drżeniem i zabili kurę, którą wrzucili do morza w ten sposób: głowę zrzucili z dziobu statku, tułów zaś z miejsca przy sterniku, z rufy.

Nie skierowaliśmy się prosto do brzegu ziemi Venden, lecz żeglowaliśmy wzdłuż wybrzeża, docierając w końcu do królestwa Rothgara. Oto, co ujrzałem najpierw: wysoko na skalnej ścianie, górując nad szarym bezmiarem rozszalałego morza, stał potężny drewniany dwór, wyniosły i okazały. Powiedziałem do Hergera, że to wspaniały widok, ale i Herger, i wszyscy jego kompani pod przywództwem Buliwyfa pomrukiwali tylko i kiwali głowami. Zapytałem Hergera, dlaczego tak się działo. Powiedział:

— Rothgara nazywają Rothgarem Próżnym, a jego wielki dwór jest znakiem próżnego człowieka.

— Dlaczego tak mówisz? — spytałem. — Z powodu rozmiarów i przepychu tego dworu?

Zaprawdę bowiem, kiedy podpłynęliśmy bliżej, zobaczyłem, że dwór ten był bogato zdobiony rzeźbieniami i srebrnymi ornamentami, które połyskiwały z daleka.

— Nie — rzekł Herger. — Powiadam, że Rothgar jest próżny z powodu sposobu, w jaki wybudował swoją siedzibę. Wzywa bogów, by go stręcili, i udaje, że jest czymś więcej niż człowiek, więc spotkała go kara.

Nigdy przedtem nie widziałem bardziej niezdożytego wielkiego dworu, toteż powiedziałem Hergerowi:

— Na ten dwór nie można napaść, jakże więc Rothgar ma zostać stręcony?

Herger roześmiał się i odparł:

— Wy, Arabowie, jesteście bezdennie głupi i nic nie wiecie o zwyczajach obowiązujących w świecie. Rothgar zasługuje na nieszczęście, jakie na niego spadło; jedynie my możemy go ocalić, a możliwe też, że i nam się to nie uda.

Słowa te zadziwiły mnie jeszcze bardziej. Spojrzałem na Ecthgową, zastępcę Buliwyfa, i zobaczyłem, że stał on na statku nadržabiając miną, chociaż kolana mu dygotały; i to nie przenikliwość wiatru sprawiła, że się tak trzęsły. Ecthgow bał się; wszyscy oni się bali, a ja nie wiedziałem, dlaczego.

KRÓLESTWO ROTHGARA NA ZIEMI VENDEN

Statek przybił do brzegu w czasie popołudniowej modlitwy, toteż błagałem Allaha o przebaczenie za to, że nie odprawiłem modłów. Nie mogłem jednak tego uczynić w obecności Normanów, którzy sądzili, że moje modlitwy to klątwy rzucane na nich, i zagrozili, że mnie zabiją, jeśli będę się modlił w zasięgu ich wzroku.

Każdy wojownik na statku ubrał się w strój bojowy, który wyglądał tak: najpierw buty i getry z szorstkiej wełny, a na wierzchu grube futro sięgające kolan. Na to nałożyli kolczugi; mieli je wszyscy prócz mnie. Następnie każdy wziął swój miecz i przypiął go do pasa; każdy ujął swą białą tarczę ochronną i włócznię; każdy włożył na głowę hełm zrobiony z metalu lub ze skóry¹⁷; przez to wszyscy ci mężczyźni byli tacy sami, wyjąwszy Buliwyfa, który jako jedyny niósł miecz w ręku, gdyż był on zbyt wielki.

Wojownicy patrzyli w górę na ogromny dwór Rothgara, zdumiewali się jego błyszczącym dachem i niezwykłą starannością wykonania, zgodnie przyznając, że nie ma na świecie niczego podobnego do tego dworu, z jego wyniosłymi szczytami i bogatymi rzeźbieniami. Jednakże w mowie ich nie było szacunku.

W końcu zeszedliśmy z okrętu i powędrowaliśmy drogą wykutą w kamieniu pod górę, do wielkiego dworu. Pobrzękujące miecze i klekoczące kolczugi robiły niemało hałasu. Po przejściu niewielkiego odcinka ujraliśmy koło drogi nasrożoną głowę wołu zatkniętą na kiju. Zwierzę było świeżo zabite.

Na ten omen wszyscy Normanowie westchnęli ciężko i zasmuciły się ich oblicza, chociaż dla mnie nie miał on żadnej wagi. Przywykłem już bowiem do ich obyczaju zabijania jakiegoś zwierzęcia z lada powodu, z przyczyny najmniejszej obawy czy rozdrażnienia. A jednak ta głowa wołu miała szczególne znaczenie.

Buliwyf odwrócił wzrok, popatrzył na pola krainy Rothgara i zobaczył tam odosobnioną zagrodę, z tych, jakie są pospolite na Rothgarowych ziemiach. Ściany tego domostwa były drewniane, uszczelnione masą z błota i słomy, którą trzeba uzupełniać po częstych deszczach. Dach był kryty strzechą oraz drewnem. Wewnątrz takich domów jest gliniana podłoga i palenisko oraz łajno zwierząt, gdyż mieszkańcy zagrody śpią razem ze zwierzętami, korzystając z ciepła wydzielanego przez ich ciała, a gnój służy im za opał.

Buliwyf wydał rozkaz, byśmy jechali do tej zagrody, przeto ruszyliśmy przez pola, które zieleniły się, ale były podmokłe i ziemia pod stopami ugięła się od wilgoci. Raz czy dwa moi kompani zatrzymali się, by zbadać teren przed dalszą drogą, lecz nie zauważyli niczego, co mogłoby nas powstrzymać. Ja również niczego nie dostrzegłem.

Jednakże Buliwyf ponownie wstrzymał swoją drużynę i wskazał na ciemną ziemię. Zaprawdę, widziałem na własne oczy odcisk nagiej stopy, a właściwie — wielu stóp. Były one spłaszczone i brzydsze niż wszystko, co istnieje na świecie i jest nam znane. Przy każdym odcisku palucha był tam też ostry, wryty w ziemię ślad zrogowaciałego paznokcia czy pazura: tak więc kształt ten wyglądał na ludzki, a jednak nie należał do człowieka. Widziałem go na własne oczy, ale nie wierzyłem świadectwu mego wzroku.

Buliwyf i jego wojownicy pokiwali głowami na ten widok i słyszałem, jak powtarzali stale jedno słowo: „wendol” lub „wendlon”, czy coś takiego. Znaczenie tej nazwy było mi nieznane, ale czułem, że w tym momencie nie należy o nic pytać Hergera, gdyż był on równie zaniepokojony jak wszyscy pozostali. Podążaliśmy ku zagrodzie, tu i ówdzie dostrzegając kolejne ślady tych zrogowaciałych stóp odcisnięte w ziemi. Buliwyf i jego wojownicy szli wolno, ale nie była to ostrożność, nikt bowiem nie wyciągnął broni; było to raczej jakies przerażenie, którego nie pojmowałem, a mimo to odczuwałem je wraz z nimi.

W końcu dotarliśmy do tego chłopskiego domostwa i weszliśmy doń. W zagrodzie ujrzałem na własne oczy taki widok: był tam mężczyzna młodego wieku, o barczystej budowie, którego ciało zostało rozszarpane członkiem po członku. Tułów leżał tu, ręka ówdzie, noga jeszcze gdzie indziej. Krew rozlała się w gęste kałuże na klepisku, była też na ścianach, na suficie, na każdej powierzchni i w takiej obfitości, że wydawało się, iż cały dom został pomalowany czerwoną krwią. Była tam również kobieta, w ten sam sposób porozrywana na kawałki. I jeszcze dziecię płci męskiej, niemowlę dwuletnie lub młodsze; jego główka, oderwana od ramion, pozostawiła w ciele krwawiący kikut.

Wszystko to widziałem na własne oczy, a był to najstraszliwszy widok, jaki kiedykolwiek oglądałem. Dostałem torsji, przez godzinę leżałem omdlały, po czym zwymiotowałem jeszcze raz.

Nigdy nie zrozumieć postępowania Normanów, gdyż nawet wówczas, kiedy ja miałem torsje, oni pozostali obojętni i opanowani wobec tego makabrycznego widoku; ze spokojem oglądali to, co zobaczyli, badali ślady pazurów na poszarpanych szczątkach i dyskutowali o sposobie, w jaki ciała były porozrywane. Wielką wagę przywiązywali do faktu, że brakowało wszystkich głów; zauważyli też rzecz najohydniejszą z tego wszystkiego — okropny widok, który teraz jeszcze wspominam z drżeniem: ciało owego dziecka płci męskiej było pożute jakimś szatańskimi zębami, które wygryzły miękkie ciało z tyłu uda. Pokąsane były też okolice ramienia. Tę potworność widziałem na własne oczy.

Wojownicy Buliwyfa mieli zawzięte twarze i groźne spojrzenia, kiedy wychodzili z tej zagrody. Nadal bacznie zwracali uwagę na rozmiękłą ziemię koło domu; zauważyli, że nie było na niej śladów końskich kopyt; fakt ten miał dla nich znaczenie. Nie rozumiałem, dlaczego, ale i nie troszczyłem się o to zbyt, wciąż czując ciężar w sercu i słabość w ciele.

Kiedy szliśmy przez pola, Ecthgow dokonał pewnego odkrycia: znalazł mały kawałek kamienia, mniejszy niż dziecięca piastka, wypolerowany i z gruba rzeźbiony. Wszyscy wojownicy stoczyli się dookoła, aby go dokładnie obejrzeć, ja także znalazłem się wśród nich.

Spostrzegłem, że był to tors ciężarnej. Nie było głowy ani ramion, ani nóg, tylko tułów z ogromnym, wydętym brzuchem, a nad nim dwie nabrzmiące, obwisłe piersi¹⁸. Uznałem ten twór za niewykończony i niezmiernie brzydki, ale nic poza tym. Jednakże Normanowie pobladli nagle, byli całkiem przybici i rozdygotani; ręce im drżały, gdy wyciągali je, by dotknąć posążka, aż wreszcie Buliwyf cisnął go na ziemię i rozbijał ręką swego miecza, dopóki nie pozostały tylko potrzaskane okruchy. Wówczas kilku wojowników dostało mdłości i wymiotowali na ziemię. Powszechne przerażenie było tak wielkie, że się zdumiałem.

Później ruszyliśmy ku wielkiemu dworowi króla Rothgara. Nikt nie odezwał się w czasie drogi trwającej niemal godzinę. Każdy z Normanów wydawał się pogrążony w przykrych i wyczerpujących myślach, ale nie okazywali oni już więcej strachu.

Wreszcie spotkaliśmy konnego herolda, który przeciął nam drogę. Dostrzegł on broń, jaką mieliśmy, i wojowniczą postawę całej drużyny oraz Buliwyfa i krzyknął ostrzeżenie.

Herger rzekł do mnie:

— Chce on poznać nasze imiona, i to szybko.

Buliwyf odpowiedział coś heroldowi, a po tonie jego głosu poznałem, że Buliwyf nie miał nastroju na dworskie uprzejmości. Herger mówił dalej:

— Buliwyf wyjaśnia mu, że jesteśmy poddanymi króla Higlaca, z królestwa Yatlam, że jedziemy z misją do króla Rothgara i chcemy z nim mówić.

Herger dodał też:

— Buliwyf mówi, że Rothgar jest najznakomitszym królem.

Ton głosu Hergera wyrażał jednak całkiem przeciwny sąd w tej sprawie.

Herold kazał nam szybko udać się do wielkiego dworu i poczekać na zewnątrz, podczas gdy on powie królowi o naszym przybyciu. Uczyniliśmy to, chociaż Buliwyf i jego ludzie nie byli zachwyceni takim traktowaniem; rozległo się pomrukiwanie i szemranie, gościnność bowiem należy do normańskich obyczajów, toteż przetrzymywanie za bramą wydawało się niezbyt łaskawym powitaniem. Jednakże czekali, a także odłożyli broń, pozostawiając swoje miecze i włócznie u bram wiodących do dworu. Zbroi jednak

przezornie nie zdjęli.

Sam zaś dwór był ze wszystkich stron otoczony różnymi domostwami, obyczajem ludzi Północy. Były to długie domy z wygiętymi bokami, jak te w Trelburgu, ale różniły się usytuowaniem, tutaj bowiem nie było czworoboków. Nie było również widać fortyfikacji ani umocnień ziemnych.

Dalej, za wielkim dworem i długimi budynkami wokół niego, teren opadał ku rozległej, płaskiej, zielonej równinie, z tu i ówdzie rozrzuconymi zagrodami, a za tą doliną, w oddali, widniały wzgórza i skraj lasu.

Zapytałem Hergera, kto mieszka w tych długich domach, on zaś odpowiedział:

— Kilka należy do króla, niektóre są dla jego rodziny, pozostałe zamieszkane są przez jego szlachtę, a także przez służbę i niższych członków jego dworu.

Powiedział też, iż jest to trudne miejsce, lecz nie zrozumiałem, co chciał przez to wyrazić.

Wreszcie pozwolono nam wejść do wielkiego dworu króla Rothgara. Zaprawdę, powiadam, że dwór ten trzeba uznać za jeden z cudów całego świata, tym bardziej że znajduje się on w tej surowej krainie Północy. Dwór ów poddani króla Rothgara nazywają imieniem Hurót, albowiem Normanowie nadają ludzkie imiona rzeczom ważnym w ich życiu, budowłom i łodziom, a szczególnie broni.

Powiadam zatem: ten Hurót, wielki dwór Rothgara, był tak ogromny jak główny pałac kalifa i bogato inkrustowany srebrem, a nawet gdzieniegdzie złotem, które jest na Północy niezwykle rzadkie. Na wszystkich bocznych ścianach były desenie i ornamenty świadczące o najwyższym przepychu i niespotykanym mistrzostwie. Zaprawdę, był to pomnik potęgi i chwały króla Rothgara.

Sam król Rothgar siedział w odległym krańcu dworu Hurót, którego przestrzeń jest tak ogromna, że z tej odległości prawie nie mogliśmy dostrzec władcy. Za jego prawym ramieniem stał ten herold, który nas zatrzymał. Herold ów wygłosił mowę, która, jak mi powiedział Herger, brzmiała tak:

— Oto, o królu, drużyna wojowników z królestwa Yatlam. Ludzie ci dopiero co przypłynęli morzem, a wodzem ich jest człowiek imieniem Buliwyf. Proszę usilnie, byś pozwolił im powiedzieć, z czym przybywają, o królu. Nie broń im wstępu, mają obejście hrabiów, a z zachowania ich wodza widać, że to wielki wojownik. Powitaj ich jak hrabiów, o królu Rothgarze.

Tak więc dozwolono nam zbliżyć się do króla Rothgara.

Król Rothgar wyglądał na człowieka bliskiego śmierci. Nie był młody, włosy jego były białe, skóra bardzo blada, na twarzy zaś, poranej bruzdami, malowały się smutek i strach. Patrzył na nas, mrużąc oczy, czy to z podejrzliwości, czy też dlatego, że był niemal ślepy, nie wiem. Wreszcie przemówił takimi, jak mi powiedział Herger, słowami:

— Wiem o tym człowieku, posłałem bowiem po niego, by podjął tę bohaterską misję.

To Buliwyf, poznałem go jako chłopca, kiedy popłynąłem morzem do królestwa Yatlam. Jest on synem Higlaca, który był tam moim łaskawym gospodarzem, a oto teraz syn jego przybywa do mnie w czas smutku, kiedy jestem w potrzebie.

Później Rothgar wezwał wojowników, aby zebrali się w wielkim dworze, i rozkazał, by przyniesiono dary i urządzono uroczyste przyjęcie.

Następnie Buliwyf wygłosił długą mowę, której Herger nie tłumaczył dla mnie, albowiem odezwane się w czasie, gdy Buliwyf przemawiał, oznaczałoby brak szacunku. W każdym razie sens był taki: Buliwyf, usłyszawszy o kłopotach Rothgara, strapił się nimi niezmiernie; te same troski zniszczyły królestwo jego własnego ojca, przybył przeto, aby wyzwolić królestwo Rothgara od zła, które je nękało.

Wciąż nie wiedziałem, czym było to, co Normanowie nazywali złem, chociaż oglądałem już dzieło bestii rozrywających ludzi na kawałki.

Król Rothgar przemówił znowu, spiesząc się nieco. Ze sposobu, w jaki mówił, wywnioskowałem, że chciał powiedzieć parę słów, zanim zejdą się wszyscy jego wojownicy i hrabiowie. Mówił tak [według Hergera]:

— O Buliwyfie, znałem twojego ojca, kiedy sam byłem jeszcze młodym człowiekiem, który dopiero co wstąpił na tron. Teraz jestem stary, a rozpacz trawi me serce. Moja głowa chwieje się. Moje oczy, oglądające mą słabość, wypełniają łzy wstydu. Jak widzisz, tron mój nie znaczy już niemal nic. Moje ziemie zmieniają się w zdziczałą krainę. Nie potrafię wyrazić, co te biesy zrobiły z mego królestwa. Często w nocy wojownicy moi, odważni dzięki trunkowi, przysięgają, że rozprawią się z tymi biesami. A później, kiedy blade światło świtania wypełza na pola spowite mgłą, oglądamy wszędzie pokrwawione ciała. Taki jest największy smutek mego życia i nie powiem o tym nic więcej.

Następnie wyniesiono ławę i ustawiono na niej przed nami posiłek, a ja zapytałem Hergera, co oznaczają te „biesy”, o których mówił król. Herger rozgniewał się i powiedział, że bym nigdy więcej o to nie pytał.

Tego wieczora odbyły się wielkie uroczystości, a król Rothgar i jego królowa Weilew, w strojach kapiących od klejnotów i złota, przewodniczyli szlachcie, wojownikom i hrabiom królestwa Rothgara. Szlachcice owi byli wynędzniali; byli to starzy ludzie, którzy pili za dużo, wielu z nich było okaleczonych lub rannych. W spojrzeniach ich zapadniętych oczu czaił się głuchy strach, pod wesołością ich kryła się pustka.

Był tam również ów syn imieniem Wiglif, o którym już wcześniej wspominałem, syn Rothgara, który zamordował swoich trzech braci. Człowiek ten, młody i szczupły, miał jasny zarost i oczy, które nigdy na niczym nie spoczywały dłużej, lecz nieustannie przesuwają się po tym i owym; unikał on także wzroku innych. Herger zobaczył go i powiedział:

— To lis.

Miał przez to na myśli, że był on chytrym i zmiennym człowiekiem, o fałszywym

postępowaniu, ponieważ Normanowie uważają lisa za zwierzę, które może przybrać każdą postać, jaka mu odpowiada.

Później, w połowie uroczystości, Rothgar wysłał swego herolda do bram dworu Hurot, po czym herold ogłosił, że mgła nie nadejdzie tej nocy. Zapanowała powszechna radość i ożywienie na skutek obwieszczenia, iż noc będzie przejrzysta; wszyscy byli zadowoleni, z wyjątkiem Wiglifa.

W pewnym momencie ten syn Wiglif powstał i rzekł:

— Wznoszę toast na cześć naszych gości, a zwłaszcza Buliwyfa, odważnego i prawdziwego wojownika, który przybył, aby dopomóc nam w ciężkim położeniu, chociaż może się okazać, że ta przeszkoda będzie dla niego zbyt trudna do pokonania.

Herger szeptem tłumaczył mi te słowa, a ja pojąłem, że była w nich jednocześnie pochwała i zniewaga.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Buliwyfowi w oczekiwaniu na jego odpowiedź. Buliwyf wstał i popatrzył na Wiglifa, po czym rzekł:

— Nie lękam się niczego, nawet nieopierzonego biesa, który skrada się w nocy, aby mordować ludzi podczas ich snu.

Sądziłem, że odnosi się to do owego „wendola”, ale Wiglif zbladł i mocno ścisnął krzesło, na którym siedział.

— Czy mówisz o mnie? — zapytał drżącym głosem.

— Nie, lecz ciebie nie lękam się ani trochę bardziej niż potworów z mgły — odparł Buliwyf.

Młodzieniec Wiglif nie ustępował pola, chociaż król Rothgar wezwał go, aby usiadł. Wiglif powiedział do wszystkich zgromadzonych szlachciców:

— Ten Buliwyf, przybyły z obcych krajów, ma, sądząc z pozorów, wielką dumę i wielką siłę. Jednakże ja postanowiłem poddać go próbie, albowiem duma może przesłonić oczy każdego człowieka.

Nagle zobaczyłem, jak rozegrała się taka scena: potężnie zbudowany wojownik, siedzący przy stole koło drzwi, za Buliwyfem, powstał prędko, wyciągnął włócznię i wymierzył ją w plecy Buliwyfa. Wszystko to wydarzyło się w czasie krótszym niż ten, jakiego człowiek potrzebuje, by wciągnąć oddech¹⁹.

Jednakże Buliwyf odwrócił się, wyciągnął włócznię i dźgnął nią mocno tego wojownika prosto w pierś, podniósł go na drzewcu włóczni wysoko nad głowę i cisnął nim o ścianę. Wojownik ów, nadziany w ten sposób na włócznię, z nogami zwisającymi nad podłogą, wił się i kopał; ostrze włóczni tkwiło w ścianie dworu Hurot. Wojownik skonał, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Nastąpiło teraz wielkie zamieszanie, a Buliwyf odwrócił się, aby spojrzeć w twarz Wiglifowi, i powiedział:

— Tak właśnie odeprę każdą groźbę.

Zaraz potem z wielką nagłością odezwał się Herger; przemawiając głosem nazbyt donośnym i gestykulując, wskazywał na moją osobę. Byłem bardzo zmieszany tymi wydarzeniami i, doprawdy, nie mogłem oderwać wzroku od tego wojownika przyszpilonego do ściany.

Nagle Herger zwrócił się do mnie, mówiąc po łacinie:

— Zaśpiewasz pieśń dla dworu króla Rothgara. Wszyscy tego pragną.

— Co mam zaśpiewać?— zapytałem. — Nie znam żadnej pieśni.

— Zaśpiewasz coś, co rozwesela serce — odrzekł i szybko dodał: — Nie mów nic o swoim jedynym Bogu. Nikt nie dba o takie głupstwa.

Naprawdę nie wiedziałem, co zaśpiewać, ponieważ nie jestem minstrelem. Upłynęło trochę czasu, w którym wszyscy wpatrywali się we mnie, a cały dwór pogrążony był w ciszy. Wówczas Herger rzekł do mnie:

— Zaśpiewaj pieśń o królach i o waleczności w boju.

Odpowiedziałem, że nie znam takich pieśni, ale że mógłbym opowiedzieć im bajkę, którą w mojej ojczyźnie uważają za zabawną i rozweselającą. Słyszając to, rzekł on, że dokonałem mądrego wyboru.

Wówczas opowiedziałem im — królowi Rothgarowi, jego królowej Weilew, jego synowi Wiglifowi oraz wszystkim zgromadzonym hrabiom i wojownikom — historię papuci Abu Kassima, którą wszyscy znają. Mówiłem swobodnie, uśmiechając się przez cały czas, i początkowo Normanowie byli zadowoleni, śmiali się i poklepywali po brzuchach.

Ale oto wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy tak opowiadałem, Normanowie przestali się śmiać, stopniowo zasepiali się coraz bardziej, a kiedy skończyłem tę opowieść, nie było już śmiechu, a jedynie martwa cisza.

Herger powiedział do mnie:

— Nie mogłeś o tym wiedzieć, ale to nie jest opowieść do śmiechu, więc muszę ją teraz poprawić.

Po czym wygłosił on jakąś mowę, którą odebrałem jako żarty na mój temat, gdyż rozległ się powszechny śmiech, i w końcu uroczystości rozpoczęły się na nowo.

Historia papuci Abu Kassima to bardzo stara opowieść arabska, dobrze znana ibn-Fadlanowi i jego współobywatelom z Bagdadu.

Historia ta ma wiele wersji i można ją przedstawić zwięźle lub bardzo szczegółowo, w zależności od entuzjazmu opowiadającego. W skrócie: Abu Kassim jest bogatym kupcem i skąpcem, który pragnie ukryć swe bogactwo w celu uzyskania korzystniejszych okazji handlowych. Aby stworzyć pozory ubóstwa, nosi szczególnie tandetne, nędzne papucie. Ma nadzieję, że w ten sposób uda mu się okpić ludzi, ale nikt nie daje się nabrać. Wszyscy natomiast uważają, że jest głupi i śmieszny.

Pewnego dnia Abu Kassim dobija szczególnie korzystnego targu, kupując wyroby szklane. Postanawia to uczcić, ale nie tak, jak się powszechnie praktykuje, zapraszając swoich przyjaciół na ucztę, tylko pozwalając sobie na drobny, egoistyczny luksus wizyty w łaźni publicznej. Pozostawia swoje odzienie i buty w przedpokoju, a jeden z przyjaciół wymyśla mu z powodu tak zniszczonego i nieodpowiedniego obuwia. Abu Kassim odpowiada, że nadaje się ono jeszcze do użytku, po czym wchodzi do łaźni ze swym przyjacielem. Nieco później pewien wpływowy sędzia również przybywa do łaźni i rozbiera się, pozostawiając parę eleganckich papuci. W tym czasie Abu Kassim wychodzi z kąpeli i nie może znaleźć swoich starych pantofli; zamiast nich znajduje parę nowych przepięknych butów. Sądząc, że jest to prezent od jego przyjaciela, zakłada je i wychodzi.

Po wyjściu z łaźni sędzia nie może znaleźć swoich pantofli, na ich miejscu leży para nędznych, tandetnych papuci, które każdy rozpoznaje jako należące do skąpca Abu Kassima. Sędzia wpada w złość; śludzy wyruszają na poszukiwanie zaginionych pantofli i wkrótce znajdują je na stopach złodzieja. Kupiec, zawleczony na rozprawę przed sądem miejskim, zostaje ukarany wysoką grzywną.

Abu Kassim przeklina swoje nieszczęście i natychmiast po powrocie do domu wyrzuca pechowe papucie przez okno, prosto do błotnistej rzeki Tygrys. Kilka dni później grupa rybaków wyciąga w czasie połowu, wraz z kilkoma rybami, papucie Abu Kassima; ich ćwieki porwały im sieci. Rozwścieczeni, ciskają nasiąknięte wodą pantofle przez otwarte okno. Przypadkowo jest to okno Abu Kassima; papucie spadają na nowo zakupione przedmioty ze szkła i tłuką je.

Abu Kassim zamartwia się tak, jak tylko największy skąpiec potrafi. Ślubuje, że fatalne papucie nie wyrządzą mu już więcej żadnej szkody, i aby być tego pewnym, wychodzi ze szpadlem do swego ogrodu, żeby je tam zakopać. Kiedy to czyni, jego sąsiad z naprzeciwka spostrzega Abu Kassima zajętego kopaniem, podręcznym zajęciem, odpowiednim jedynie dla służącego. Sąsiad przypuszcza, że skoro pan domu sam wykonuje tę czarną robotę, musi to robić w celu zakopania skarbu. Udaje się przeto do kalifa i donosi na Abu Kassima, ponieważ zgodnie z prawami tego kraju każdy skarb znaleziony w ziemi jest własnością kalifa.

Abu Kassim zostaje wezwany przed oblicze kalifa, a kiedy oświadcza, że zakopał jedynie parę starych papuci, cały dwór wybucha gromkim śmiechem, kpiąc z nieudolnego usiłowania kupca, który chce zataić swój prawdziwy a nielegalny cel. Kalif gniewa się, że kupiec uważa go za głupca, któremu można opowiedzieć tak nierozsądne kłamstwo, i zwiększa jeszcze wysokość nałożonej grzywny. Wyrok spada na Abu Kassima jak grom z jasnego nieba, ale kupiec musi zapłacić.

Teraz Abu Kassim jest zdecydowany za wszelką cenę pozbyć się swoich papuci raz na zawsze. Aby zyskać pewność, że w przyszłości kłopoty się już nie powtórzą, odbywa daleką wędrówkę za miasto i wrzuca papucie do odległego stawu, patrząc z zadowoleniem, jak

opadają na dno. Ale staw zaopatruje wodociąg miejski i w końcu papucie zatykają rury; strażnicy, wysłani, aby usunąć niedrożność, znajdują papucie i rozpoznają je, ponieważ każdy zna pantofle niepoprawnego skąpca. Abu Kassim zostaje ponownie doprowadzony przed oblicze kalifa pod zarzutem zanieczyszczenia wody miejskiej, a grzywna nałożona na niego jest o wiele większa niż poprzednie. Papucie znowu zostają mu zwrócone.

Tym razem Abu Kassim postanawia spalić pechowe pantofle, ale że są jeszcze mokre, wywiesza je na balkonie, aby wyschły. Znajduje je pies i bawi się nimi; jeden z papuci wypada mu z pyska i spada na ulicę z dużej wysokości, uderzając przechodzącą tamtędy kobietę. Kobieta jest ciężarna, a siła uderzenia okazuje się tak wielka, że wywołuje poronienie. Mąż kobiety udaje się do sądu, aby domagać się odszkodowania. Sąd przyznaje hojne odszkodowanie, a Abu Kassim, teraz już zupełnie załamany i zubożały, będzie je musiał spłacać.

Żartobliwie dosłowny morał arabski stwierdza, że ta historia pokazuje, jakie szkody może ponieść człowiek, który nie zmienia swoich papuci wystarczająco często. Bez wątpienia jednak tym, co tak wzburzyło Normanów, jest podłoże opowieści, problem człowieka, który nie może pozbyć się jakiegoś dręczącego brzemienia.

Później noc mijała na dalszych uroczystościach, a wszyscy wojownicy Buliwyfa zabawiali się beztrosko. Spostrzegłem, że syn Wiglif wpatrywał się w Buliwyfa, zanim opuścił dwór, ale Buliwyf nie zwracał na to uwagi, dając pierwszeństwo zabiegom niewolnic i wolno urodzonych kobiet. Po pewnym czasie zasnąłem.

Rano obudziłem się na dźwięk kucia czy stukania młotów i, odważywszy się wyjść z wielkiego dworu Hurot, odkryłem, że wszyscy ludzie z królestwa Rothgara pracują przy fortyfikacjach. Były one budowane od podstaw: konie wciągały mnóstwo pali ogrodzeniowych, które wojownicy ostrzyli u góry; Buliwyf sam wskazywał sposób rozmieszczenia umocnień obronnych, ostrzem miecza wyrysowując na ziemi oznaczenia. Nie używał do tego swojego wielkiego miecza Rundinga, ale raczej jakiegoś innego; nie wiem, czy był po temu szczególny powód.

W połowie dnia przybyła kobieta, którą nazywano aniołem śmierci²⁰, rozrzuciła na ziemi kości i odprawiła nad nimi czary, wreszcie oświadczyła, że mgła nadejdzie tej nocy. Słyszac to, Buliwyf rozkazał, aby przerwano wszelkie prace i przygotowano wielką ucztę. W tej sprawie wszyscy byli zgodni i zaprzestali wszelkich wysiłków. Spytałem Hergera, dlaczego miałyby się odbyć uczta, ale odpowiedział mi, że zadaję zbyt wiele pytań. Co prawda wybrałem nieodpowiedni moment na swoje dociekania, ponieważ był on właśnie zajęty przybieraniem efektownej pozy przed jasnowłosą niewolnicą, która uśmiechała się ciepło do niego.

Później, w dalszej części dnia, Buliwyf zwołał wszystkich swoich wojowników i rzekł do nich:

— Przygotujcie się do walki.

Zgodzili się i życzyli sobie nawzajem powodzenia, podczas gdy wszędzie wokół nas czyniono przygotowania do uczyty.

Nocna uczyta była bardzo podobna do poprzedniej, chociaż przybyło na nią mniej hrabiów i szlachciców Rothgara. Istotnie, dowiedziałem się, że wielu szlachciców nie uczestniczyło w niej w ogóle, ze strachu przed tym, co miało się wydarzyć we dworze Hurot tej nocy, gdyż wyglądało na to, że właśnie dwór był przedmiotem szczególnego zainteresowania biesa w tym rejonie; że pożył on dworu Hurot, czy coś takiego — nie mogę być pewien znaczenia.

Ta uczyta nie była dla mnie miła, gdyż obawiałem się nadchodzących wydarzeń. Jednakże zdarzył się taki przypadek: jeden ze starszych szlachciców mówił trochę po łacinie, znał też nieco kilka dialektów iberyjskich, albowiem jako młodszy wówczas człowiek podróżował niegdyś po terenach kalifatu kordobańskiego, więc zająłem go rozmową. Tym sposobem, jak zobaczycie, posiadałem wiedzę, której wcześniej nie miałem.

Mówił do mnie tak oto:

— A więc ty jesteś cudzoziemcem, który ma być numerem trzynastym?

Odrzekłem, że tak.

— Musisz być nadzwyczaj odważny — powiedział starzec — i za twą odwagę oddaję ci cześć.

Udzieliłem na to jakiejś błahej, uprzejmej odpowiedzi, wyrażając myśl, że jestem tchórzem w porównaniu z pozostałymi członkami kompanii Buliwyfa, co w istocie było więcej niż prawdą.

— Nie szkodzi — powiedział starzec, który, pochłonięty swymi kielichami, popijał miejscowy likwor — podłą substancję, nazywaną przez nich miodem, ale bardzo mocną — jesteś jednak odważnym człowiekiem, ośmielasz się bowiem stawić czoło wendolom.

Poczułem teraz, że mógłbym w końcu dowiedzieć się czegoś, konkretnego o tych sprawach. Powtórzyłem temu staremu człowiekowi pewne powiedzenie Normanów, które słyszałem raz od Hergera. Powiedziałem:

— Zwierzęta umierają, przyjaciele umierają, ja również umrę, ale jedna rzecz nigdy nie umiera, a rzeczą tą jest sława, którą pozostawiamy w chwili naszej śmierci.

Starzec zagulgotał na to bezzębnymi ustami; był zadowolony, że znam normańskie przysłowie.

— Tak jest w istocie, ale wendole również mają pewną sławę — odrzekł.

— Naprawdę? Ja nic o tym nie wiem — odpowiedziałem z największą obojętnością.

Na to starzec rzekł, że jestem cudzoziemcem, on zaś skłonny byłby oświecić mnie, i opowiedział mi to: nazwa „wendol” lub „windon” jest bardzo starą nazwą, tak starą jak

każdy z ludów krainy Północy, a znaczy ona: „czarna mgła”. Dla Normanów oznacza to mgłę, która sprowadza, pod osłoną nocy, czarne biesy, które mordują, zabijają i zjadają ciała ludzkich istot²¹.

Biesy te są owłosione, wzbudzają wstręt przy dotknięciu i mają obrzydliwy zapach; są one dzikie, gwałtowne i podstępne; nie mówią żadnym ludzkim językiem, a jednak porozumiewają się między sobą; przybywają wraz z nocną mgłą i znikają w dzień, a dokąd odchodzą — żaden człowiek nie ośmielił się sprawdzić.

Starzec ten mówił mi tak:

— Rejony, w których zamieszkują te biesy z czarnej mgły, można rozpoznać różnymi sposobami. Od czasu do czasu zdarza się, że wojownicy polują konno z psami na jelenia, ścigając tego jelenia po górach i dolinach, przemierzając wiele mil w lasach i otwartym terenie. Aż wreszcie jeleni ów dociera do jakiegoś błotnistego górskiego stawu albo do słonawego moczaru i zatrzymuje się tam, woli bowiem zostać rozszarpany na kawałki przez myśliwskie psy, niż zapuścić się na te obmierzłe tereny. Tak oto rozpoznajemy obszary, na których żyją wendole, i wiemy, że nawet zwierzęta nie pójdą tam z tego powodu.

Słyszając tę opowieść, wyraziłem nadmierne zdumienie, by pobudzić starego człowieka do dalszego mówienia. Wówczas dostrzegł mnie Herger i przesłał mi groźne spojrzenie, ale nie zwracałem na niego uwagi.

Starzec kontynuował tak oto:

— W dawnych czasach wszyscy Normanowie, z każdego terenu, bali się tej czarnej mgły. Odkąd żył mój ojciec i jego ojciec, i przedtem jeszcze ojciec ojca mojego ojca, żaden Norman nie widział czarnej mgły, więc niektórzy z młodych wojowników uważali nas za starych durniów, gdyż przechowywaliśmy w pamięci te pradawne opowieści o minionej grozie i rozbojach. Jednakże wodzowie Normanów we wszystkich królestwach, nawet w Norwegii, zawsze byli przygotowani na powrót czarnej mgły. Wszystkie nasze miasta i nasze twierdze mają osłony obronne i umocnienia od strony lądu. Od czasów ojca ojca mojego ojca nasze ludy tak właśnie postępują, a nigdy nie widzieliśmy czarnej mgły. Teraz zaś powróciła.

Zapytałem, dlaczego czarna mgła powróciła, a on zniżył głos, aby dać mi tę oto odpowiedź:

— Czarna mgła pochodzi z próżności i słabości Rothgara, który obraził bogów swoim głupim przepychem i skusił biesy umiejscowieniem swego wielkiego dworu, który nie ma ochrony od strony lądu. Rothgar jest stary i wie, że nie pozostanie on w pamięci jako bohater stoczonych i wygranych bitew, przeto wybudował ten wspaniały dwór, o którym opowiada cały świat, zaspokajając jego próżność. Rothgar postępuje jak bóg, chociaż jest człowiekiem, więc bogowie zesłali czarną mgłę, aby go powalić i pokazać mu jego marność.

Powiedziałem do tego starego człowieka, że zapewne w całym królestwie panuje oburzenie na Rothgara. Odpowiedział mi tak:

— Żaden człowiek nie jest na tyle dobry, aby był wolny od wszelkiego zła, ani też na tyle zły, żeby był nic niewart. Rothgar jest sprawiedliwym królem, a jego lud żył pomyślnie i dostatnio przez całe jego życie. Mądrość i bogactwo jego panowania są tutaj, we dworze Hurot, i są one wspaniałe. Jego jedyną winą jest to, że zapomniał o obronie; mamy bowiem wśród nas takie powiedzenie: „Człowiek nigdy nie powinien oddalać się na krok od swojej broni”. Rothgar nie ma broni; jest on bezzębny i słaby, a czarna mgła pełza swobodnie po tej ziemi.

Pragnąłem dowiedzieć się więcej, ale starzec był zmęczony i odwrócił się ode mnie, a wkrótce zasnął. W istocie, jedzenia i napoju, dzięki gościnności Rothgara, było dużo, toteż wielu spośród hrabiów i szlachciców zapadło w drzemkę.

O samym zaś stole Rothgara powiem tyle: każdy biesiadnik miał serwetkę i talerz oraz łyżkę i nóż; do jedzenia była gotowana wieprzowina i koźlina, a także trochę ryb, albowiem Normanowie zdecydowanie wolą mięso gotowane niż pieczone. Było też dużo kapusty i cebula w wielkiej obfitości oraz jabłka i orzechy. Podano mi też jakieś słodkawe, soczyste mięso, którego nigdy przedtem nie próbowałem; był to, jak mi powiedziano, łosć czy też renifer.

Okropny, cuchnący napój, zwany miodem, zrobiony jest z pszczelego miodu poddawanego fermentacji. To najkwaśniejszy, najczarniejszy, najpodlejszy trunk, jaki kiedykolwiek wynaleziony został przez człowieka, a jednak jest on mocny ponad wszelkie wyobrażenie; kilka kielichów — i cały świat wiruje. Ale ja nie piłem, chwała Allahowi.

Spostrzegłem też, że Buliwyf i wszyscy jego kompani nie pili tej nocy, albo tylko trochę, a Rothgar nie uważał tego za obrazę, lecz raczej uznał, że taka jest naturalna kolej rzeczy. Tej nocy nie było żadnego wiatru; świece i ognie dworu Hurot nie migotały, a jednak było wilgotno i zimno. Widziałem na własne oczy, jak za drzwiami mgła napływała znad wzgórz, spowijając srebrzyste światło księżyca i pokrywając wszystko czernią.

Po jakimś czasie król Rothgar i jego królowa udali się na spoczynek, a masywne drzwi dworu Hurot zamknięto na zasuwy i zaryglowano. Szlachcice i hrabiowie, którzy tam pozostali, zapadli w pijacki stupor i głośno chrapali.

Wówczas Buliwyf i jego ludzie, wciąż mający na sobie zbroje, obeszli wszystko dokoła, gasząc świece i doglądając ogni, tak aby paliły się przytłumionym, słabym płomieniem. Spytałem Hergera o znaczenie tego wszystkiego, a on powiedział mi, abym się modlił o ocalenie życia i udawał śpiącego. Dano mi broń, krótki miecz, ale była to dla mnie mała pociecha; nie jestem wojownikiem i wiem o tym aż nadto dobrze.

Zaiste, wszyscy ludzie udawali sen, Buliwyf i jego towarzysze dołączyli do śpiących

pokotem hrabiów króla Rothgara, którzy naprawdę chrapali. Nie wiem, jak długo czekaliśmy, ponieważ, jak sądzę, sam na chwilę usnąłem. Nagle obudziłem się w jednej chwili, w przypływie nienaturalnie ostrej czujności; nie byłem ospały, ale natychmiast napięty i czujny; wciąż leżałem na posłaniu z niedźwiedziej skóry na podłodze wielkiego dworu. Była ciemna noc; świece we dworze paliły się pełgającym płomieniem, a lekki wietrzyk snuł się po całym dworze i poruszał żółtymi płomykami.

Nagle usłyszałem cichy dźwięk chrząkania, jakby rycie świni, dobiegający do mnie wraz z podmuchami wiatru, i poczułem straszny odór, jakby ścierva gnijącego od miesiaca; bałem się okropnie. Ten dźwięk rycia, gdyż nie potrafię go nazwać inaczej, te odgłosy pomrukiwania, pochrząkiwania, sapania stawały się coraz głośniejsze i pełne podniecenia. Dobiegały one zza drzwi, z jednej strony dworu. Naraz usłyszałem je od innej strony, a później jeszcze od innej i innej. Zaprawdę, dwór był otoczony.

Uniosłem się na łokciu, serce mi łomotało, i rozejrzałem się dookoła. Żaden ze śpiących wojowników nie poruszał się, a jednak Herger leżał z szeroko otwartymi oczami. Również Buliwyf, oddychający chrapliwie, miał oczy szeroko otwarte. Wywnioskowałem z tego, że wszyscy wojownicy Buliwyfa oczekiwali rozpoczęcia walki z wendolami, których odgłosy wypełniały teraz powietrze.

Na Allaha, nie ma strachu większego niż strach człowieka, kiedy nie zna on jego przyczyny. Jakże długo leżałem na niedźwiedziej skórze, słysząc pomrukiwania wendoli i czując ich odrażający smród! Jakże długo czekałem, nie wiedząc, na co, na początek jakiejś bitwy straszliwszej w przewidywaniach, niż mogła okazać się w rzeczywistości! Przypomniałem sobie, że Normanowie mają wyrażenie pochwalne, które wykuwają na grobowcach wojowników, a brzmi ono tak: „On nie uciekał przed walką”. Żaden z drużyny Buliwyfa nie uciekł tej nocy, chociaż ten smród i dźwięki otaczały ich zewsząd, to głośniejsze, to słabsze, to z tej strony, to z innej. Oni jednakże czekali.

Nagle nadeszła najstraszliwsza chwila. Wszystkie dźwięki ustały. Zapadła zupełna cisza, słyhać było jedynie chrapanie ludzi i ciche trzaskanie ognia. Nadal żaden z wojowników Buliwyfa się nie ruszał.

Aż nagle rozległo się potężne uderzenie w masywne drzwi dworu Hurót i drzwi te rozwarły się z hukiem, a pęd smrodliwego powietrza wygasił wszystkie światła i czarna mgła wdarła się do komnaty. Nie liczyłem ich; zaprawdę, wydawało się, że to tysiące czarnych, chrząkających kształtów, ale mogło ich być nie więcej niż pięć czy sześć, olbrzymich czarnych sylwet, nie przypominających ludzi, chociaż jednocześnie podobnych do człowieka. Powietrze cuchnęło krwią i śmiercią; było mi nieprawdopodobnie zimno i miałem dreszcze. A jednak wciąż żaden wojownik się nie poruszał.

Naraz, z przeraźliwym rykiem, mogącym zbudzić umarłego, Buliwyf skoczył na równe nogi. Obracał oburącz swój olbrzymi miecz Runding, który świstał jak trzaskający

ogień, przecinając szybko powietrze. Także jego wojownicy skoczyli wraz z nim i wszyscy włączyli się do bitwy. Krzyki ludzi mieszały się ze świńskim chrząkaniem i zapachami czarnej mgły, i panowało tam wielkie przerażenie i zamęt, dokonywało się niszczenie i łupienie dworu Hurot.

Ja sam zaś nie miałem odwagi do walki, jednakże zostałem do niej wciągnięty przez jednego z tych potworów z mgły, który podszedł do mnie tak blisko, że widziałem błyszczące czerwone oczy — zaprawdę, widziałem oczy, które świeciły jak płomień, i czułem zjadliwe opary smrodu — i uniósłszy moje ciało, cisnął nim przez komnatę tak, jak dziecko rzuca kamieniem. Uderzyłem o ścianę i spadłem na ziemię, toteż byłem całkiem oszołomiony przez następną chwilę, tak że wszystko wokół mnie było jeszcze bardziej pogmatwane niż w rzeczywistości.

Najbardziej wyraziście pamiętam dotknięcie tych potworów, zwłaszcza futro ich ciał, ponieważ owe potwory z mgły mają włosy tak długie jak kudłaty pies i tak samo grube, pokrywające wszystkie części ciała. Pamiętam też cuchnący oddech potwora, który mną rzucił.

Nie wiem, jak długo trwała ta wściekła walka, ale całkiem nieoczekiwanie skończyła się w jednym momencie, i nagle czarna mgła odeszła, wymknęła się chyłkiem, pochrząkując, dysząc, rozsiewając smród i pozostawiając za sobą śmierć i zniszczenia, których nie mogliśmy poznać, dopóki nie zapaliliśmy świeżych knotów.

Oto jaka była cena tej walki. Z drużyny Buliwyfa trzech zostało zabitych, Roneth i Halga, obydwaj hrabiowie, oraz Edgtho, wojownik. Pierwszy z nich miał rozerwaną klatkę piersiową. Drugi miał przełamany kręgosłup. Trzeci miał oderwaną głowę, w taki sposób, jak to już wcześniej widziałem. Wszyscy ci wojownicy byli martwi.

Ranni byli dwaj inni, Haltaf i Rethel. Haltaf stracił ucho, Rethel zaś dwa palce prawej dłoni. Obydwaj nie byli śmiertelnie ranni i nie uskarżali się, albowiem obyczaj normański nakazuje pogodnie znosić rany odniesione w walce i dziękować przede wszystkim za zachowanie życia.

Co do Buliwyfa, Hergera i wszystkich pozostałych, byli oni przesiąknięci krwią tak, jak gdyby skąpali się w niej. Powiem teraz coś, w co wielu nie uwierzy, a jednak tak właśnie było: nasza drużyna nie zabiła ani jednego potwora z mgieł. Wszystkie umknęły, niektóre zapewne śmiertelnie ranne, a jednak udało im się uciec.

— Widziałem dwóch z ich liczby, niosących trzeciego, który był martwy — powiedział Herger.

Musiało tak być, ponieważ wszyscy gremialnie to potwierdzili. Dowiedziałem się, że potwory z mgły nigdy nie pozostawiają żadnego ze swoich w społeczności ludzi, narażają się raczej na największe niebezpieczeństwo, zabierając go z pola widzenia człowieka.

Tak samo również posuną się do wszystkiego, aby zatrzymać głowę ofiary, toteż nie

możliśmy nigdzie odnaleźć głowy Edgtho; potwory uniosły ją ze sobą.

Następnie odezwał się Buliwyf, a Herger tak oto przekazał mi jego słowa:

— Spójrzcie, zdobyłem trofeum w czasie krwawych czynów tej nocy. Patrzcie, oto jest ramię jednego z tych biesów.

I rzeczywiście, zgodnie ze swymi słowami, Buliwyf trzymał rękę jednego z potworów z mgły, odciętą przy ramieniu wielkim mieczem Rundingiem. Wszyscy wojownicy skupili się wokół, aby ją obejrzeć. Ja postrzegalem ją tak oto: wydawała się mała, z dłonią potwornie wielkich rozmiarów. Ale przedramię i ramię nie były tak wielkie, by dorównać tej dłoni, chociaż mięśnie były potężne. Długie, czarne, skudłacone włosy pokrywały wszystkie części tej ręki z wyjątkiem wnętrza dłoni. I wreszcie trzeba dodać, że owa ręka cuchnęła tak, jak cuchnęła cała bestia, obrzydliwym smrodem czarnej mgły.

Wszyscy wojownicy wiwatowali na cześć Buliwyfa i jego miecza Rundinga. Ramię biesa zostało powieszona na krokwiach wielkiego dworu Hurot a wszyscy mieszkańcy królestwa Rothgara dziwowali się mu. Tak zakończyła się pierwsza bitwa z wendolami.

WYPADKI, KTÓRE NASTĄPIŁY PO PIERWSZEJ BITWIE

Zaprawdę, ludzie z krainy Północy nigdy nie postępują tak jak istoty ludzkie obdarzone rozumem i kierujące się rozsądkiem. Po ataku potworów z mgły i odparciu ich przez Buliwyfa i jego drużynę, w której byłem i ja, mieszkańcy królestwa Rothgara nie uczynili nic.

Nie było żadnych uroczystości, żadnego ucztowania, triumfalnego unoszenia się radością ani okazywania wesołości. Mieszkańcy królestwa przybywali ze wszystkich stron, aby oglądać dyndające ramię tego biesa, wiszące w wielkim dworze, i przyjmowali je z ogromnym osłupieniem i zdumieniem. Ale sam Rothgar, na wpół ślepy starzec, nie okazywał radości ani nie obdarował Buliwyfa i jego kompanii żadnymi darami, nie planował uczt, nie ofiarował im niewolnic, srebra, kosztownych strojów ani żadnego innego zaszczytnego dowodu czci.

Wręcz przeciwnie, zamiast w jakikolwiek sposób wyrazić zadowolenie, król Rothgar przybrał ponurą minę i był poważny; wydawał się jeszcze bardziej bojaźliwy, niż był przedtem. Ja sam, chociaż nie mówiłem o tym głośno, podejrzewałem, że Rothgar wolał swoje wcześniejsze położenie, zanim czarna mgła została pobita.

Również Buliwyf zachowywał się nie inaczej. Nie nawoływał do żadnych uroczystości, do żadnego ucztowania ani picia czy spożywania posiłków. Szlachcice, którzy polegli bohatersko w tej nocnej bitwie, zostali umieszczeni w dołach przykrytych z wierzchu drewnianymi dachami i pozostawieni tam na wyznaczone dziesięć dni. Sprawę tę załatwiono z pośpiechem.

Jak do tej pory, jedynie przy składaniu poległych wojowników do grobu Buliwyf i jego towarzysze okazali radość i pozwolili sobie na uśmiech. W ciągu dalszego pobytu wśród Normanów dowiedziałem się, że uśmiechają się oni wobec każdej śmierci w walce i że jest to radość na rzecz zmarłej osoby, a nie przyjemność dla żyjących. Cieszą się oni, kiedy jakikolwiek człowiek umiera śmiercią wojownika. Ale znają również uczucie przeciwne; okazują rozpacz, gdy jakiś człowiek umiera we śnie albo

w łożu. Mówią o takim człowieku: „Umarł jak krowa na słomie”. Nie jest to obelga, ale powód do żałoby po śmierci.

Normanowie wierzą, że to, jak człowiek umiera, określa jego sytuację w życiu pozagrobowym, i ponad wszystko cenią śmierć wojownika w walce. „Słomiana śmierć” jest hańbiąca.

O każdym człowieku, który umarł we śnie, mówią, że został uduszony przez klacz czy kobyłę nocy. Stwór ten jest kobietą, co sprawia, że śmierć taka jest sromotna, ponieważ ponieść śmierć z ręki kobiety to hańba ponad wszelkie inne rzeczy.

Powiadają oni również, że umieranie bez własnej broni jest poniżające, toteż wojownik normański zawsze sypia ze swoją bronią, tak aby, jeśli owa kobyła nocy nadejdzie, miał broń pod ręką. Rzadko się zdarza, że wojownik umiera z powodu jakiejś choroby albo ze słabości spowodowanej przez wiek. Słyszałem o pewnym królu imieniem Ane, który doszedł do takich lat, że stał się jak niemowlę; bezzębny, odżywiał się pokarmem odpowiednim dla dziecka, spędzał wszystkie swoje dni w łożu, popijając mleko z rogu. Jednakże opowiedziano mi to jako rzecz całkiem niezwykłą w krainie Północy. Na własne zaś oczy widziałem jedynie nielicznych ludzi, którzy dożyli późnej starości, a rozumiem przez nią osiągnięcie takiego wieku, kiedy broda jest nie tylko całkiem biała, ale wypada z podbródka i twarzy.

Niektóre z ich kobiet żyją bardzo długo, zwłaszcza takie jak starucha nazywana aniołem śmierci; uważają oni, że te stare kobiety posiadają magiczną moc, pozwalającą na leczenie ran, rzucanie uroków, odpędzanie złych mocy i przepowiadanie przyszłych zdarzeń.

Kobiety z ludu Północy nie walczą pomiędzy sobą i często widziałem, jak wkraczały w zbyt gwałtowną burdę albo pojedynkę dwóch mężczyzn, aby uśmierzyć narastającą złość. Postępują tak zwłaszcza wtedy, kiedy wojownicy są osłabieni i otumanieni trunkiem. To zaś zdarza się często.

Otóż ci Normanowie, którzy piją tyle likworu, i to o każdej porze dnia i nocy, nie pili nic w dniu, który nastąpił po bitwie. Ludzie Rothgara rzadko proponowali im kielich, a kiedy to się zdarzało, kielich taki nie zostawał przyjęty.

Uznałem to za coś niezwykle zagadkowego i wreszcie powiedziałem o tym Hergerowi.

Herger wzruszył ramionami w normańskim geście niepewności czy obojętności.

— Każdy się boi — powiedział.

Zapytałem, jaki mógł być jeszcze powód do strachu.

— Boją się, ponieważ wiedzą, że czarna mgła powróci — odparł.

Przyznaję teraz, że byłem nadęty butą człowieka walecznego, chociaż, po prawdzie, wiedziałem, że nie zasłużyłem na taką pozę. Jednakże odczuwałem radość z tego, że przeżyłem, a poddani Rothgara traktowali mnie jak jednego z kompanii potężnych

wojowników. Powiedziałem zuchwale:

— Kto by się tym martwił? Jeśli nadejdą znowu, pobijemy ich drugi raz.

Doprawdy, byłem próżny jak młody kogut, teraz zaś jestem zakłopotany, kiedy pomyślę, jak się nadymałem. Herger odpowiedział:

— Królestwo Rothgara nie ma walecznych wojowników ani hrabiów; wszyscy oni już dawno polegli, więc my sami musimy obronić to królestwo. Wczoraj było nas trzynastu. Dziś jest nas dziesięciu, a z tych dziesięciu dwóch jest rannych i nie mogą oni walczyć tak jak prawdziwi mężczyźni. Czarna mgła została rozdrażniona i powróci, by wyrzucić straszliwą zemstę.

Powiedziałem do Hergera, który odniósł kilka lekkich ran w walce — ale nie tak bolesnych jak ślady szponów na mojej twarzy, które obnosiłem z dumą — że nie boję się niczego, co te demony mogłyby zrobić.

Odpowiedział krótko, że jako Arab nie rozumiem nic ze zwyczajów krainy Północy, i wyjaśnił mi, że zemsta tej czarnej mgły będzie straszliwa i niewyczerpana.

— Powrócą oni jako Korgon — rzekł.

Nie rozumiałem znaczenia tego słowa.

— Czymże jest Korgon?

— To ognisty smok, który uderza, spadając z powietrza — powiedział.

Wyglądało to na zmyślenie, ale widziałem już potwory morskie po tym, jak oni opowiedzieli mi, że takie naprawdę istnieją, dojrzałem też pełen napięcia i zmęczony wyraz twarzy Hergera, zrozumiałem więc, że wierzył on w ognistego smoka. Zapytałem:

— Kiedy nadejdzie Korgon?

— Może dziś w nocy — odparł Herger.

Zaprawdę, w chwili gdy to mówił, spostrzegłem, że Buliwyf, chociaż w ogóle nie spał tej nocy, a jego powieki były czerwone i opadały ze zmęczenia, znowu kierował budowaniem fortyfikacji wokół dworu Hurot. Wszyscy mieszkańcy królestwa, również dzieci, kobiety, starcy, a także niewolnicy, pracowali pod kierunkiem Buliwyfa i jego zastępcy Ecthgowa.

Oto co robili: wokół obwodu otaczającego Hurot i sąsiednie budynki, to znaczy zabudowania mieszkalne króla Rothgara i niektórych jego szlachciców, proste chaty niewolników należących do ich rodzin oraz jeden czy dwa domy rolników, którzy mieszkali najbliżej morza, wokół całego tego terenu Buliwyf wznosił pewnego rodzaju ogrodzenie ze skrzyżowanych lanc i pali o zastrzonych wierzchołkach. Ogrodzenie to nie sięgało mężczyźni wyżej niż do ramion i chociaż wierzchołki były ostre i groźne, nie mogłem pojąć znaczenia tych umocnień, albowiem ludzie mogliby się przedrzeć przez nie z łatwością.

Powiedziałem o tym Hergerowi, który nazwał mnie głupim Arabem. Herger był

w bardzo złym nastroju.

Później budowano kolejne fortyfikacje w postaci rowu w odległości półtora kroku za tym ogrodzeniem z pali. Rów ten był przedziwny. Nie był głęboki, w żadnym miejscu jego głębokość nie przekraczała głębokości po kolana mężczyzny, często zaś była mniejsza. Był nierówno kopany, tak że miejscami był płytszy, w niektórych miejscach głębszy, z małymi dołkami. Gdzieniedzie wkopywano w ziemię krótkie lance ostrzami do góry.

Nie rozumiałem wartości tego nędznego rowu ani trochę lepiej niż znaczenia palisady, ale nie wypytywałem Hergera, znając już jego nastrój. Zamiast tego pomagałem w pracy najlepiej, jak umiałem, raz tylko robiąc przerwę, aby dogodzić sobie z niewolnicą na sposób normański, ponieważ, podniecony nocną walką i przygotowaniami całego dnia, byłem pełen energii.

Otóż w czasie mojej podróży z Buliwyfem i jego wojownikami w górę Wołgi Herger powiedział mi, że nie wolno ufać nieznanym kobietom, zwłaszcza jeśli są powabne lub kuszące. Herger opowiadał, że w lasach i dzikich miejscach krainy Północy mieszkają kobiety nazywane leśnicami. Te leśne kobiety wabią mężczyzn swoją pięknnością i czułymi słowami, ale kiedy człowiek zbliży się do nich, odkrywa, że są one wydrążone w tylnej części i że są zjawami. A wówczas leśnice rzucają urok na zwabionego mężczyznę, i staje się on ich jeńcem.

Otóż tak właśnie ostrzegał mnie Herger i, zaiste, prawdą jest, że zbliżałem się do tej niewolnicy z drżeniem, gdyż jej nie znałem. Pomacałem dłonią jej plecy, ona zaś śmiała się, ponieważ знаła powód tego sprawdzania przez dotyk, i chciała mnie upewnić, że nie jest leśnym duchem. W tym momencie poczułem się głupcem i przeklinałem sam siebie za dawanie wiary pogańskiemu przesądowi. Jednakże odkryłem, że jeśli wszyscy wokoło wierzą w jakąś osobliwą rzecz, łatwo jest ulec pokusie dzielenia tej wiary, i tak właśnie stało się ze mną.

Kobiety z ludu Północy są blade jak ich mężczyźni i równie wysokie; większość z nich patrzyła z góry na moją głowę. Kobiety te mają niebieskie oczy i noszą bardzo długie włosy, które są cienkie i łatwo się splątują. Dlatego związuje je koło szyi i upinają na głowie; aby sobie w tym pomóc, używają wszelkiego rodzaju klamer i spinek z ornamentowanego srebra lub drewna. Stanowi to ich główną ozdobę. Żona bogatego człowieka nosi także srebrne i złote łańcuchy na szyi, jak to już wcześniej powiedziałem; kobiety te cenią sobie również bransolety ze srebra uformowane w kształt smoków i węży; bransolety noszą na rękach, pomiędzy łokciem a ramieniem. Desenie są u ludzi Północy zawile i przeplatane, odzwierciedlają jakby sploty gałęzi drzewa albo węży; wzory te są przepiękne²².

Ludzie Północy uważają się za wytrawnych znawców urody kobiecej. Ale, prawdę mówiąc, wszystkie ich kobiety w moich oczach wyglądały na wychudzone, ciała ich

były kanciaste, pełne wystających kości; ich twarze również były kościste, a szczęki wydatne. Przymioty te Normanowie bardzo cenią i wychwalają, chociaż taka kobieta nie przyciągnęłaby spojrzeń w Mieście Pokoju, ale uważana byłaby tam za nie lepszą niż wygłodzony pies ze sterczącymi żebrami. Normanki mają żebra sterczące w taki właśnie sposób.

Nie wiem, dlaczego te kobiety są tak bardzo chude, przecież jedzą ochoczo i tak samo dużo jak mężczyźni, jednakże nie nabierają ciała.

Kobiety te nie okazują również uległości ani nie są skromne w zachowaniu; nigdy się nie zasłaniają i wypróżniają się w miejscach publicznych, kiedy tylko poczują potrzebę. Podobnie śmiało prowokują każdego mężczyznę, który im się spodoba, tak jak gdyby same były mężczyznami; a wojownicy nigdy nie strofują ich za to. Tak jest w każdym przypadku, nawet gdyby kobieta była niewolnicą, ponieważ, jak już wspomniałem, Normanowie są bardzo łagodni i wyrozumiali dla swoich niewolników, szczególnie zaś dla niewolnic.

W miarę upływu dnia widziałem już wyraźnie, że umocnienia obronne Buliwyfa nie zostaną ukończone przed zmrokiem, ani ogrodzenie z pali, ani też płytki rów. Buliwyf spostrzegł to również i odwołał się do króla Rothgara, który zavezwał starą kobietę. Starucha ta była zasuszona i miała zarost mężczyzny; zabiła owcę i rozłożyła jej wnętrzności²³ na ziemi. Następnie wykonała bardzo długą, monotonną, śpiewną pieśń i odprawiła długotrwałe modły, kierowane do nieba.

Wciąż nie pytałem o nic Hergera z powodu jego nastroju. Zamiast pytać, obserwowałem innych wojowników Buliwyfa, którzy patrzyli na morze. Morze było szare i wzburzone, niebo ołowiane, a silny wiatr wiał w stronę lądu. Cieszyło to wojowników, a ja domyślałem się przyczyny: wiatr od morza mógł powstrzymać zejście mgły ze wzgórz. Tak w istocie było.

O zmroku wstrzymano prace przy fortyfikacjach i, ku memu zdumieniu, Rothgar wydał kolejną ucztę, niezwykle wystawną; i tego wieczora patrzyłem, jak Buliwyf i Herger, i wszyscy pozostali wojownicy pili dużo miodu i hulali tak, jak gdyby nie trapiły ich żadne doczesne troski, oraz dogadzali sobie z niewolnicami, aż wreszcie wszyscy pogrążyli się w letargicznym, równym śnie.

Później dowiedziałem się również i tego, że każdy z wojowników Buliwyfa wybrał spośród niewolnic jedną, którą darzył szczególnymi względami, chociaż bez wykluczania innych. Odurzony trunkiem Herger powiedział mi o kobiecie, którą sobie upodobał:

— Umrze ona wraz ze mną, jeśli będzie trzeba. Zrozumiałem z tego, że każdy z wojowników Buliwyfa wybrał sobie jakąś kobietę, która miała umrzeć wraz z nim na stosie pogrzebowym; kobietę taką traktował z większą uprzejmością i dwornością niż inne. Ponieważ byli oni gośćmi w tym kraju, nie mieli własnych niewolnic, którym rodzina mogłaby nakazać złożenie siebie w ofierze.

Otóż w początkowym okresie mojego pobytu pośród mieszkańców krainy Venden Normanki nie zbliżały się do mnie z powodu ciemnego koloru mojej skóry i włosów, ale wciąż szeptały i rzucały wiele spojrzeń w moim kierunku, chichocząc między sobą. Spostrzegłem, że te nie zawoalowane kobiety od czasu do czasu zasłaniały twarz własnymi dłońmi, zwłaszcza kiedy się śmiały. Wreszcie spytałem Hergera:

— Dlaczego one tak czynią?

Zapytałem go, ponieważ nie chciałem zachowywać się w sposób niezgodny z obyczajem Północy.

— Te kobiety wierzą, że Arabowie są jak ogiery, słyszały bowiem taką pogłoskę — odparł Herger.

Nie wzbudziło to bynajmniej mojego zdziwienia, z tego powodu: we wszystkich krajach, do których podróżowałem, a tak samo również w granicach okrężnych murów Miasta Pokoju, zaprawdę, w każdym miejscu, w którym ludzie gromadzą się i tworzą jakąś społeczność, przekonywałem się, że takie oto rzeczy są prawdą. Po pierwsze, że mieszkańcy danego kraju wierzą, iż ich zwyczaje są stosowne, właściwe i lepsze niż jakiegokolwiek inne. Po drugie, że każdy cudzoziemiec, mężczyzna czy też kobieta, uważany jest za gorszego pod każdym względem, z wyjątkiem spraw rozrodczości. Tak więc Turcy uważają Persów za utalentowanych kochanków; Persowie czują respekt przed ludźmi czarnoskórymi; ci z kolei przed jakimiś innymi, i tak dalej; i tak to się toczy, czasami sądy takie powstają na podstawie przesłanek dostarczanych przez budowę genitaliów, czasami na podstawie przesłanek dostarczanych przez długość trwania samego aktu, czasami zaś na podstawie przesłanek dostarczanych przez szczególne umiejętności czy przybierane pozy.

Nie potrafię powiedzieć, czy te Normanki naprawdę sądziły tak, jak mówił Herger, ale w istocie odkryłem, że były mną wielce zdumione z racji przeprowadzonego u mnie zabiegu chirurgicznego²⁴, którego wykonywanie jest wśród nich nieznanne, gdyż są to brudni barbarzyńcy. Co do sposobu odbywania schadzek, kobiety te są hałaśliwe i pełne energii oraz wydzielają taką woń, że musiałem wstrzymywać oddech w czasie trwania aktu; mają one również skłonność do brykania i kręcenia się, drapania i gryzienia, tak że mężczyzna może zostać zrzucony ze swego wierzchowca, jak mówią o tym Normanowie. Co do mnie, uznałem całą tę sprawę za ból raczej niż przyjemność.

Normanowie mówią o tym akcie: „Stoczyłem bitwę z taką lub inną kobietą” i dumnie pokazują błękitne sińce i otarcia swoim towarzyszom, tak jak gdyby były to prawdziwe rany wojenne. Natomiast mężczyźni ci nigdy nie uczynili żadnej kobiecie krzywdy, którą mógłbym spostrzec.

Tej nocy, kiedy wszyscy wojownicy Buliwyfa spali, zbyt się obawiałem, aby pić albo śmiać się; bałem się powrotu wendoli. Oni jednakże nie powracali, toteż i ja w końcu zasnąłem, ale sen miałem niespokojny.

Następnego zaś dnia nie było wiatru i wszyscy mieszkańcy królestwa Rothgara pracowali pełni poświęcenia i strachu; wszędzie rozmawiano o Korgonie, panowało przekonanie, iż zaatakuje on tej nocy. Rany po pazurach na mojej twarzy dokuczały mi teraz, ponieważ ściągały się w trakcie gojenia i sprawiały ból, kiedy tylko ruszyłem ustami, aby coś zjeść czy powiedzieć. Prawdą jest również, że wojownicze rozgorączkowanie opuściło mnie. Bałem się znów i pracowałem w milczeniu wraz z kobietami i starcami.

Koło południa tego dnia odwiedził mnie ów stary i bezzębny szlachcic, z którym rozmawiałem wówczas w sali biesiadnej. Ten stary człowiek odszukał mnie i tak rzekł po łacinie:

— Chcę zamienić z tobą parę słów.

Nakazał mi, abym odszedł kilka kroków od ludzi, którzy pracowali przy fortyfikacjach.

Następnie ostentacyjnie przystąpił do oglądania moich ran, które w rzeczywistości nie były poważne, a w czasie, gdy badał te okaleczenia, powiedział do mnie:

— Mam ostrzeżenie dla waszej kompanii. W sercu Rothgara zagościł niepokój.

Mówił to wszystko po łacinie.

— Co go wzbudziło? — zapytałem.

— To herold, a także syn Wiglif sączą go w ucho króla — powiedział stary szlachcic. — I jeszcze przyjaciel Wiglifa. Wiglif opowiada Rothgarowi, że Buliwyf i jego towarzysze mają zamiar zabić króla i zawładnąć tym królestwem.

— To nieprawda — powiedziałem, chociaż nie wiedziałem tego na pewno. Uczciwie mówiąc, rozmyślałem już wcześniej od czasu do czasu nad tą sprawą; Buliwyf był młody i pełen życia, Rothgar zaś stary i słaby, a podobnie jak prawdą jest, że obyczaje Normanów są dziwne, tak też jest prawdą i to, że wszyscy ludzie są tacy sami.

— Herold i Wiglif są zazdrośni o Buliwyfa — mówił stary szlachcic. — Sączą oni jad w ucho króla. Wszystko to opowiadam tobie, abyś mógł powiedzieć innym, by się strzegli, ponieważ jest to sprawa godna bazyliuszka.

Wreszcie, oświadczywszy głośno, że moje rany są niegroźne, odszedł.

Później ten szlachcic powrócił raz jeszcze. Powiedział:

— Tym przyjacielem Wiglifa jest Ragnar.

I odszedł po raz drugi, nie oglądając się więcej na mnie.

Wielce przerażony, kopałem i pracowałem przy umocnieniach obronnych, aż znalazłem się blisko Hergera. Nastrój Hergera był wciąż tak ponury jak poprzedniego dnia. Herger powitał mnie tymi słowami:

— Nie chcę słuchać pytań głupca.

Powiedziałem, że nie mam żadnych pytań, i przekazałem mu to, o czym mówił mi stary szlachcic; powtórzyłem również i to, że sprawa jest godna bazyliuszka²⁵. Kiedy

mówiłem, Herger zmarszczył brwi, zaklął, tupnął nogą i rozkazał mi, abym udał się wraz z nim do Buliwyfa.

Buliwyf kierował budową rowu po drugiej stronie obozowiska; Herger odciągnął go na bok i powiedział coś szybko w mowie normańskiej, gestami wskazując na moją osobę. Buliwyf zmarszczył brwi, zaklął i tupnął nogą tak samo jak Herger, a później zadał pytanie. Herger powiedział do mnie:

— Buliwyf pyta, kim jest ten przyjaciel Wiglifa. Czy ów starzec wyjawiał ci, kto jest przyjacielem Wiglifa?

Odpowiedziałem, że tak i że jest nim człowiek imieniem Ragnar. Po tym sprawozdaniu Herger i Buliwyf zamienili jeszcze ze sobą parę słów i sprzeczali się przez chwilę, po czym Buliwyf odwrócił się i pozostawił mnie z Hergerem.

— To już postanowione — powiedział Herger.

— Co zostało postanowione? — zapytałem.

— Zaciśnij zęby — odparł Herger, używając tego wyrażenia z Północy, które oznacza: nic nie mów.

Powróciłem zatem do swojej roboty, nie dowiedziawszy się niczego poza tym, co zrozumiałem na początku tej całej sprawy. Jeszcze raz pomyślałem, że Normanowie są najbardziej osobliwymi i pełnymi sprzeczności ludźmi na ziemi, ponieważ w żadnej sprawie nie postępują tak, jak można by oczekiwać, że zachowają się rozumne istoty. Pracowałem jednakże nad ich głupim ogrodzeniem i nad ich płytkim rowem oraz patrzyłem i czekałem.

W czasie popołudniowej modlitwy zauważyłem, że Herger zajął przy pracy miejsce koło mocno zbudowanego, olbrzymiego młodzieńca. Przez czas jakiś Herger i ów młodzian trudzili się ramię w ramię przy kopaniu rowu i wydawało mi się, że widzę, jak Herger stara się sypać ziemią w twarz temu młodzieńcowi, który był, zaprawdę, o głowę wyższy niż Herger, a także młodszy.

Młody człowiek protestował, a Herger przeproszał; ale wkrótce znowu sypnął ziemią i znowu Herger przeprosił. Teraz młodzieniec rozzłościł się, a twarz jego stała się czerwona. Upłynęło niewiele czasu, nim Herger znowu sypnął ziemią, a młodzian parsknął i splunął, rozgniewany w najwyższym stopniu. Krzyknął na Hergera, który później wyjawiał mi słowa ich rozmowy, chociaż jej sens był dla mnie wówczas oczywisty.

Młodzieniec powiedział:

— Kopiesz jak pies.

Herger rzekł na to:

— Nazywasz mnie psem?

— Nie, powiedziałem, że kopiesz jak pies, rozrzucając²⁶ niechlujnie ziemię, jak zwierzę — odparł młodzian.

— Nazywasz mnie zatem zwierzęciem? — pytał dalej Herger.

Młodzian odrzekł:

— Źle rozumiesz moje słowa.

— Zaprawdę, ponieważ twoje słowa są pokrętne i bojaźliwe jak cherlawa starucha — rzekł Herger.

— Ta starucha zobaczy, jak smakuje ci śmierć — powiedział młodzieniec i wyciągnął miecz.

Wówczas Herger wyciągnął także swój, ponieważ młodzian ów był tym samym Ragnarem, przyjacielem Wiglifa, i tak oto zobaczyłem, jak objawił się zamiar Buliwyfa.

Normanowie są najbardziej wrażliwi i czuli na punkcie swego honoru. Pośród ich kompanii pojedynki zdarzają się tak często jak oddawanie moczu, a walka na śmierć i życie uważana jest za rzecz normalną. Może się ona odbyć na miejscu zniewagi albo, jeśli ma być przeprowadzona z zachowaniem przepisów, walczący spotykają się na rozstajach trzech dróg. Tak właśnie Ragnar wyzwał Buliwyfa, aby z nim walczył.

Otóż taki jest obyczaj normański: o wyznaczonym czasie przyjaciele i krewni pojedynkujących się przybywają na miejsce walki i rozpościerają na ziemi skórę. Przytwierdzają ją czterema wawrzynowymi żerdziami. Walka musi się odbywać na tej skórze, tak aby każdy mężczyzna przez cały czas miał na niej jedną lub obie stopy; w ten sposób pozostają oni blisko siebie. Każdy z obydwu walczących przybywa z jednym mieczem i trzema tarczami. Jeśli wszystkie trzy tarcze któregoś z mężczyzn pękną, musi on walczyć bez żadnej osłony, a jest to walka aż do śmierci.

Takie były owe reguły, wyśpiewane monotonnym głosem przez starą kobietę, anioła śmierci, koło miejsca, na którym rozpostarto tę skórę, podczas gdy wszyscy ludzie Buliwyfa, a także mieszkańcy królestwa Rothgara, gromadzili się dookoła. Byłem tam również, stałem niezbyt blisko i zdumiewałem się, że ci ludzie zupełnie zapomnieli o groźbie Korgona, który tak ich przerażał wcześniej; nikt ani trochę nie przejmował się i nie martwił o nic poza pojedynkiem.

A oto jaki był przebieg pojedynku pomiędzy Ragnarem i Hergerem. Herger zadał pierwszy cios, gdyż to on został wyzwany, i miecz jego zadźwięczał potężnie, uderzając o tarczę Ragnara. Co do mnie, obawiałem się o Hergera, ponieważ młodzian ten był o wiele większy i silniejszy niż on, i rzeczywiście, pierwszy cios Ragnara wytrącił tarczę Hergera z jej rękojeści i Herger zażądał swojej drugiej tarczy.

Następnie wywiązała się zażarta walka. Spojrzałem na Buliwyfa, jego twarz nie miała żadnego wyrazu, oraz na Wiglifa i na herolda, stojących po przeciwnej stronie, którzy często patrzyli na Buliwyfa w czasie trwania tej walki.

Druga tarcza Hergera również została strzaskana i zażądał on swojej trzeciej i ostatniej tarczy. Herger był wielce zmęczony, twarz miał mokrą i czerwoną z wysiłku; młodzieniec Ragnar wydawał się spokojny, kiedy walczył, z małym wytężeniem sił.

Później została strzaskana trzecia tarcza i położenie Hergera stało się rozpaczliwe, albo takim się wydawało przez krótką chwilę. Herger stanął obiema stopami mocno na ziemi, zgięty i z trudem chwyający powietrze; był skrajnie wyczerpany. Ragnar wybrał ten moment, aby runąć na niego. Wtedy Herger odskoczył w bok, jakby trzasnął skrzydłem ptaka, a młodzieniec Ragnar przebił mieczem tylko powietrze. Wówczas Herger przerzucił miecz z jednej ręki do drugiej, ponieważ Normanowie potrafili walczyć równie dobrze i tak samo silnie obydwoma rękami. Herger prędko odwrócił się i jednym ciosem miecza ściął głowę Ragnara od tyłu.

Zaprawdę, widziałem, jak krew trysnęła z szyi Ragnara, a głowa poleciała w powietrze w tłum, i widziałem na własne oczy, jak głowa ta uderzyła o ziemię, zanim ciało również osunęło się na ziemię. Herger odszedł na bok i wówczas uświadomiłem sobie, że cała ta walka była udawaniem, ponieważ Herger nie sapał już ani nie dyszał, lecz stał bez żadnego śladu zmęczenia i bez charkotu z piersi; miecz swój trzymał lekko i wyglądał tak, jak gdyby mógł zabić jeszcze z tuzin takich ludzi. Popatrzawszy na Wiglifa, powiedział:

— Oddaj cześć swemu przyjacielowi.

Miał przez to na myśli zajęcie się sprawą pogrzebu.

Herger powiedział mi, kiedy oddaliliśmy się z miejsca pojedynku, że symulował i stwarzał pozory, tak aby Wiglif wiedział, iż ludzie Buliwyfa są nie tylko silnymi i odważnymi wojownikami, ale że są również zręczni.

— To napędzi mu więcej strachu — powiedział Herger — i nie ośmieli się szczekać przeciwko nam.

Wątpiłem, czy jego plan odniesie taki skutek, ale prawdą jest, że Normanowie cenią podstęp bardziej niż najbardziej podstępny Chazar; zaprawdę, bardziej niż najbardziej kłamliwy kupiec z Bahrajnu, dla którego podstęp jest formą sztuki. Spryt w walce i w rzeczach właściwych mężczyźnie uważany jest za większą cnotę niż czysta siła w wojowaniu.

Jednakże Herger nie był szczęśliwy i spostrzegłem, że Buliwyf nie był szczęśliwy również. Kiedy nadchodził wieczór, początki mgły tworzyły się na wysokich wzgórzach w głębi łądu. Przypuszczałem, że myśleli oni o poległym Ragnarze, który był młody, silny i mężny i który byłby przydatny w nadchodzącej bitwie. Tak też powiedział mi Herger:

— Z martwego człowieka nikt nie ma pożytku.

ATAK OGNISTEGO SMOKA KORGONA

Wraz z nadejściem zmroku mgła spęzała ze wzgórz, skradając się jak błędzące po omacku pałce wokół drzew, przesączała się nad zielonymi polami w stronę dworu Hurot i oczekujących wojowników Buliwyfa. Była tam teraz przerwa, wodę z jednego ze źródeł dopływowych w pracy nakierowano tak, aby wypełniła płytki rów, i wówczas pojąłem sens tego planu: woda zakryła żerdzie i głębsze dziury, dzięki czemu owa fosa stała się zdradliwa dla każdego najeźdźcy.

Jeszcze później kobiety Rothgara nosiły w bukłakach z kozłej skóry wodę ze studni i polewały nią ogrodzenie i zabudowania mieszkalne oraz wszystkie powierzchnie dworu Hurot. Również wojownicy Buliwyfa oblali się, w pełnym uzbrojeniu, wodą ze źródła. Noc była wilgotna i zimna, więc uważając to za jakiś pogański rytuał, usiłowałem się wymówić, ale na próżno; Herger oblał mnie od stóp do głów i byłem tak mokry jak pozostali. Stałem, ociekając wodą i dygocząc; zaprawdę, wrzeszczałem głośno pod biczem zimnej wody i zażądałem wyjaśnień.

— Ognisty smok zije ogniem powiedział mi Herger.

Potem podsunął mi kielich miodu dla złagodzenia dreszczy, ja zaś z zadowoleniem wypilem go jednym haustem.

Noc była już całkiem czarna i wojownicy Buliwyfa oczekiwali nadejścia smoka Korgona. Wszystkie oczy były zwrócone ku wzgórzom, zagubionym teraz we mgle nocy. Buliwyf przechadzał się wzdłuż fortyfikacji ze swym wielkim mieczem Rundingiem i cichymi słowami dodawał odwagi wojownikom. Wszyscy czekali spokojnie, z wyjątkiem jednego, Echthowa. Ów Echthow, zastępca Buliwyfa, jest mistrzem topora ręcznego; umieścił on w pewnej odległości od siebie solidny drewniany słup i raz po raz rzucał toporem do tego celu z drewna. Doprawdy, dano mu wiele ręcznych toporów; naliczyłem pięć czy sześć umocowanych przy jego szerokim pasie, inne trzymał w dłoniach, jeszcze inne leżały rozrzucone na ziemi wokół niego.

W podobny sposób Herger napinał i wypróbowywał swój łuk i strzałę, czynił to też Skeld, ponieważ oni właśnie byli najcelniejsi w strzelaniu ze wszystkich tych normañskich wojowników. Strzały Normanów mają żelazne groty i są doskonale

skonstruowane, drzewca ich są proste jak wyprężone liny. Mają oni w każdej wiosce lub obozie pewnego człowieka, często kalekę lub ułomnego, który znany jest jako *almsmann* (jałmużnik); wyrabia on strzały, a także łuki, dla wojowników z tej okolicy, za co płacą oni *almy* (jałmużnę) w postaci złota i muszelek albo, jak sam widziałem, strawy i mięsa²⁷.

Łuki Normanów mają prawie taką długość jak długość ich własnych ciał, a wykonane są z brzozy. Sposób strzelania jest następujący: drzewce strzały odciąga się aż do ucha, nie do oka, i stąd puszcza się je; siła lecącej strzały jest taka, że drzewce może gładko przejść przez ciało człowieka, nie zatrzymując się w nim; tak samo może ono przesyć kawał drewna grubości ludzkiej pięści. Zaprawdę, widziałem taką siłę strzały na własne oczy i sam spróbowałem napiąć jeden z ich łuków, ale odkryłem, że to zbyt ciężkie: łuk bowiem był zbyt duży i stawiał mi silny opór.

Normanowie są zręczni we wszelkich dziedzinach sztuki wojennej i zabijania tymi rodzajami broni, które wysoko sobie cenią. Mówią oni o liniach wojny, co nie ma znaczenia szyku żołnierzy; dla nich bowiem najważniejsza jest walka jednego człowieka przeciwko drugiemu, który jest jego wrogiem. Te dwie linie wojny różnią się w zależności od broni. O mieczu, którym się zawsze uderza z ukosa, a nigdy nie zadaje się nim pchnięć, powiadają: „Miecz szuka linii oddechu”, co dla nich oznacza szyję, a tym samym odcięcie głowy od reszty ciała. O włóczni, strzale, toporze ręcznym, sztylicie i innych rodzajach broni kłującej mówią: „Te bronie szukają linii tłuszczu”²⁸. Słowami tymi określają oni środkową część ciała od głowy po pachwinę; rana zadana w tę środkową linię oznacza dla nich pewną śmierć przeciwnika. Wierzą oni również, że skuteczniej jest uderzać najpierw w brzuch, ze względu na jego miękkość, niż uderzać w pierś lub w głowę.

Zaprawdę, Buliwyf i cała jego kompania byli czujni tej nocy, a ja wraz z nimi. Ogarnęło mnie silne zmęczenie spowodowane tą gotowością i dość prędko byłem tak strudzony, jak gdybym stoczył bitwę, chociaż żadna się jak do tej pory nie odbyła. Normanowie nie byli zmęczeni, ale gotowi do walki w każdym momencie. Prawdą jest, iż są oni najbardziej czujnymi ludźmi na ziemi, zawsze przygotowanymi na wszelką bitwę czy niebezpieczeństwo; nie znajdują oni niczego męczącego w tej postawie, która jest im właściwa od samego urodzenia. O każdej porze są bardzo ostrożni i czujni.

Po pewnym czasie usnąłem, Herger zaś zbudził mnie w sposób obcesowy: poczułem potężne uderzenie i świst powietrza koło mojej głowy, a gdy otworzyłem oczy, ujrzałem strzałę drgającą w drewnie o włos od mego nosa. Strzałę tę wypuścił Herger, on też i wszyscy pozostali śmiali się głośno z mojego zmieszania.

— Jeśli będziesz spał, przegapisz bitwę — powiedział Herger.

Odparłem, że nie byłaby to żadna strata, zgodnie z moim własnym sposobem myślenia.

Herger wyciągnął swą strzałę i spostrzegłszy, że czuję się obrażony jego wybrykiem, usiadł obok i zagadywał do mnie po przyjacielsku. Tej nocy Herger był wyraźnie skłonny do żartów i zabawy. Wypił wraz ze mną kielich miodu i odezwał się tak:

— Skeld został zaczarowany. — Po czym roześmiał się.

Skeld był niedaleko, Herger zaś mówił głośno, przeto zrozumiałem, że Skeld miał nas usłyszeć; jednakże Herger mówił po łacinie, niezrozumiałej dla Skelda, a zatem prawdopodobnie był po temu jakiś inny powód, którego nie znam. Skeld tymczasem ostrzył groty swoich strzał i czekał na bitwę. Powiedziałem do Hergera:

— Jak został zaczarowany?

— Jeśli nie jest on zaczarowany, być może zmienia się w Araba, pierze bowiem swoją bieliznę, a także myje swe ciało codziennie. Czy sam tego nie zauważyłeś? — odrzekł Herger.

Odpowiedziałem, że nie. Herger, śmiejąc się, dodał:

— Skeld robi to dla takiej a takiej wolno urodzonej kobiety, która zdobyła jego względy. To dla niej właśnie myje się codziennie i udaje subtelny, nieśmiały głupca. Czyś tego nie zauważył?

Ponownie odpowiedziałem, że nie. Na to Herger rzekł:

— Cóż zatem dostrzegasz zamiast tego?

Śmiał się głośno ze swego własnego dowcipu, ja zaś nie podzielałem jego wesołości, ani nawet tego nie udawałem, ponieważ nie było mi do śmiechu. Dalej Herger mówił tak:

— Wy, Arabowie, jesteście zbyt ponurzy. Narzekacie przez cały czas. Według was nic nie jest warte śmiechu.

Stwierdziłem, że nie ma racji. On zaś wezwał mnie, bym opowiedział jakąś zabawną historię, toteż wybrałem kazanie słynnego kaznodziei. Znacie to dobrze. Pewien słynny kaznodzieja stał na ambonie meczetu, a przybyli zewsząd mężczyźni i kobiety gromadzą się, aby słuchać jego szlachetnych słów. Jeden z mężczyzn, Hamid, odziany w długą szatę i zasłonięty kwefem, zasiada wśród kobiet. Słynny kaznodzieja przemawia:

— Zgodnie z islamem pożądane jest, aby człowiek pilnował, by jego włosy łonowe nie wyrosły zbyt długie.

Ktoś pyta:

— Jaka długość jest odpowiednia, o wielebny?

Wszyscy znają tę opowiastkę; jest to, doprawdy, grubiański żart. Kaznodzieja odpowiada:

— Nie powinny one być dłuższe niż kłos jęczmienia.

Na to Hamid prosi kobietę siedzącą obok niego:

— Siostrze, proszę cię, sprawdź i powiedz mi, czy moje włosy łonowe są dłuższe niż kłos jęczmienia.

Kobieta sięga pod suknię Hamida, aby poszukać palcami włosów łonowych, a tam dłoń jej natrafia na jego członek. Zaskoczona kobieta wydaje okrzyk. Kaznodzieja słyszy go i jest wielce zadowolony. Mówi do swego audytorium:

— Wszyscy powinniście nauczyć się sztuki słuchania kazania, tak jak czyni to tamta dama, albowiem widzicie, jak to poruszyło jej serce.

Kobieta owa zaś, wciąż wzburzona, odpowiada tak oto:

— To nie poruszyło mego serca, o wielebny, to poruszyło moją dłoń.

Herger wysłuchał wszystkich moich słów z kamienną twarzą. Ani razu nie zaśmiał się ani nawet nie uśmiechnął. Kiedy skończyłem, powiedział:

— Co to znaczy kaznodzieja?

Na to odrzekłem, że jest on głupim Normanem który nic nie wie o bezmiarze świata. I z tego Herger się śmiał, natomiast nie śmiał się z mojej bajeczki.

Nagle Skeld krzyknął i wszyscy wojownicy Buliwyfa, a ja wśród nich, zwrócili się, by spojrzeć na wzgórze, poza zasłone mgły. Oto co ujrzałem: wysoko w powietrzu jaśniał roziskrzony, gorejący punkt świetlny, niczym oddalona płonąca gwiazda. Wszyscy wojownicy dostrzegli go i rozległy się wśród nich pomrukiwania i okrzyki.

Wkrótce potem ukazał się drugi punkt świetlny, potem jeszcze jeden i następny. Naliczyłem ich przeszło tuzin i przestałem szybko liczyć dalej. Te rozżarzone, duże, ogniste punkty pojawiały się wzdłuż pewnej linii, która falowała jak wąż, albo jak wijące się ciało smoka.

— Teraz bądź gotów — powiedział do mnie Herger, dodając też normańskie życzenie: — Powodzenia w boju.

Odwzajemniłem mu je, używając tych samych słów, po czym odszedł.

Rozżarzone ogniste punkty wciąż były daleko, ale przybliżały się. Teraz usłyszałem dźwięk, który wziąłem za huk gromu. Było to głucho, odległe dudnienie, które wzmagało się w zamglonym powietrzu, tak jak nasilają się wszelkie dźwięki wydawane we mgle.

Zaprawdę bowiem faktem jest, że we mgle szept człowieka słyhać na odległość stu kroków tak wyraźnie, jak gdyby ktoś szeptał wprost do ucha.

Patrzyłem teraz i słuchałem, wszyscy zaś wojownicy Buliwyfa chwycili za broń i również patrzyli i nasłuchiwali, a ognisty smok Korgon nacierał na nas z góry, wśród gromów i płomieni. Każdy rozżarzony punkt stawał się coraz większy i złowieszczo czerwony, migotał i pełzał; ciało tego smoka było długie i lśniące i miało straszliwy wygląd, jednakże nie bałem się, ponieważ uznałem teraz, że byli to jeźdźcy z pochodniami; okazało się, że tak jest w istocie.

Wkrótce potem z mgły wyłonili się jeźdźcy, czarne postacie ze wzniesionymi pochodniami, czarne rumaki syczące i nacierające. Wywiązała się walka. W jednej chwili nocne powietrze wypełniło się straszliwymi wrzaskami i jękami agonii, albowiem pierwsza szarża jeźdźców trafiła na rów i wiele wierzchowców runęło weń,

przewracając się i zrzucając swoich jeźdźców, a pochodnie skwierczały w wodzie. Inne konie próbowały przeskoczyć częstokół i nadziewały się na ostre pale. Część tego ogrodu zajął ogień. Wojownicy biegali we wszystkich kierunkach.

Nagle zobaczyłem jednego z jeźdźców, pędzącego przez płonąca część palisady; mogłem teraz obejrzeć wendola po raz pierwszy tak wyraźnie. Zobaczyłem, jak czarnego rumaka dosiadał jakiś ludzki kształt w czerni, ale jego głowa była głową niedźwiedzia. Przez chwilę byłem porażony przeraźliwym lękiem i bałem się, że umrę z samego strachu, ponieważ nigdy wcześniej nie widziałem na własne oczy tak koszmarniej zjawy, jednakże w tym samym momencie ręczny topór Echthgowa wbił się głęboko w plecy jeźdźcy, który zachwiał się i spadł, a niedźwiedzia głowa stoczyła się z jego ciała; ujrzałem pod nią głowę człowieka.

Szybki jak błyskawica Echthgow skoczył na powaloną istotę, przebił na wylot jej pierś, odwrócił trupa i wyciągnął swój ręczny topór z pleców, po czym pobiegł, by walczyć dalej. Ja także włączyłem się do bitwy, gdyż zawirowałem, zwalony z nóg ciosem lancy. Wewnątrz palisady było teraz wielu jeźdźców, ich pochodnie płonęły, niektórzy mieli głowy niedźwiedzi, inni zaś nie; otaczali oni i próbowali podpalić budynki dworu Hurot. Przeciwno temu mężnie walczyli Buliwyf i jego ludzie.

Zerwałem się na nogi, kiedy jeden z potworów z mgły runął na mnie na swym szarżującym rumaku. Zaprawdę, uczyniłem tak: zapałem się mocno o ziemię i postawiłem moją lancę na sztorc, sądząc, że uderzenie rozerwie mnie na strzępy. Jednakże lanca przeszła ciało jeźdźcy, który ryknął przeraźliwie, ale nie spadł z wierzchowca i jechał dalej. Upadłem, dysząc ciężko, i czułem ból żołądka, ale nie byłem naprawdę ranny, trwało to jedynie przez chwilę.

W czasie tej bitwy Herger i Skeld wypuścili wiele strzał, aż powietrze napełniło się ich świstami, i po wielekroć trafiały one do celu. Widziałem strzałę Skelda, która przeszła szyję jednego jeźdźcy i utkwiała w niej; widziałem też, jak obydwaj, Skeld i Herger, przebili pierś pewnego jeźdźcy i tak szybko napięli łuki i strzelili znowu, że w jego ciele utkwili naraz cztery strzały, a wycie jego brzmiało straszliwie, gdy pędził na koniu.

Dowiedziałem się jednakże, że Herger i Skeld uważali ten czyn za kiepską walkę, Normanowie bowiem sądzą, że nie ma nic świętego w zwierzętach; przeto według nich właściwym zastosowaniem strzał jest zabijanie koni, aby wysadzić jeźdźcy. Mówią oni o tym: „Człowiek pozbawiony konia jest tylko w połowie mężczyzną i dwa razy łatwiej go zabić”. Tak też postępują bez najmniejszego wahania²⁹.

Później ujrzałem również to: pewien jeździec wpadł w obręb obwarowań, zgiął się nisko na swym galopującym czarnym koniu i pochwycił ciało potwora, którego uśmiercił Echthgow, po czym odjechał, przewiesiwszy je przez szyję konia, gdyż, jak już powiedziałem, te potwory z mgły nie pozostawiają zabitych, których można by znaleźć w świetle poranka.

Walka trwała dość długo przy świetle płonącego ognia sączącym się przez mgłę. Spostrzegłem Hergera, który toczył śmiertelny bój z jednym z tych demonów; chwyciwszy nową lancę, wbiłem ją głęboko w plecy tego stwora. Herger, ociekający krwią, podniósł rękę w podzięcie i ponownie rzucił się w wir walki. Rozpierała mnie duma.

Usiłowałem wyciągnąć swoją lancę, a kiedy to czyniłem, zostałem silnie uderzony i odtrącony na bok przez rozpędzonych jeźdźców i od tego czasu naprawdę niewiele pamiętam. Widziałem, że jedno z domostw szlachciców Rothgara paliło się pełgającym, skwierczącym płomieniem, ale polany wodą dwór Hurot wciąż pozostawał nietknięty, z czego cieszyłem się tak, jak gdybym sam był Normanem, i to były moje ostatnie myśli.

O świcie obudziło mnie przemywanie skóry twarzy i z przyjemnością poddawałem się miłym dotknięciom. Wkrótce potem, spostrzegłszy, że przyjmuję opiekuńcze posługi liżącego mnie psa, poczułem się jak pijany głupiec i byłem upokorzony tak, jak tylko można sobie wyobrazić³⁰.

Spostrzegłem teraz, że leżę w rowie, w którym woda była czerwona jak krew; podniosłem się i szedłem przez dymiący obwarowany obszar, wśród wszelkiego rodzaju zniszczeń i śmierci. Widziałem ziemię, przesiąkniętą krwią jak deszczem, z licznymi kałużami. Widziałem też ciała pozabijanych szlachciców, a także martwych kobiet i dzieci. Widziałem również troje czy czworo, których ciała były poparzone ogniem i spalone na węgiel. Wszystkie one leżały porzucone na ziemi i musiałem iść z oczami spuszczoneymi na dół, żeby po nich nie stąpać, tak gęsto były porozrzucane.

Jeśli chodzi o umocnienia obronne, większa część palisady spłonęła. Na innych jej fragmentach leżały konie, ponabijane na żerdzie i zimne. Tu i ówdzie walały się porozrzucane pochodnie. Nie dojrzałem żadnego z wojowników Buliwyfa.

Z królestwa Rothgara nie dochodziły żadne krzyki ani lamenty, ponieważ ludzie Północy nie oplakują żadnej śmierci, ale wprost przeciwnie, w powietrzu panowała niezwykła cisza. Słyszałem pianie koguta i szczekanie psa, lecz żadne ludzkie głosy nie zwiastowały początku dnia.

Wreszcie wszedłem do wielkiego dworu Hurot i tutaj znalazłem dwa ciała, ułożone na sitowiu, z hełmami na piersiach. Byli to: Skeld, hrabia Buliwyfa, oraz Helfdane, wcześniej ranny, teraz zaś zimny i blady. Obydwaj byli martwi. Był tam również Rethel, najmłodszy z wojowników, który siedział sztywno w rogu, opatrywany przez niewolnice. Rethel został już wcześniej zraniony, ale otrzymał świeży cios w brzuch i obficie krwawił; z pewnością bolało go bardzo, jednakże okazywał jedynie wesołość, uśmiechał się i dokuczał niewolnicom, podszczypując je w piersi i w pośladki, one zaś często beształy go za to, że rozprasza ich uwagę, kiedy usiłują obwiązać jego rany.

Oto sposób postępowania z ranami, wedle ich rodzaju. Jeśli wojownik zostanie

zraniony w kończynę, w rękę lub nogę, obwiązuje mu się ją, a kawałki płótna wygotowanego w wodzie kładzie się na ranę, aby ją przykryć. Mówiono mi też, że można położyć na ranę pajęczynę albo strzępki jagnięcej wełny, aby zagęścić krew i powstrzymać jej upływ; tego nigdy nie zaobserwowałem.

Jeśli wojownik zostanie ranny w głowę lub w szyję, niewolnice starannie przemywają jego obrażenia i badają je. Jeżeli skóra jest rozdarta, ale białe kości nienaruszone, wówczas mówią o takiej ranie: „To bez znaczenia”, lecz gdy kości są zgruchotane albo złamanie jest w jakiś sposób otwarte, wówczas powiadają: „Życie z niego uchodzi i wkrótce umknie”.

Jeśli wojownik zostanie ranny w pierś, dotykają oni jego rąk i stóp, a gdy są one ciepłe, mówią o takiej ranie: „To bez znaczenia”. Jednakże, jeśli ów wojownik kaszle lub wymiotuje krwią, wówczas powiadają: „On mówi we krwi” i uważają to za niezwykle groźne. Człowiek może umrzeć z powodu choroby na mówienie krwią, może też wyżyć, jeśli taki jego los.

Gdy wojownik zostanie ranny w brzuch, karmią go zupą z cebuli i ziół; następnie kobiety obwąchują jego rany, a jeśli pachną one cebulą, mówią: „On cierpi na chorobę zupy” i wiedzą, iż umrze.

Widziałem na własne oczy kobiety przygotowujące zupę z cebuli dla Rethela, który wypił pewną jej ilość; niewolnice zaś wachały jego rany i poczuły zapach cebuli. Rethel zaśmiał się na to, powiedział jakiś krzepiący żart, po czym zażądał miodu, który mu przyniesiono; nie okazał przy tym śladu niepokoju.

Natomiast Buliwyf, przywódca, i wszyscy jego wojownicy naradzali się w innym miejscu tego wielkiego dworu. Dołączyłem do ich kompanii, ale nie zgotowano mi żadnego powitania. Herger, którego życie ocaliłem, w ogóle mnie nie zauważył, ponieważ wojownicy byli pogrążeni w poważnej rozmowie. Znałem już wówczas trochę mowę wikingów, ale nie na tyle, żeby rozumieć ich ciche i szybko wymawiane słowa, przeto odszedłem w inne miejsce i wypiwszy nieco miodu, poczułem ból w kilku miejscach mego ciała. Wówczas pewna niewolnica podeszła, by obmyć moje rany. Było to cięcie na łydce i skaleczenie w pierś. Nie byłem świadom tych obrażeń aż do chwili, kiedy zaproponowała mi udzielenie pomocy.

Normanowie przemywają rany wodą morską, wierząc, że woda ta posiada więcej właściwości leczniczych niż woda źródłana. Takie przemywanie rany nie jest zbyt miłe. Prawdę mówiąc, pojękiwałem, a na to Rethel zaśmiał się głośno i powiedział do niewolnicy:

— On wciąż jest Arabem.

Zawstydzilem się.

Normanowie przemywają też rany podgrzany moczem krów. Odmówiłem, gdy mi to zaproponowano.

Ludzie Północy uważają krowią urynę za wspaniałą substancję i gromadzą ją w drewnianych pojemnikach. Zgodnie ze zwykłym biegiem rzeczy gotują ją dotąd, aż stanie się gęsta, cuchnąca i drażni nozdrza, azotem; używają tej ohydnej cieczy do prania, zwłaszcza białej odzieży z grubego płótna³¹.

Opowiadano mi także, iż od czasu do czasu zdarza się, że ludzie Północy odbywają jakąś długą morską podróż i nie mają dostępu do źródła świeżej wody, przeto każdy pije swój własny mocz i w ten sposób mogą oni przeżyć do czasu, gdy dobiją do brzegu. Tak mi wielokrotnie mówiono, ale nigdy tego nie widziałem, dzięki łasce Allaha.

Kiedy wreszcie narada wojowników zakończyła się, Herger podszedł do mnie. Niewolnica, która mnie opatrywała, sprawiła, że moje rany paliły do szaleństwa; jednakże byłem zdecydowany podtrzymać normański obyczaj okazywania wielkiej wesołości. Powiedziałem do Hergera:

— Jakąż to błahą sprawą zajmiemy się następnym razem? Herger spojrzał na moje rany i rzekł:

— Poradzisz sobie z konną jazdą.

Spytałem, dokąd miałbym jechać, i w istocie, natychmiast straciłem cały dobry humor, ponieważ odczuwałem wielkie znużenie i nie miałem siły na nic poza odpoczynkiem. Herger powiedział:

— Dzisiejszej nocy ognisty smok zaatakuje ponownie. Ale jesteśmy teraz zbyt słabi, a naszych ludzi jest zbyt mało. Nasze umocnienia obronne zostały spalone i zniszczone. Ognisty smok pozabija nas wszystkich.

Słowa te wymawiał spokojnie. Spozrzegłem to i zapytałem Hergera:

— Dokąd zatem jedziemy?

Pomyślałem, że z powodu swoich ciężkich strat Buliwyf i jego kompania mogli chcieć opuścić królestwo Rothgara. Nie byłem temu przeciwny.

Herger powiedział mi:

— Wilk, który leży w swojej norze, nigdy nie zdobędzie mięsa, ani śpiący mężczyzna zwycięstwa.

Było to normańskie przysłowie, dzięki któremu zrozumiałem, że plan był inny: mieliśmy zaatakować konno potwory z mgły tam, gdzie jest ich legowisko, w tych górach czy na wzgórzach. Bez wielkiego zapału wypytywałem Hergera, kiedy by to miało nastąpić, on zaś odparł, że w południe tego samego dnia.

Później ujrzałem też jakieś dziecko wchodzące do dworu, które niosło w rączkach kamienny przedmiot. Herger dokonał oględzin; był to kolejny z bezgłowych kamiennych posążków ciężarnej kobiety, opasłej i brzydkiej. Herger cisnął przekleństwo i wypuścił ten kamień ze swych trzęsących się dłoni. Przywołał niewolnicę, wzięła ona kamień i wrzuciła go do ognia, gdzie żar płomieni spowodował jego pęknięcie i rozpadanie się na kawałki. Kawałki te zostały później wrzucone do morza, tak przynajmniej poinformował

mnie Herger.

Spytałem, jakie znaczenie miał ten rzeźbiony kamień.

— To wizerunek matki zjadaczy umarłych, tej, która im przewodniczy i kieruje nimi w czasie jedzenia — powiedział.

Spostrzegłem teraz Buliwyfa, który stał pośrodku wielkiego dworu i patrzył w górę na rękę jednego z tych potworów, wciąż zwisającą z krokwi. Później spojrział w dół, na ciała swych zabitych towarzyszy, na gasnącego Rethela, i ramiona mu opadły, a podbródek zbliżył się do piersi. Później, przeszedłszy koło nich, wyszedł na zewnątrz i ujrzałem, jak wkładał swą zbroję i wyciągnął miecz, przygotowując się na nowo do bitwy.

PUSTYNIA STRACHU

Buliwyf zażądał siedmiu silnych koni i wczesnym rankiem wyjechaliśmy z wielkiego dworu Rothgara na płaską równinę, a stamtąd ku wzgórzom widniejącym za nią. Były też z nami cztery śnieżnobiałe ogary, wielkie zwierzęta, które zaliczyłbym raczej do wilków niż do psów, tak dzikie było ich zachowanie. Tak oto wyglądała cała nasza siła bojowa, toteż uważałem tę wyprawę za jakiś słaby gest przeciw tak straszniemu przeciwnikowi, jednakże Normanowie mieli wielką nadzieję, iż uda im się zwyciężyć przez zaskoczenie i przebiegły atak. Poza tym, według ich własnych szacunków, każdy z ich ludzi ma trzy — lub czterokrotnie większą wartość niż wszyscy inni.

Nie byłem usposobiony do podejmowania kolejnego wojennego ryzyka i bardzo mnie dziwiło, że Normanowie nie podzielali takiego poglądu, wynikającego u mnie ze zmęczenia. Herger mówił o tym:

— Zawsze tak jest, teraz i w Walhalli.

Walhalla jest ich wyobrażeniem nieba. W niebie tym, które według nich jest wielkim dworem, wojownicy walczą od świtu do zmierzchu; później ci, którzy polegli, ożywają i wszyscy uczestniczą w uczcie trwającej całą noc, z niekończącym się jedzeniem i piciem; a następnie za dnia walczą znowu; ci zaś, którzy polegą, ożywają i znów odbywa się uczta; taka jest natura ich nieba po wsze czasy³². Przeto nigdy nie uważają oni za dziwne walczyć dzień w dzień tu na ziemi.

Kierunek naszej podróży wyznaczały ślady krwi, jakie pozostawili jeźdźcy wycofujący się nocą. Ogary prowadziły nas, pędząc wzdłuż tego nasączonego krwią tropu. Zatrzymaliśmy się tylko raz na tej płaskiej równinie, aby podnieść broń, porzuconą przez odjeżdżające demony. Oto wygląd tej broni: był to ręczny topór z toporzyskiem z jakiegoś drewna, o żelźcu z łupanego kamienia, przymocowanym do toporzyska skórzanymi rzemieniami. Krawędź topora była niezwykle ostra, a całe ostrze wykonane z mistrzowską starannością, tak jak gdyby ten kamień był jakimś klejnotem, który szlifowano dla dogodzenia próżności bogatej damy. Taka była miara jakości wykonania, sama broń zaś była straszliwa ze względu na ostrość swej krawędzi. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego przedmiotu na powierzchni całej ziemi. Herger powiedział

mi, że wendole robią wszystkie swoje narzędzia i wszelką broń z tego kamienia, tak przynajmniej sądzą Normanowie.

Wciąż jechaliśmy dosyć prędko naprzód, prowadzeni przez szczekające psy, co napełniało mnie otuchą. Wreszcie dotarliśmy do wzgórz. Wjechaliśmy na nie bez wahania czy ceregieli, każdy z wojowników Buliwyfa skupiony na swym zadaniu, milcząca kompania mężczyzn o zawziętych twarzach. Na obliczach ich widniały ślady strachu, jednakże nikt nie zatrzymał się ani nie zachwiał, ale uparcie dążyli naprzód.

Zrobiło się teraz zimno na wzgórzach, w lasach o ciemnozielonych drzewach, a lodowaty wiatr przenikał przez nasze ubrania; słyszeliśmy świszczący oddech rumaków, widzieliśmy białe pióropusze oddechu rozpędzonych psów i wciąż parliśmy naprzód. Podróżowaliśmy tak aż do południa, po czym wjechaliśmy w nowy krajobraz. Były to słonawe stawy, moczary i wrzosowiska — wyludniona kraina, wielce przypominająca pustynię, jednakże nie piaszczysta i sucha, ale wilgotna i błotnista, a ponad tą ziemią unosiły się leciutkie kłaczki mgły. Normanowie nazywają to miejsce pustynią strachu³³.

Teraz ujrzałem na własne oczy, że mgła pokrywająca ten obszar leżała skupiona w małe gniazda, jak malusieńkie chmurki usadowione na ziemi. W jednej strefie powietrze jest przejrzyste; w innym znów miejscu snuje się mgła zawieszona blisko gruntu, wznosząca się na wysokość końskich kolan. W takim miejscu traciliśmy z pola widzenia nasze psy, które były spowite mgłą. Naraz, w chwilę później, mgła rzedła, i znajdowaliśmy się w kolejnej odsłoniętej strefie. Taki był krajobraz owego wrzosowiska.

Uznałem ten widok za godny uwagi, ale Normanowie nie uważają go za coś osobliwego; mówili oni, że ziemia w tej okolicy zawiera liczne słonawe sadzawki i bulgoczące gorące źródła, które wytryskują ze szczelin w podłożu; w takich miejscach gromadzi się mgiełka i pozostaje tam dzień i noc. Nazywają to miejscem parujących jezior.

Kraina ta jest trudna do przebycia dla koni, toteż posuwaliśmy się wolniej. Psy również coraz wolniej zapuszczały się w nieznany teren i spostrzegłem, że czekały z mniejszym wigorem. Wkrótce nasza kompania całkowicie zmieniła sposób przemieszczania się: z galopu, wśród ujadania psów pędzących na czele, w stęp, z cichymi psami, które prawie nie chciały wskazywać drogi, a zamiast tego cofały się, tak że wpadały pod kopyta koni, powodując w ten sposób sporadyczne trudności. Wciąż było bardzo zimno, zaprawdę, zimniej niż przedtem, i widziałem tu i ówdzie małe płatki śniegu na ziemi, choć był to, wedle mego najlepszego rozeznania, czas letni.

Wolnym krokiem przebywaliśmy znaczną odległość i obawiałem się, że zabłądzimy i nigdy nie odnajdziemy drogi powrotnej przez to wrzosowisko. Naraz w pewnym miejscu psy zatrzymały się. Nie było tam żadnej zmiany w terenie ani żadnego znaku czy przedmiotu na ziemi; a jednak psy stanęły tak, jak gdyby dotarły do jakiegoś

ogrodzenia albo namacalnej przeszkody. Nasza drużyna zatrzymała się w tym miejscu i rozejrzeliśmy się na wszystkie strony. Nie było wiatru i nie było słyhać żadnych dźwięków: ani dźwięków ptaków, ani jakichkolwiek żyjących zwierząt; panowała zupełna cisza.

— Tutaj zaczyna się kraina wendoli — powiedział Buliwyf.

Wojownicy poklepywali swoje rumaki po szyjach, aby je uspokoić, ponieważ na terenie tym konie były narowiste i podenerwowane, podobnie jak jeźdźcy. Buliwyf zaciskał mocno usta; ręce Ecthgowa drżały; Herger całkiem zbladł, a jego oczy biegały na wszystkie strony; również w zachowaniu pozostałych strach przejawiał się we właściwy im sposób.

Normanowie powiadają: „Strach ma białe usta”, i zobaczyłem teraz, że to prawda, ponieważ wszyscy oni byli bladzi, a wargi mieli zbielełe. Nikt nie mówił o swoim lęku.

Zostawiliśmy zatem psy poza sobą i jechaliśmy dalej, wśród gęstniejącej mgły, po większym śniegu, który był lekki i skrzypiał pod kopytami. Nikt się nie odzywał, chyba że do koni. Z każdym krokiem zwierzęta te było coraz trudniej prowadzić naprzód; wojownicy musieli ponaglać je pieszczotliwymi słowami i ostrogami. Wkrótce ujrzelśmy przed sobą jakieś kształty majaczące we mgle, do których zbliżaliśmy się, zachowując ostrożność. Wreszcie zobaczyłem na własne oczy rzecz następującą: po obydwu stronach ścieżki, wzniesione wysoko na grubych pałach, znajdowały się czaszki ogromnych zwierząt; ich szczęki były rozwarłe, jak do ataku. Podjechaliśmy bliżej i spostrzegłem, że były to czaszki olbrzymich niedźwiedzi, którym wendole oddają cześć. Herger powiedział mi, że te niedźwiedzie czaszki strzegą granic krainy wendoli.

Później ujrzelśmy kolejną przeszkodę, szarą, odległą i ogromną. Był to olbrzymi kamień, sięgający wysokością końskiego siodła, wyrzeźbiony w kształt ciężarnej kobiety, z wydętym brzuchem i obrzmiałymi piersiami, bez głowy, ramion i nóg. Kamień ten był zbryzgany krwią jakichś ofiar; zaprawdę, ociekał strugami czerwieni i wyglądał przerażająco.

Nikt nie mówił o tym, co oglądaliśmy. Co żywo jechaliśmy dalej. Wojownicy wyciągnęli swoje miecze i trzymali je w gotowości. Otóż Normanowie mają pewną osobliwą cechę: mimo że uprzednio okazywali strach, to kiedy wkroczyli do krainy wendoli i znaleźli się blisko źródła tego strachu, ich obawy zniknęły. Wydaje się przeto, że robią oni wszystkie rzeczy na odwrót i w zdumiewający sposób, ponieważ, zaprawdę, wyglądali teraz na odprężonych i spokojnych. I tylko konie jeszcze trudniej było prowadzić naprzód.

Poczułem ten zgniłotrupi odór, który czułem już przedtem w wielkim dworze Rothgara; a kiedy na nowo dobiegł on moich nozdrzy, upadłem na duchu. Herger jechał koło mnie i spytał łagodnym głosem:

— Jak ci się podróżuje?

Nie będąc zdolnym do ukrycia swych uczuć, powiedziałem do niego:

— Boję się.

Herger odrzekł:

— Jest tak, ponieważ myślisz o tym, co ma nadejść, i wyobrażasz sobie straszliwe rzeczy, które mogłyby zmrozić krew w żyłach każdego mężczyzny. Nie myśl na zapas i pocieszaj się, wiedząc, że żaden człowiek nie żyje wiecznie.

Rozumiałem prawdę jego słów.

— W mojej społeczności — powiedziałem — często mówimy: „Dzięki niech będą Allahowi, albowiem w swojej mądrości wyznaczył on miejsce śmierci na końcu życia, nie zaś u jego początku”.

Herger uśmiechnął się na to.

— Ze strachu nawet Arabowie mówią prawdę — rzekł, po czym podjechał naprzód, aby przekazać moje słowa Buliwyfowi, który także się roześmiał. Wojownicy Buliwyfa cieszyli się z żartu w takim momencie.

Wreszcie przybyliśmy do stóp pewnego wzgórza, a dotarwszy na jego szczyt, zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy w dół na obozowisko wendoli. Oto jak rozpościerało się ono przed nami, zgodnie z tym, co widziałem na własne oczy: była tam dolina, a w niej krąg prymitywnych szałasów z błota i słomy, o nędznej konstrukcji, jaką mogłoby wznieść dziecko; w środku tego kręgu znajdowało się duże ognisko, teraz tłące się zaledwie. Jednakże nie było tam ani koni, ani innych zwierząt, ani ruchu, ani żadnego znaku życia; a widzieliśmy to poprzez przemieszczające się opary mgły.

Buliwyf zsiadł ze swego rumaka, jego wojownicy uczynili to samo, a ja wraz z nimi. Prawdę mówiąc, serce mi łomotało i brakowało mi oddechu, kiedy spoglądałem w dół na dzikie obozowisko tych demonów. Rozmawialiśmy szeptem.

— Dlaczego nie ma tam żadnego ruchu? — spytałem.

— Wendole to stworzenia nocy, tak samo jak sowy czy nietoperze — odparł Herger — i śpiąją podczas godzin dziennych. Zatem śpią oni teraz, my zaś runiemy z góry na ich kompanię, spadniemy na nich i pozabijamy ich we śnie.

— Jest nas tak niewiele — powiedziałem, ponieważ w dole dostrzegłem liczne szałaszy.

— Wystarczy nas — odparł Herger, po czym dał mi napój z miodu, który wypilem z wdzięcznością, wysławiając Allaha za to, że napój ten nie jest zakazany ani nawet ganiony³⁴. Szczerze mówiąc, odkryłem, że mój język staje się coraz bardziej gościnnie wobec tej samej substancji, którą kiedyś uważałem za ohydny; w taki oto sposób rzeczy obce przestają być obcymi na skutek stałego z nimi obcowania. Podobnie nie zważałem już teraz na odrażający smród wendoli, ponieważ wachałem go przez dość długi czas i przestałem zdawać sobie sprawę z tego odoru.

Ludzie Północy mają niezwykle osobliwy stosunek do spraw węchu. Nie są oni

czyści, jak już powiedziałem, a ich pożywienie i picie jest niedobre; jednak to prawda, że cenią sobie nos ponad wszystkie części ciała. Utrata ucha w walce nie jest wielkim problemem; strata palca czy palucha albo ręki niewiele większym; takie rany i obrażenia znoszą oni obojętnie. Jednakże utratę nosa uważają za równą samej śmierci, a odnosi się to nawet do utraty kawałka mięsistego koniuszka, co inne ludy uważałyby za najmniejsze uszkodzenie.

Złamanie kości nosa w czasie bitwy i w bójce nie ma znaczenia; nosy wielu z nich są krzywe z tej przyczyny. Nie znam powodu tego strachu przed obcięciem nosa³⁵.

Uzbroiwszy się, wojownicy Buliwyfa, nie wyłączając mnie, pozostawili rumaki na wzgórzu, ale zwierzęta te nie mogły pozostać bez opieki, tak bardzo były przerażone. Jeden z naszej grupy musiał z nimi zostać. Miałem nadzieję, że wyznaczą mnie do tego zadania; jednakże oni wybrali Haltafa, który, będąc wcześniej ranny, miał ograniczoną sprawność i byłby z niego mniejszy pożytek. Tak więc wraz z pozostałymi ostrożnie schodziłem ze wzgórza wśród chorowitych zarośli i więdnących krzewów w dół z boku ku obozowisku wendoli. Poruszaliśmy się ukradkiem, toteż nie podniesiono żadnego alarmu i wkrótce znaleźliśmy się w samym sercu wioski tych demonów.

Buliwyf w ogóle się nie odzywał, ale wydawał wszystkie polecenia i rozkazy za pomocą ruchów rąk. Dzięki nim doskonale rozumiałem, że mamy pójść w grupkach po dwóch wojowników, każda para w innym kierunku. Herger i ja mieliśmy zaatakować najbliższą z glinianych chat, a wszyscy pozostali mieli atakować inne. Wszyscy czekali, aż dwójki zajmą pozycje na zewnątrz tych szałasów, aż wreszcie, z rykiem, Buliwyf wzniósł swój wielki miecz Runding i przyspuścił atak.

Wpadłem wraz z Hergerem do jednej z tych chat, krew szumiała mi w głowie, miecz w moich dłoniach był lekki jak piórko. Zaprawdę, byłem przygotowany na najcięższą walkę mego życia. W środku niczego nie dojrzałem; szałas był wyludniony i opustoszały, nie licząc prymitywnych legowisk ze słomy, tak niekształtnych z wyglądu, że przypominały raczej gniazda jakiegoś zwierzęcia.

Wybiegliśmy pędem na zewnątrz i zaatakowaliśmy kolejną z tych glinianych chat. Znow zobaczyliśmy, że jest ona pusta. Zaprawdę, wszystkie te szałasy były puste, toteż wojownicy Buliwyfa byli srodze wzburzeni i spoglądali jeden na drugiego z wyrazem zaskoczenia i zdumienia.

Wówczas wezwał nas Ecthgow i zgromadziliśmy się przy jednej z tych chat, większej niż wszystkie pozostałe. I tutaj dostrzegłem, że była ona wyludniona, tak jak inne, ale wewnątrz nie było opróżnione. Przeciwnie, podłoga tej chaty usłana była kruchymi kośćmi, które chrzęściły pod stopami jak kości ptaków, delikatne i łamliwe. Bardzo mnie to zdziwiło, więc przystanąłem, aby zbadać ich pochodzenie. Wstrząśnięty, dostrzegłem zakrzywioną linię oczodołu, gdzie indziej zaś kilka zębów. Zaprawdę, staliśmy na dywanie z kości ludzkich twarzy, a jako dalsze dowody tej upiornej prawdy,

zgrupowane przy jednej ze ścian chaty, leżały pokrywy ludzkich czaszek, odwrócone i ułożone w stos, zupełnie jak czasze garncarskie, ale połyskiwały bielą. Zrobiło mi się słabo i wyszedłem z tej chaty, aby wymiotować. Herger powiedział mi, że wendole zjadają mózgi swoich ofiar, tak jak ludzka istota mogłaby zjadać jajka czy ser. Taki mają obyczaj, nikczemny i wzbudzający odrazę na samą myśl o tym, jednakże jest to prawda.

Później przywołał nas inny z wojowników i weszliśmy do kolejnej chaty. Tutaj ujrzałem, co następuje: chata owa była ogołociona, znajdowało się w niej jedynie ogromne krzesło przypominające tron, wyrzeźbione z jednego olbrzymiego kłosa drewna. Krzesło to miało wysokie wachlarzowate oparcie, rzeźbione w kształty węży i demonów. U jego stóp leżały rozsypane kości czaszek, a na oparciach, gdzie siedzący mógł oprzeć swe dłonie, widać było krew i resztki białawej, serowatej substancji, stanowiącej ludzką tkankę mózgową. W całym pomieszczeniu panował odrażający smród.

Wokół tego tronu ułożone były małe kamienne rzeźby ciężarnej, takie, jakie już wcześniej opisywałem; figurki te tworzyły koło czy obwód wokół krzesła.

Herger powiedział:

— Oto, gdzie ona panuje.

Głos miał cichy i przytłumiony ze zgrozy.

Nie byłem w stanie zrozumieć, co miał na myśli, i byłem chory na duszy i ciele. Wypróżniałem zawartość swego żołądka na ziemię. Herger i Buliwyf oraz wszyscy pozostali również byli poruszeni, chociaż nikt nie wymiotował, lecz w zamian wzięli oni rozżarzone głównie z ogniska i podpalili te chaty. Płonęły powoli, ponieważ były wilgotne.

I tak oto wspięliśmy się na wzgórze, dosiedliśmy naszych koni i opuściliśmy krainę wendoli; wyjechaliśmy z pustyni strachu. Wszyscy zaś wojownicy Buliwyfa mieli teraz smutne oblicza, albowiem wendole prześcignęli ich w zręczności i sprycie, opuszczając swój matecznik w przewidywaniu ataku, a spalenia swych domostw nie uważali za wielką stratę.

RADA KARŁA

Powracaliśmy tak samo, jak przybyliśmy, ale jechaliśmy z większą prędkością, ponieważ konie były teraz ochocze; wreszcie zesliśmy ze wzgórz i ujrzałem płaską równinę oraz w oddali, nad brzegiem morza, osadę i wielki dwór Rothgara.

Nagle Buliwyf zawrócił i powiodł nas w innym kierunku, w stronę wysokich urwistych skał omiatanych morskimi wichrami. Jechałem koło Hergera i spytałem go o powód tej nagłej zmiany, on zaś odpowiedział, że jedziemy na poszukiwanie karłów z tej okolicy.

Byłem wielce zaskoczony, ponieważ ludzie Północy nie mają w swej społeczności karłów; nigdy nie widuje się ich na ulicach, ani też żaden nie siaduje u stóp króla, nie można ich też znaleźć przy liczeniu pieniędzy albo dokonywaniu zapisków, ani przy żadnej z czynności, które przypisujemy karłom³⁶. Nigdy wcześniej żaden z tych Normanów nie wspominał mi o karłach, więc przypuszczałem, że lud tak gigantyczny³⁷ nigdy nie wydaje ich na świat.

Przybyliśmy teraz w okolicę pełną jaskiń, drażonych i smaganych wiatrem; Buliwyf zsiadł ze swego konia, a wszyscy jego wojownicy uczynili to samo i szliśmy dalej pieszo. Posłyszałem jakiś świszczący dźwięk i zaprawdę ujrzałem kłęby dymu wydobywające się z niektórych spośród wielu jaskiń. Weszliśmy do jednej z nich i tam znaleźliśmy karły.

Wyglądały one tak: miały zwykły wzrost karła, ale wyróżniały się głowami wielkich rozmiarów, a rysy ich twarzy nosiły znamiona niezmiernej starości. Były tam karły zarówno męskiej, jak i żeńskiej płci, wszystkie zaś miały wygląd wiekowych starców. Mężczyźni byli brodac i poważni; kobiety także miały trochę włosów na twarzach, toteż przypominały mężczyzn. Każdy z karłów nosił strój z futra soboli; wszyscy mieli również cienkie pasy ze skóry, ozdobione kawałkami kutego złota.

Karły przyjęły nasze przybycie uprzejmie, bez śladu najmniejszego lęku. Herger mówił, że stworzenia te mają moc magiczną i nie muszą bać się żadnego człowieka na ziemi; jednakże obawiają się koni i z tego powodu pozostawiliśmy nasze wierzchowce za sobą. Herger powiedział też, że moc karła spoczywa w jego cienkim pasie i że każdy

karzeł zrobi wszystko, aby odzyskać swój pas, jeśli go utraci.

Herger powiedział również i to, że zewnętrzne pozory poważnego wieku wśród karłów odzwierciedlają prawdę oraz że karzeł żyje dłużej niż jakikolwiek zwykły człowiek. Mówił mi też, że te karły są obdarzone męskością od swej najwcześniejszej młodości; że nawet jako niemowlęta mają one włosy na łonie i członki niezwyklej rozmiarów. Zaiste, w ten właśnie sposób rodzice dowiadują się, że ich niemowlę jest karłem i stworzeniem magicznym, które musi być odniesione na wzgórze, aby mogło tam żyć wraz z innymi ze swego rodzaju. Uczyniwszy to, rodzice składają bogom dziękczynienie i poświęcają w ofierze jakieś zwierzę lub coś innego, ponieważ zrodzenie karła uważane jest na niezwykle szczęśliwy traf.

Taka jest wiara ludzi Północy, jak twierdził Herger, ja zaś nie znam prawdy i przekazuję jedynie to, co mi opowiedziano.

Spostrzegłem teraz, że owo świstanie i para wydobywały się z wielkich kotłów, w których zanurzano ostrza wykonane z kutej stali, aby zahartować metal, karły bowiem wyrabiają broń, która jest wysoko ceniona przez Normanów. Zaiste, widziałem wojowników Buliwyfa, którzy zaglądali do tych jaskiń pożądliwie, jak kobieta w bazarowym sklepie, prowadzącym sprzedaż kosztownych jedwabi.

Buliwyf rozpytywał o coś wśród tych istot i został skierowany ku najwyższej położonej jaskini, w której siedział samotny karzeł, starszy niż wszystkie pozostałe, z brodą i włosami śnieżnobiałego koloru, o twarzy sfałdowanej i pomarszczonej. Starca tego nazywano „tengol”, co znaczy: sędzia dobrego i złego, a także wróżbiarz.

Ów tengol musiał naprawdę mieć tę moc magiczną, o której wszyscy mówili, ponieważ natychmiast powitał Buliwyfa jego imieniem i kazał mu usiąść przy sobie. Buliwyf siadł, a my skupiliśmy się, stając w niedalekiej odległości.

Buliwyf nie ofiarował tengolowi darów; Normanowie nie składają hołdów tym małym ludziom; wierzą oni, iż względy karłów muszą być udzielane według ich własnej woli, toteż błędem jest zdobywanie życzliwości karła za pomocą darów. Tak więc Buliwyf usiadł, a tengol popatrzył na niego, następnie zamknął oczy i zaczął mówić, kołysząc się na siedząco w przód i w tył. Tengol przemawiał wysokim głosem, jak dziecko, a Herger powiedział mi, że treść była taka:

— O Buliwyfie, jesteś wielkim wojownikiem, ale trafiłeś na godnego siebie przeciwnika, na potwory z mgły, zjadaczy umarłych. Będzie to walka na śmierć i życie, ty zaś będziesz musiał wyteńczyć wszystkie swoje siły i całą mądrość, aby sprostać temu wyzwaniu i zwyciężyć.

Mówił w ten sposób przez dość długi czas, kołysząc się w tył i w przód. Sens był taki, że Buliwyf stanął w obliczu trudnego przeciwnika, o czym wiedziałem już aż nadto dobrze, tak jak i sam Buliwyf. Jednakże zachowywał on cierpliwość.

Spostrzegłem też, że Buliwyf nie obrażał się, kiedy karzeł naśmiewał się z niego,

a czynił to często. Karzeł ciągnął:

— Przybyłeś do mnie, albowiem zaatakowałeś potwory na słonawych błotach wśród stawów i nie przyniosło to żadnego pożytku. Dlatego przychodzisz do mnie po radę i upomnienie, jak dziecię do swego ojca, mówiąc: „Cóż mam czynić teraz, kiedy wszystkie moje plany spełzły na niczym?”

Tengol śmiał się długo przy tej przemowie. Wreszcie jego starcze oblicze przybrało poważny wyraz.

— O Buliwyfie — powiedział — widzę przyszłość, ale nie mogę powiedzieć ci więcej, niż już wiesz. Ty i twoi dzielni wojownicy okazaliście całą swoją zręczność i uzbroiliście się w całą swą odwagę, aby zaatakować te potwory w pustyni strachu. Czyniąc tak, sam siebie oszukiwałeś, ponieważ nie była to prawdziwie bohaterska wyprawa.

Słuchałem tych słów ze zdumieniem, ponieważ wyczyn ten wydawał mi się nader heroiczny.

— Nie, nie, szlachetny Buliwyfie — mówił tengol — wyruszyłeś na fałszywą misję i w głębi swego bohaterskiego serca wiedziałeś, że było to niegodne. Również twoja bitwa przeciwko ognistemu smokowi Korgonowi była niewiele warta, a kosztowała cię życie wielu znakomitych wojowników. W co obracają się wszystkie twoje plany?

Buliwyf wciąż nie odpowiadał. Siedział koło karła i czekał.

— Wielkie wyzwanie dla bohatera — powiedział karzeł — jest w jego sercu i nie pochodzi od przeciwnika. Jakież miałoby to znaczenie, gdybyś przybył do wendoli w ich mateczniku i pozabijał wielu z nich w czasie ich snu? Możesz zabić wielu, jednakże nie zakończy to walki, tak jak obcięcie palców nie zabija człowieka. Aby zabić męża, musisz przebić jego głowę lub serce, tak też jest z wendolami. Sam o tym wszystkim wiesz i nie potrzebujesz mojej rady, aby to pojąć.

Tak oto karzeł, kiwając się w tył i w przód, chłostał Buliwyfa. I tak oto Buliwyf przyjmował jego naganę i uznał jej słuszność, ponieważ nie odpowiadał, a jedynie spuścił głowę.

— Dokonałeś czynu zwykłego człowieka — ciągnął dalej tengol — a nie prawdziwego bohatera. Bohater waży się na to, czego żaden człowiek nie ośmieli się przedsięwziąć. Aby zabić wendoli, musisz uderzyć w głowę i w serce, musisz pokonać samą ich matkę w jaskiniach gromu.

Nie rozumiałem znaczenia tych słów.

— Ty o tym wiesz, ponieważ prawda jest zawsze taka, po wszystkie wieki człowiecze. Czyż twoi odważni wojownicy mają umrzeć, jeden po drugim? Czy też uderzysz w tę matkę w jaskiniach? To nie jest prorocstwo, lecz jedynie wybór godny albo człowieka, albo bohatera.

Buliwyf dał jakąś odpowiedź, ale po cichu, toteż umknęła mi ona wśród ryku wichru, który huczał u wejścia do jaskini. Jakikolwiek były to słowa, karzeł mówił dalej:

— Oto jest odpowiedź bohatera, Buliwyfie, i nie spodziewałem się od ciebie żadnej innej. A zatem wspomogę twoje poszukiwania.

Na to pewna liczba karłów wyszła z ciemnych zakamarków na światło. Nieśli oni wiele przedmiotów.

— Oto są — mówił tengol — sznury zrobione ze skór fok, schwytanych w czasie pierwszego topnienia lodów. Liny te pomogą wam dotrzeć do nadmorskiego wejścia do jaskiń gromu.

— Dzięki ci — rzekł Buliwyf.

— Tutaj zaś — powiedział tengol — jest siedem sztyletów, kutych z pomocą pary i magii, dla ciebie i twoich wojowników. Wielkie miecze będą nieprzydatne w jaskiniach gromu. Nieście odważnie tę nową broń, a dokonacie wszystkiego, czego bardzo pragniesz.

Buliwyf wziął sztylety i dziękował karłowi, po czym wstał.

— Kiedy mamy dokonać tego dzieła? — zapytał.

— Wczoraj jest lepsze niż dziś — odpowiedział tengol — jutro zaś lepsze niż dzień, który będzie po nim. Zatem spieszcie się i wykonajcie swoje zamiary mocni duchem i silni ramieniem.

— A co nastąpi, jeśli nam się powiedzie? — spytał Buliwyf.

— Wówczas wendol zostanie śmiertelnie ranny i wijąc się w straszliwych bólach, uderzy po raz ostatni, a po tej ostatecznej agonii w całej krainie na zawsze zapanuje pokój i zaświeci słońce; a imię twoje będzie rozśławione w pieśniach we wszystkich dworach Północy, po wsze czasy.

— Tak sławi się czyny poległych mężów — rzekł Buliwyf.

— To prawda — odparł karzeł i zaśmiał się znowu, chichocząc jak dziecko albo młoda dziewczyna. — A także czyny bohaterów, którzy żyją, ale nigdy nie rozśławia się pieśnią czynów zwykłych ludzi. Wiesz o tym dobrze.

Buliwyf wyszedł z jaskini i dał każdemu z nas sztylet karłów; zesliśmy z urwistych, owianych wichrami skał i powróciliśmy do królestwa i do wielkiego dworu Rothgara, gdy zapadała noc.

Wszystkie te rzeczy wydarzyły się naprawdę i widziałem je na własne oczy.

WYDARZENIA W NOCY PRZED ATAKIEM

Mgła nie nadciągnęła tej nocy; opary schodziły ze wzgórz, ale zatrzymały się wśród drzew i nie wypełzły na równinę. W wielkim dworze Rothgara odbywała się wspaniała uczta, a Buliwyf i wszyscy jego wojownicy uczestniczyli w tej wielkiej uroczystości. Dwie ogromne rogate owce³⁸ zostały zabite i skonsumowane; każdy z mężczyzn wypijał pokaźne ilości miodu; sam Buliwyf posiadał z pół tuzina niewolnic, a może i więcej; ale mimo takiego oddawania się uciechom ani on, ani żaden z jego wojowników nie byli naprawdę weseli. Od czasu do czasu widziałem, jak spoglądali na sznury z foczych skór i karle sztylety, które wcześniej złożono w jednym miejscu.

Przyłączyłem się teraz do tej powszechnej biesiady, ponieważ czułem się jednym z nich, spędziwszy wiele czasu w ich kompanii, tak to przynajmniej wyglądało. Zaiste, tej nocy czułem, że urodziłem się Normanem.

Herger, bardzo pijany, opowiadał mi szczerze o matce wendoli. Mówił tak oto:

— Matka wendoli jest bardzo stara, a mieszka ona w jaskiniach gromu. Te jaskinie znajdują się w skale urwisk, niedaleko stąd. Jaskinie mają dwa wyloty, jeden od strony lądu, a drugi od strony morza. Ale wejście od lądu strzeżone jest przez wendoli, którzy bronią swej starej matki; jest zatem tak, że nie możemy zaatakować od strony lądu, ponieważ w ten sposób wszyscy zostalibyśmy zabici. Dlatego zaatakujemy od morza.

Spytałem go:

— Jaka jest natura owej matki wendoli?

Herger odparł, że żaden Norman tego nie wie, ale że opowiadają oni między sobą, iż jest ona stara, starsza niż starucha, którą nazywają aniołem śmierci; a także, iż ma przerażający wygląd, nosi węże na głowie jako wieniec, oraz że jest silna ponad wszelką miarę. I na koniec powiedział on, że wendole przyzywają ją, aby kierowała nimi we wszelkich sprawach ich życia³⁹. Potem Herger odwrócił się ode mnie i usnął.

Później miało miejsce takie zdarzenie: w środku nocy, kiedy uroczystości miały się ku końcowi, a wojownicy szykowali się do snu, Buliwyf odnalazł mnie. Usiadł obok i popijał miód z rogowego kielicha. Widziałem, że nie był pijany i mówił powoli w języku Północy, tak abym mógł go zrozumieć.

— Czy pojąłeś słowa karła tengola? — zaczął.

Odrzekłem, że tak, dzięki pomocy Hergera, który teraz pochrapywał obok nas.

— A zatem wiesz, że umrę — powiedział Buliwyf.

Mówiąc to, oczy miał rozjaśnione, a spojrzenie przenikliwe. Nie potrafiłem znaleźć żadnej odpowiedzi ani słów, których mógłbym użyć, ale w końcu odezwałem się do niego tak jak człowiek Północy.

— Nie wierz w prorocstwo, dopóki nie przyniesie owocu⁴⁰.

Na to Buliwyf rzekł:

— Widziałeś wiele spośród naszych spraw. Powiedz mi, co jest prawdą. Czy rysujesz dźwięki?

Odparłem, że tak.

— A zatem dbaj o swoje bezpieczeństwo i nie bądź zanadto odważny. Ubierasz się i mówisz teraz tak jak Norman, a nie jak człowiek obcy. Bacz, abyś przeżył.

Położyłem dłoń na jego ramieniu, gdyż widziałem wcześniej, że jego współwojownicy czynili tak, aby go pozdrowić. Uśmiechnął się na to.

— Nie boję się niczego rzekł — i nie potrzebuję pociechy. Powiadam ci, abyś zważał na swoje bezpieczeństwo dla twego własnego dobra. A teraz najmądrzej jest zasnąć.

Powiedziawszy to, odwrócił się ode mnie i skierował swą uwagę ku młodej niewolnicy, z którą dogadzał sobie niespełna dwanaście kroków od miejsca, gdzie siedziałem. Odwróciłem się, słysząc jęki i śmiech tej kobiety, aż wreszcie zapadłem w sen.

JASKINIE GROMU

Nim pierwsze różowe smugi brzasku oświetliły niebo, Buliwyf, jego wojownicy i ja wraz z nimi wyruszyliśmy z królestwa Rothgara i jechaliśmy wzdłuż krawędzi urwiska ponad morzem. Tego dnia nie czułem się dobrze, gdyż bolała mnie głowa; również mój żołądek był rozstrojony po uroczystościach minionej nocy. Z pewnością wszyscy wojownicy Buliwyfa byli w podobnym stanie, nikt jednak nie okazywał tych dolegliwości. Jechaliśmy żwawo, podążając skrajem skalistych urwisk, które na całym tym wybrzeżu są wysokie, posępne i strome; płytami szarego kamienia opadają w dół ku spienionemu i wzburzonemu morzu. W niektórych miejscach wzdłuż linii brzegowej znajdują się kamieniste plaże, ale często ziemia i morze stykają się bezpośrednio, a fale uderzają o skały jak pioruny; przeważnie jechaliśmy wzdłuż takiego właśnie brzegu.

Spostrzegłem Hergera, który wiózł na swym koniu sznury z foczych skór otrzymane od karłów, i podjechałem do przodu, zrównując się z nim. Spytałem, jaki był nasz cel tego dnia. Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło, tak bardzo bolała mnie głowa i palił żołądek.

Herger powiedział mi:

— Dziś rano zaatakujemy matkę wendoli w jaskiniach gromu. Dokonamy tego, atakując z morza, tak jak ci wczoraj mówiłem.

Jadąc na swym koniu, patrzyłem w dół na morze, które rozbijało swe fale o skaliste urwiska.

— Czy zaatakujemy ze statku? — spytałem Hergera.

— Nie — odparł i poklepał dłonią sznury z foczej skóry.

Wówczas zrozumiałem, że ma na myśli to, iż będziemy spuszczać się w dół urwisk po linach i dzięki temu w jakiś sposób wdrzemy się do tych jaskiń. Byłem wręcz przerażony tą perspektywą, gdyż nigdy nie lubiłem przebywać na wysokości; unikałem nawet wysokich budowli w Mieście Pokoju. Powiedziałem mu o tym.

— Bądź wdzięczny, ponieważ masz szczęście — odrzekł Herger.

Zapytałem, na czym to szczęście miałoby polegać.

Herger rzekł w odpowiedzi:

— Jeśli odczuwasz lęk przed miejscami na wysokościach, dzisiaj go pokonasz; a także zmierzysz się z wielkim wyzwaniem; toteż zostaniesz uznany za bohatera.

— Nie chcę być bohaterem — powiedziałem.

Na to on roześmiał się i odparł, iż głoszę takie opinie jedynie dlatego, że jestem Arabem, po czym dodał, że mam sztywną głowę, przez co Normanowie rozumieją następstwa pijaństwa. Była to prawda, jak już wcześniej powiedziałem.

Prawdą jest też, że byłem wielce zasmucony perspektywą spuszczenia się w dół ze skalnego urwiska. Zaprawdę, odczuwałem to w ten sposób, że wolałbym zrobić każdą inną rzecz pod słońcem, choćby obcować z kobietą mającą miesięczne krwawienie albo pić ze złotego kielicha, zjeść ekskrementy świni, wyłupić sobie oczy, a nawet umrzeć — każdą z tych rzeczy lub wszystkie naraz wolałbym, zamiast opuszczać się w dół tego zakrzywionego skalnego urwiska. Byłem zatem w fatalnym nastroju. Powiedziałem Hergerowi:

— Ty i Buliwyf oraz cała wasza kompania możecie być bohaterami, jeśli to odpowiada waszemu usposobieniu, ale ja nie biorę udziału w tej całej sprawie i nie będę uważać się za jednego z was.

Na te słowa Herger roześmiał się. Później przywołał Buliwyfa i mówił coś szybko do niego; Buliwyf odpowiedział mu coś przez ramię. Wówczas Herger zwrócił się do mnie:

— Buliwyf powiada, że będziesz robił to, co my.

Zaprawdę, teraz pogrążyłem się w rozpacz i rzekłem do Hergera:

— Ja nie mogę zrobić takiej rzeczy. Jeśli mnie do tego zmusicie, z pewnością umrę.

— W jaki sposób umrzesz? — zapytał Herger.

— Sznurowym się z uchwytu mych dłoni — odparłem.

Odpowiedź ta znów pobudziła Hergera do gromkiego śmiechu; powtórzył on moje słowa wszystkim Normanom, i wszyscy oni śmieli się z tego, co powiedziałem. Później Buliwyf rzekł kilka słów.

Herger wyjaśnił mi:

— Buliwyf powiada, że lina wymknie ci się z rąk jedynie wtedy, gdy zwolnisz uścisk dłoni, a tylko głupiec zrobiłby taką rzecz. Buliwyf mówi, że wprawdzie jesteś Arabem, ale nie głupcem.

Otóż ujawniła się tutaj pewna prawda o naturze ludzkiej: w ten oto sposób Buliwyf stwierdził, że potrafię spuścić się po sznurach; dzięki jego słowom uwierzyłem w to tak samo jak on, co podniosło mnie trochę na duchu. Herger spostrzegł to i odezwał się w te słowa:

— Każdy człowiek nosi w sobie pewien strach, jemu właściwy. Jeden boi się zamkniętych i małych pomieszczeń, a inny lęka się utonięcia; każdy z nich śmieje się z drugiego i nazywa go głupcem. Zatem strach jest jedynie pewnym wyborem i należy

uznać go za to samo, co upodobanie do takiej czy innej kobiety albo przedkładanie baraniny nad wieprzowinę czy kapusty nad cebulę. My mawiamy, że strach to strach.

Nie byłem w nastroju do słuchania tych jego filozoficznych wywodów i okazałem mu to, ponieważ, prawdę mówiąc, narastała we mnie raczej złość niż strach. Na to Herger roześmiał mi się w twarz i wypowiedział te słowa:

— Dzięki niech będą Allahowi, albowiem wyznaczył on miejsce śmierci na końcu życia, nie zaś u jego początku.

Odpowiedziałem szorstko, że nie widzę żadnej korzyści w przyspieszaniu tego końca.

— Zaiste, nikt nie widzi w tym korzyści — odrzekł Herger, a później dodał: — Spójrz na Buliwyfa. Popatrz, jak prosto siedzi. Patrz, jak podąża naprzód, chociaż wie, że wkrótce umrze.

— Ja nie wiem, że on umrze — odparłem.

— Tak — rzekł Herger — ale Buliwyf wie.

Potem Herger nic już do mnie nie mówił i jechaliśmy naprzód przez dość długi czas, aż słońce weszło wysoko i świeciło jasno na niebie. Wreszcie Buliwyf dał sygnał do zatrzymania się; wszyscy jeźdźcy zsiadli z koni i przygotowywali się do zejścia do jaskiń gromu.

Cóż, dobrze wiedziałem, iż Normanowie ci są odważni aż do przesady, jednakże kiedy spojrzałem w przepaść skalnego urwiska pod nami, serce podeszło mi do gardła i pomyślałem, że za chwilę zwymiotuję. Zaprawdę, to urwisko było całkowicie pionowe, gładkie, pozbawione najmniejszego uchwytu dla ręki lub stopy, a opadało w dół na odległość chyba czterystu kroków. Zaprawdę, huczące bałwany były tak daleko pod nami, że wyglądały jak miniaturowe fale, malusieńkie niby najsubtelniejszy rysunek artysty. Wiedziałem jednak, że są one wielkie jak wszystkie inne fale na ziemi, kiedy tylko człowiek znajduje się na tym samym poziomie, nisko na dole.

Dla mnie opuszczanie się w dół z tych skalnych urwisk było szaleństwem ponad szaleństwo wściekłego psa toczącego pianę, ale Normanowie zachowywali się zwyczajnie. Buliwyf kierował wbijaniem w ziemię mocnych drewnianych pali; wokół nich zawiązano sznury z foczej skóry, których wolne końce zrzucano na boczną ścianę urwiska.

Zaprawdę, liny te nie były dostatecznie długie na tak dalekie zejście, więc trzeba je było wciągnąć z powrotem i związać dwa sznury razem, tak by utworzyć jedną linę o długości pozwalającej dotrzeć do poziomu fal.

We właściwym czasie mieliśmy dwie takie liny, które sięgnęły podnóża frontowej ściany skalistego urwiska. Wówczas Buliwyf powiedział do swojej gromadki:

— Ja pójdę pierwszy, a kiedy dotrę do podnóża, wszyscy będziecie wiedzieli, że te liny są mocne i można pokonać tę drogę. Zaczekam na was na tym wąskim występie

skalnym, który widzicie w dole.

Spojrzałem na ów wąski występ. Nazwać go wąskim to jakby nazwać wielbłąda miłym. W rzeczywistości, był to wążiuteński, obnażony skrawek płaskiego kamienia, wciąż obmywany uderzeniami przybrzeżnych fal.

— Kiedy wszyscy dotrzemy do podnóża — rzekł Buliwyf — będziemy mogli zaatakować matkę wendoli w jaskiniach gromu.

Powiedział to tonem tak zwyczajnym, jak gdyby wydawał polecenia niewolnikowi w sprawie przygotowania jakiejś codziennej potrawy albo wypełnienia jakiejś innej domowej posługi. I, nie mówiąc nic więcej, podszedł do ściany urwiska.

Oto jaki był sposób jego zejścia, co uznałem za godne uwagi, ale Normanowie nie uważają tego za rzecz nadzwyczajną. Herger powiedział mi, że stosują oni tę metodę do wybierania jaj ptasich w określonych porach roku, kiedy ptaki nadmorskie budują swoje gniazda na ścianie skalistego urwiska. Robi się to w sposób następujący: schodzącego mężczyznę obwiązuje się w pasie rzemienią pętlą, a wszyscy jego towarzysze wyteżają mocno swe siły, aby opuścić go w dół urwiska. Jednocześnie mężczyzna ów chwytą, dla podtrzymania ciężaru, za drugi sznur, który zwisa wzdłuż ściany. Dodatkowo ów schodzący człowiek zabiera mocny kij z dębowego drewna, którego jeden koniec zaopatrzony jest w skórzany pasek czy rzemień umocowany wokół pasa; kija tego używa on do odpychania się w pewnych miejscach, kiedy przesuwa się w dół skalistej powierzchni⁴¹.

Kiedy Buliwyf schodził w dół, stając się w moich oczach coraz mniejszy, widziałem, że bardzo zwinnie manewrował pętlą, liną i kijem, ale nie łudziłem się myślą, iż jest to prosta sprawa, ponieważ rozumiałem, że było to trudne i wymagało wprawy.

Wreszcie bezpiecznie dotarł do podnóża i stanął na wąskiej krawędzi, a przybrzeżne fale rozbijały się o niego. Doprawdy, był on tak maleńki, że z ledwością zdołaliśmy dostrzec, jak macha ręką, dając znak, że jest bezpieczny. Później wciągnięto linę do góry, a wraz z nią również ten dębowy kij. Herger zwrócił się do mnie, mówiąc:

— Ty pójdziesz jako następny.

Odpowiedziałem, że czuję się kiepsko. Tłumaczyłem też, że chciałbym zobaczyć, jak schodzi kolejny mężczyzna, aby lepiej poznać sposób opuszczania.

Herger rzekł:

— Jest ono trudniejsze z każdym schodzącym, ponieważ tutaj na górze zostaje mniej ludzi do spuszczenia człowieka w dół. Ostatni musi schodzić w ogóle bez pętli i będzie to Echgow, ponieważ jego ramiona są z żelaza. Jest znakiem naszej przychylności, że pozwalamy ci być drugim schodzącym. Idź już.

Poznałem po jego oczach, że nie ma nadziei na zwłokę, i tak oto zostałem obwiązany pętlą; ująłem ów mocny kij w dłonie, które były śliskie od potu; całe moje ciało było również wilgotne; drżałem na wietrze, wchodząc na boczną ścianę tego skalnego

urwiska, i po raz ostatni spojrzawszy na pięciu Normanów, wyęzających swe siły przy linie, nagle straciłem ich z oczu. Dokonywałem swego zejścia.

Obmyśliłem wcześniej, że odmówię wiele modlitw do Allaha, a także że będę obserwował okiem swojego umysłu i zapisywał w pamięci mej duszy liczne doświadczenia, przez jakie człowiek musi przejść, gdy dyndając na sznurach, zwisa z takiego szarpanego wiatrem skalistego urwiska.

Kiedy tylko znalazłem się poza polem widzenia moich normańskich przyjaciół, zapomniałem o wszystkich swych zamierzeniach i szeptałem: „Chwała niech będzie Allahowi” i powtarzając to raz po raz, jak osoba pozbawiona rozumu albo jak ktoś tak stary, że jego mózg przestał normalnie pracować, lub jak dziecko czy głupiec.

Prawdę mówiąc, bardzo mało pamiętam z tego wszystkiego, co się działo. Jedyne to, że wiatr miota człowiekiem tam i z powrotem w poprzek skały z taką prędkością, że oko nie może skupić się na jej powierzchni, która jest szarą plamą, i że wiele razy uderzałem o skałę, dręcząc swoje kości i rozdzierając swą skórę; raz zaś trzasnąłem głową i zobaczyłem błyszczące białe plamki, jak gwiazdy przed oczami; pomyślałem, że zemdleję, ale nie straciłem przytomności. Po pewnym czasie, który, prawdę mówiąc, wydawał się obejmować długość całego mojego życia, i jeszcze więcej, dotarłem do podnóża, a Buliwyf klepnął mnie po ramieniu i powiedział, że dobrze się spisałem.

Następnie podniesiono pętlę do góry, a fale rozbijały się o mnie i o stojącego obok Buliwyfa. Walczyłem teraz, by utrzymać równowagę na tej śliskiej krawędzi, co tak bardzo pochłaniało moją uwagę, że nie patrzyłem na pozostałych, którzy opuszczali się w dół urwiska. Moim jedynym pragnieniem było to: utrzymać się i nie zostać zmiecionym do morza. Zaprawdę, widziałem na własne oczy, że te fale były wyższe niż trzech ludzi stojących jeden na drugim, a kiedy każda z owych fal uderzała, traciłem na moment zmysły w odmęcie lodowatej wody i wirującej siły. Wiele razy byłem zbijany z nóg przez te fale; całe ciało miałem przemoczone i dygotałem tak bardzo, że zęby mi dzwoniły jak galopujący koń. Nie mogłem wyrzec słowa przez nieustanne klekotanie zębów.

Wreszcie wszyscy wojownicy Buliwyfa dokonali zejścia i wszyscy byli bezpieczni. Ecthgow, jako ostatni schodzący, opuszczał się z użyciem zwierzęcej siły swych ramion, a kiedy w końcu stanął, jego nogi trzęsły się niepoohamowanie, wyglądał jak człowiek w drgawkach agonii; czekaliśmy przez kilka chwil, zanim doszedł do siebie.

Potem Buliwyf powiedział:

— Musimy wejść do wody i dopłynąć do jaskini. Ja będę pierwszy. Trzymajcie swe sptylety w zębach, tak aby mieć wolne ręce do walki z prądami.

Słowa te, mówiące o nowym opętańczym przedsięwzięciu, spadły na mnie w chwili, kiedy nie byłem w stanie znieść nic więcej. W moich oczach ten plan Buliwyfa był szaleństwem nad szaleństwami. Widziałem fale, które przewalały się z hukiem,

rozbryzgując się o wyszczerbione skały. Widziałem, jak fale te cofały się z siłą olbrzymia, w zaciekłym zmaganiu, tylko po to, by odzyskać swą moc i uderzyć znowu. Zaprawdę, patrzyłem i nie wierzyłem, że jakikolwiek człowiek mógłby płynąć w tej wodzie, zostałyby bowiem w jednej chwili strzaskany na kościste drzazgi.

Nie zaprotestowałem jednak, ponieważ nie byłem już zdolny do jakiegokolwiek rozumowania. W moim pojęciu byłem już tak bliski śmierci, że nie miało znaczenia, czy zbliżę się do niej jeszcze bardziej. Wziąłem przeto swój sztylet i zatknąłem go za pasem, gdyż moje zęby szczękały tak bardzo, że nie byłbym w stanie utrzymać go w ustach. Co zaś do pozostałych Normanów, w żaden sposób nie okazywali oni, że są zmęczeni czy przemarznięci, lecz zamiast tego witali każdą falę jak nowy bodziec dodający animuszu; uśmiechali się też w pełnym radości oczekiwaniu na zbliżającą się bitwę, za co ich nienawidziłem.

Buliwyf obserwował ruch fal, wybierając właściwy moment, po czym skoczył w odmęty. Wahałem się, aż ktoś — sędzę, że był to Herger — pchnął mnie. Wpadłem głęboko w wirującą otchłań paralizującego zimna; zaprawdę, obracałem się to głową, to stopami w dół, a także wokół własnej osi; nie widziałem niczego poza zielenią wody. Nagle spostrzegłem Buliwyfa, który odbił się od dna morza; podążyłem za nim, on zaś wpłynął w pewnego rodzaju przesmyk wśród skał. Naśladowałem go we wszystkim, co robił. Odkonczyło się to w sposób następujący:

W pewnej chwili fala przybrzeżna porywała go, usiłując odrzucić na pełne morze, i mnie również. W takich momentach Buliwyf chwycił się dłońmi skały, aby utrzymać się wbrew temu prądowi; ja również tak czyniłem. Z całej siły trzymałem się skał, aż rozsadzało mi płuca. Potem, w mgnieniu oka, fala biegła w przeciwną stronę i miotała mną ze straszliwą siłą w przód, uderzając moim ciałem o skały i przeszkody. A później znowu bieg fali zmieniał się, cofała się ona, tak jak przedtem, a ja musiałem, naśladowując Buliwyfa, przywierać do skał. Otóż prawdą jest, że moje płuca płonęły jak w ogniu i w głębi serca wiedziałem, że nie zdołam dłużej utrzymać się w tym lodowatym morzu. Wówczas fala przyływu zbiła mnie z nóg i poleciałem na oślep głową naprzód, miotany tu i tam, aż nagle znalazłem się na powierzchni, chwytając oddech.

Zaprawdę, odbyło się to z taką prędkością, że byłem zbyt zaskoczony, aby pomyśleć o uczuciu ulgi, co byłoby odpowiednim stanem duszy; nie pomyślałem też o podziękowaniu Allahowi za szczęście przeżycia. Łapczywie wciągałem powietrze, a wszędzie wokół mnie wojownicy Buliwyfa wychylali głowy ponad powierzchnię i również chwytały powietrze.

Oto co ujrzałem: znaleźliśmy się w czymś w rodzaju stawu czy jeziora wewnątrz jaskini o gładkim kamiennym sklepieniu i z wejściem od strony morza, przez które właśnie przeszliśmy. Dalej, na wprost nas, znajdowała się kamienna płaszczyna. Zobaczyłem trzy lub cztery ciemne kształty przycupnięte wokół ogniska; stworzenia

te zawodziły wysokimi głosami. Teraz też zrozumiałem, dlaczego nazywano to miejsce jaskinią gromu, albowiem z każdym uderzeniem przybrzeżnej fali dźwięk w jaskini odbijał się z taką siłą, że bolały uszy i wydawało się, że nawet powietrze drży i napiera.

W miejscu tym, w tej jaskini, Buliwyf i jego wojownicy przypuścili atak, a ja walczyłem wraz z nimi, i używając naszych krótkich sztyletów, zabiliśmy cztery demony. Po raz pierwszy widziałem je wyraźnie w migotliwym świetle ognia, którego płomienie skakały jak oszalałe z każdym uderzeniem grzmiącej fali. Wygląd zaś owe demony miały taki: pod każdym względem przypominały ludzi, jednakże wyglądały tak jak żaden człowiek na ziemi. Były to niskie stworzenia, szerokie i krępe, owłosione na całym ciele z wyjątkiem wnętrza dłoni, podeszew stóp oraz twarzy. Twarze miały duże, o ustach i szczękach wielkich i wydatnych i brzydkie z wyglądu; także ich głowy były większe niż głowy normalnych ludzi. Oczy ich były głęboko osadzone w głowie; brwi ogromne, lecz nie ze względu na obfitość owłosienia, ale z powodu wystających kości; również ich zęby były olbrzymie i ostre, chociaż prawdą jest, że wielu miało zęby wpadnięte i spłaszczone.

Pod względem innych cech ich kształtów cielesnych, takich jak organa płciowe i różne otwory, byli oni także tacy jak ludzie⁴². Jedno z tych stworzeń, umierające zbyt wolno, wyartykułowało swym językiem kilka dźwięków, które dla mego ucha miały właściwości mowy; ale nie wiem, czy tak właśnie było, i znowu mówię o tym bez przekonania.

Buliwyf dokonywał właśnie oględzin tych czterech zabitych stworzeń, o gęstym, skudłaconym futrze, gdy nagle usłyszeliśmy przerażające, odbijane echem zawroźnienie, dźwięk wznoszący się i opadający podczas grzmiących uderzeń fali przypływu, a odgłos ten dobiegał z odległych zakątków jaskini. Buliwyf powiódł nas w głąb.

Natrafiliśmy tam na trzy spośród tych stworzeń, leżące plackiem na ziemi, z twarzami przyciśniętymi do podłoża i rękami wzniesionymi w błagalnym geście w stronę starej istoty przyczajonej w półmroku. Ci błagający zawroźnili monotennie i nie spostrzegli naszego przybycia, ale owa istota dojrzała nas i wrzasnęła odrażającym głosem. Pojąłem, że stworzenie to jest matką wendoli, ale nie dojrzałem żadnej oznaki świadczącej, że było ono samicą, gdyż było stare aż do zaniku płci.

Buliwyf w pojedynkę runął na błagających i pozabijał ich wszystkich, podczas kiedy ta matka-stworzenie wycofywała się ku ciemnościom, wydając straszliwe wrzaski. Nie mogłem jej dobrze zobaczyć, ale prawdą jest, że była otoczona węzami, które owijały się wokół jej stóp, rąk i szyi. Węże te syczały i cięły powietrze swymi języczkami, a ponieważ były wszędzie wokół niej, na jej ciele, a także na ziemi, żaden z wojowników Buliwyfa nie ośmielił się podejść.

Wówczas Buliwyf, nie zważając na węże, zaatakował ją, ona zaś wydała przeraźliwy krzyk, kiedy wbił swój sztylet głęboko w jej pierś. Wiele razy uderzał matkę wendoli

sztyletem. Ani razu kobieta ta nie runęła, ale wciąż stała, chociaż krew lała się z niej jak z fontanny, i to z wielu ran, które zadał jej Buliwyf. Przez cały ten czas wrzeszczała, wydając najstraszliwsze dźwięki.

Wreszcie runęła i legła martwa, Buliwyf zaś odwrócił się ku swym wojownikom. Teraz ujrzeliśmy, że ta kobieta, matka zjadaczy umarłych, zraniła go. Srebrna szpilka, taka jak szpilka do włosów, tkwiła wbita w jego brzuch; dygotała ona wraz z każdym uderzeniem serca. Buliwyf wyszarpnął ją i krew chlusnęła strumieniem. On jednak nie osunął się na kolana, śmiertelnie ranny, ale utrzymał się na nogach i wydał rozkaz opuszczenia jaskini.

Uczyniliśmy to, wychodząc drugim wejściem, od strony łądu; wejście to było uprzednio strzeżone, ale wszyscy wendole, stojący na straży, umknęli, słysząc wrzaski swojej umierającej matki. Wychodziliśmy, niczym nie niepokojeni. Buliwyf wywiódł nas z jaskiń i doprowadził z powrotem do naszych koni, a później zwałił się na ziemię.

Ecthgow, z wyrazem smutku, tak rzadkiego wśród Normanów, kierował przygotowaniem noszy⁴³, na których nieśliśmy Buliwyfa przez pola, wracając do królestwa Rothgara. A przez cały ten czas Buliwyf nie tracił otuchy i był wesoły; wielu z rzeczy, które mówił, nie zapamiętałem, ale raz słyszałem, jak rzekł:

— Rothgar nie będzie uszczęśliwiony, kiedy nas zobaczy, gdyż będzie musiał wydać jeszcze jedną uczkę, a i tak jest już najbardziej zrujnowanym gospodarzem.

Wojownicy śmieli się z tego i z innych słów Buliwyfa. Widziałem, że ich śmiech był szczery.

Wreszcie przybyliśmy do królestwa Rothgara, gdzie zostaliśmy powitani pochwalnymi okrzykami i radością, a nie smutkiem, chociaż Buliwyf był okrutnie ranny i skóra jego poszarzała, a ciałem wstrząsały dreszcze, oczy zaś rozświetlał blask chorej i trawionej gorączką duszy. Znaki te rozpoznawałem aż nadto dobrze, tak jak rozumieli je też ludzie Północy.

Przyniesiono mu miseczkę cebulowego bulionu, lecz on nie przyjął jej, mówiąc:

— Mam chorobę zupy; nie kłopotcie się z mojego powodu.

Potem upomniał się o uroczystości i nie zrezygnował z przewodniczenia im. Siedząc podparty na kamiennej ławie u boku króla Rothgara, pił miód i weselił się. Byłem blisko niego, kiedy powiedział do króla Rothgara w trakcie biesiady:

— Nie mam niewolników.

— Wszyscy moi niewolnicy są twoimi niewolnikami — odparł Rothgar.

Wtedy Buliwyf rzekł:

— Nie mam koni.

— Wszystkie moje konie są twoimi końmi — odpowiedział Rothgar. — Nie myśl więcej o tych sprawach.

Buliwyf, z obwiązanymi ranami, czuł się szczęśliwy i uśmiechał się, a kolory powróciły

tego wieczora na jego policzki i, doprawdy, wydawało się, że staje się silniejszy z każdą mijającą minutą tej nocy. I mimo że nigdy nie pomyślałbym nawet, iż jest to możliwe, posiadał młodą niewolnicę, po czym odezwał się do mnie, żartując:

— Z martwego człowieka nikt nie ma pożytku.

Później zaś Buliwyf pogrążył się we śnie, a jego kolory stawały się coraz bledsze i oddech coraz płytszy; bałem się, że nigdy nie obudzi się z tego snu. On chyba również tak myślał, ponieważ śpiąc trzymał swój miecz, mocno ściskając go w dłoni.

AGONIA WENDOLI

Tak więc i ja również zapadłem w sen. Herger obudził mnie tymi słowy:

— Masz szybko przyjść.

Teraz usłyszałem dźwięk odległego gromu. Spojrzałem na okno z pęcherza⁴⁴; jeszcze nie świtało, jednakże chwyciłem swój miecz; zaprawdę, zasnąłem w mojej zbroi, nie zadbawszy o to, by ją zdjąć. Zatem pośpiesznie wyszedłem na zewnątrz. Było to na godzinę przed świtem, a powietrze było mgliste i gęste, wypełnione grzmiącym hukami odległego stukotu kopyt.

Herger rzekł do mnie:

— Wendole nadchodzą. Wiedzą o śmiertelnych ranach Buliwyfa i pałają żądzą ostatniej zemsty za zabicie ich matki.

Każdy z wojowników Buliwyfa, i ja również, zajął miejsce wzdłuż obwodu fortyfikacji, które uszykowaliśmy przeciwko wendolom. Te umocnienia obronne były nędzne, jednakże nie mieliśmy innych. Wpatrywaliśmy się w mgłę, aby ujrzeć przez mgnienie jeźdźców galopujących na nas z góry. Spodziewałem się straszego lęku, ale go nie odczuwałem, ponieważ poznałem już wygląd wendoli i wiedziałem, że są stworzeniami, jeżeli nie ludźmi, a zatem są dość podobni do ludzi, tak jak i małpy są również do ludzi podobne; ale wiedziałem, że są oni śmiertelni i że mogą umrzeć.

Nie odczuwałem zatem strachu, może tylko w czasie oczekiwania na tę ostatnią bitwę. W ten sposób byłem osamotniony, ponieważ dostrzegłem, że wojownicy Buliwyfa przejawiali wielki lęk, i to wbrew wszelkim wysiłkom, by go ukryć. Zaprawdę, tak jak my zabiliśmy matkę wendoli, która była ich przywódczynią, tak też sami utraciliśmy Buliwyfa, naszego przywódcę; nie było więc wesołości, kiedy czekaliśmy, słuchając, jak grom się przybliża.

Aż nagle usłyszałem jakąś wrzawę za sobą, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem, co następuje: Buliwyf, blady jak sama mgła, odziany w biel, z przewiazanymi ranami, stał wyprostowany na ziemi króla Rothgara, a na jego ramionach siedziały dwa czarne kruki, jeden po każdej stronie; na ten widok Normanowie, wydając bojowe okrzyki, wzniesli swoją broń wysoko w powietrze⁴⁵.

Otóż Buliwyf teraz nie odzywał się ani nie patrzył w żadną stronę, ani nie dawał znaku, że poznaje jakiegokolwiek człowieka, ale szedł naprzód miarowym krokiem poza linię fortyfikacji i tam oczekiwał zacieklego ataku wendoli. Kruki odleciały, on zaś pochwycił swój miecz Runding i przyjął ten atak.

Żadne słowa nie zdołają opisać ostatniego ataku wendoli w bladej poświacie mgły. Żadne słowa nie wyrażą tej krwi, jaka została przelana, tych krzyków, wypełniających gęste powietrze, tych koni i jeźdźców, umierających w odrażającej agonii. Na własne oczy widziałem Ecthgową o ramionach ze stali: zaprawdę, jego głowa została ścięta mieczem wendola i odskoczyła od ziemi jak kamyk, język zaś wciąż drgał w ustach tej głowy. Widziałem także, jak włócznia przebiła pierś Weatha; w ten sposób został on przygwożdżony do ziemi, na której wił się jak ryba wyciągnięta z morza. Widziałem małą dziewczynkę stratowaną końskimi kopytami, jej ciało zmiażdżone jak placek i krew wypływająca z jej ucha. Widziałem też kobietę, niewolnicę króla Rothgara; ciało jej zostało przecięte na dwoje, kiedy uciekała przed ścigającym ją jeźdźcem. Widziałem wiele dzieci zabitych w podobny sposób. Widziałem konie stojące dęba i wierzgające zadami, i wysadzonych z siodła jeźdźców, spadających wprost do stóp starych mężczyzn i kobiet, którzy dobijali te stworzenia, kiedy leżały ogłuszone na plecach. Widziałem także, jak Wiglif, syn Rothgara, uciekł z pola walki i skrył się tchórzliwie w bezpiecznym miejscu. Herolda tego dnia nie widziałem.

Ja sam zabiłem trzech wendoli i otrzymałem cios włócznią w ramię; ból był taki, jak gdybym zanurzył je w ogień; krew wrzała na całej długości ręki, a także w piersiach; myślałem, że runę, jednak walczyłem nadal.

Natenczas słońce przedarło się przez mgłę, świt zajaśniał nad nami, mgła wymknęła się chyłkiem i jeźdźcy zniknęli. W pełnym świetle dnia zobaczyłem leżące wszędzie ciała, wśród nich wiele ciał wendoli, albowiem nie zebrali oni swoich zmarłych. Był to prawdziwie znak ich końca, gdyż zapanował wśród nich zamęt i nie byli w stanie ponownie zaatakować Rothgara, a wszyscy ludzie z jego królestwa pojęli sens tego znaku i weselili się.

Herger przemywał moją ranę i był uniesiony radością, dopóki nie przyniesiono ciała Buliwyfa do wielkiego dworu Rothgara. Buliwyf poległ; ponownie zadano mu śmiertelne ciosy: ciało jego było posiekane ostrzami chyba z tuzina wrogów; jego oblicze i postać przesiąknięte były jego własną, jeszcze ciepłą krwią. Na ten widok Herger wybuchnął płaczem. Krył swą twarz przede mną, ale nie było potrzeby, ponieważ ja także poczułem łzy, które zasnuły mgłą moje spojrzenie.

Buliwyfa położono przed królem Rothgarem, którego powinnością było wygłoszenie mowy, ale starzec nie był w stanie dokonać takiej rzeczy. Powiedział tylko to:

— Oto wojownik i bohater równy bogom. Pochowajcie go jak wielkiego króla.

Później zaś wyszedł z dworu. Sądzę, iż czuł się zawstydzony, ponieważ sam nie

uczestniczył w bitwie. Także jego syn Wiglif uciekł jak tchórz, i wielu to widziało, nazywając to postępkami godnymi kobiety. To również mogło zmieszać ojca. Mógł też być inny jeszcze powód, którego nie znam. Prawdę mówiąc, był to bardzo stary człowiek.

Otóż zdarzyło się, że Wiglif cicho powiedział do herolda:

— Ten Buliwyf oddał nam wielką przysługę, tym większą, że zakończoną jego śmiercią.

Powiedział to, kiedy jego ojciec, król, opuścił już dwór.

Herger usłyszał te słowa, ja dosłyszałem je również i byłem pierwszym, który wyciągnął miecz. Herger rzekł do mnie:

— Nie walcz z tym człowiekiem, gdyż jest to lis, ty zaś odniosłeś rany.

— Któż by na to zważał? — odpowiedziałem.

I wyzwałem tego syna, Wiglifa, do stoczenia natychmiastowej walki. Wiglif wyjął swój miecz. Wówczas Herger wymierzył mi potężne kopnięcie, czy też zadał jakiś cios od tyłu, a ponieważ nie byłem na to przygotowany, runąłem jak długi; wtedy Herger rozpoczął walkę z tym synem, Wiglifem. Herold także chwycił za broń i posuwał się chytrze, pragnąc ustawić się z tyłu Hergera i zabić go. Tego herolda ja sam zabiłem, wbijając miecz głęboko w jego brzuch, a herold ryknął głośno w chwili, w której został przebity. Ów syn Wiglif usłyszał to i mimo że przedtem walczył nieustraszenie, teraz okazywał wielki lęk w swych zmaganiach z Hergerem.

Wówczas zdarzyło się tak, że król Rothgar usłyszał szczęk broni; przybył raz jeszcze do wielkiego dworu i błagał o położenie kresu tej walce. Tutaj jednak jego wysiłki spełzły na niczym. Herger był niezachwiany w swoim zamiarze. Zaprawdę, widziałem, jak stojąc okrakiem nad ciałem Buliwyfa, wymachiwał swym mieczem wymierzonym w Wiglifa i zabił go. Wiglif opadł na stół Rothgara, pochwycił kielich króla i podnosił go ku ustom. Ale prawdą jest, iż umarł, nim się z niego napił. Tak oto zakończyła się ta sprawa.

Teraz z drużyny Buliwyfa, liczącej niegdyś trzynastu, pozostało jedynie czterech. Ja wśród nich. Ułożyliśmy Buliwyfa pod drewnianym dachem i pozostawiliśmy tam jego ciało z kielichem miodu w dłoniach. Później Herger zwrócił się do zgromadzonych ludzi:

— Kto umrze z tym szlachetnym mężem?

I pewna kobieta, niewolnica króla Rothgara, rzekła, iż ona umrze z Buliwyfem. Później poczyniono zwykle przygotowania, zgodnie z obyczajem Normanów.

Mimo że ibn-Fadlan nie mówi wyraźnie o upływie jakiegoś określonego czasu, prawdopodobnie minęło kilka dni, zanim rozpoczęła się uroczystość pogrzebowa.

Na brzegu, poniżej dworu Rothgara, ustawiono statek i złożono na nim skarby ze złota i srebra, a także dwa porąbane konie. Rozbito namiot, wewnątrz którego złożono ciało Buliwyfa, już całkiem sztywne. Miało ono czarny kolor śmierci w tym zimnym klimacie. Następnie tę młodą niewolnicę przyprowadzano do każdego z wojowników Buliwyfa, do mnie także, i obcowałem z nią cielesnie, ona zaś powiedziała do mnie:

— Mój pan składa ci podziękowanie.

Jej oblicze i sposób zachowania się przepełniała największa radość, której przejawy były znacznie żywsze niż powszechne wśród tych ludzi objawy dobrego nastroju. Podczas gdy ponownie zakładała swe stroje, a miały one wiele wspaniałych ozdób ze złota i srebra, rzekłem jej, iż jest pełna radości.

Miałem na myśli to, iż jest piękną dziewczyną, bardzo młodą, a jednak ma wkrótce umrzeć, o czym wiedziała równie dobrze jak ja.

— Jestem pełna radości, ponieważ wkrótce ujrzę mojego pana — powiedziała mi na to.

Wówczas nie wypiła ona jeszcze miodu i wyraziła prawdę swego serca. Oblicze jej promieniało tak, jak promienieje szczęśliwe dziecko albo niektóre kobiety, kiedy są brzemiennie; taka była natura tego zjawiska.

Odezwałem się zatem:

— Powiedz swojemu panu, kiedy go zobaczysz, że przeżyłem, aby wszystko spisać.

Nie wiem, czy zrozumiała te słowa. Dodałem więc:

— Takie było życzenie twojego pana.

— A zatem powiem mu — odparła i z największą radością ruszyła do następnego wojownika Buliwyfa. Nie wiem, czy pojęła sens tego, o czym mówiłem, ponieważ jedynym wyobrażeniem o piśmie, jakie mają ci ludzie Północy, jest rzeźbienie w drewnie lub kamieniu, czym zajmują się oni bardzo rzadko. Poza tym moja mowa w języku Północy nie była wyraźna. Ona jednakże była pełna otuchy i robiła swoje.

Otóż wieczorem, kiedy słońce schodziło do morza, przygotowano statek Buliwyfa na plaży i dziewczynę tę zabrano do namiotu na statku, a stara kobieta, zwana aniołem śmierci, wbiła sztylet pomiędzy jej żebra, ja zaś i Herger trzymaliśmy powróż, który ją udusił. Posadziliśmy ją koło Buliwyfa, a potem odeszliśmy.

Przez cały ten dzień nie przyjmowałem jedzenia ani picia, ponieważ wiedziałem, że będę musiał uczestniczyć w tych wydarzeniach, i nie chciałem sprawiać sobie kłopotu wymiotowaniem. Jednakże nie odczuwałem ataków mdłości przy żadnym z czynów owego dnia, nie było mi słabo ani też nie upadłem na duchu. W głębi serca byłem z tego dumny. Prawdą jest też, że w chwili śmierci owa dziewczyna uśmiechnęła się i ten wyraz pozostał, toteż siedziała obok swego pana z tym samym uśmiechem na bladej twarzy. Oblicze Buliwyfa było czarne, a oczy zamknięte, ale rysy jego wyrażały uspokojenie. Takimi oto po raz ostatni ujrzałem tych dwoje ludzi Północy.

Teraz statek Buliwifa został podpalony i zepchnięty na morze, a Normanowie stali na kamienistym brzegu i po wielekroć przyzywali swoich bogów. Na własne oczy widziałem ten statek unoszony prądami jako płonący stos, aż wreszcie zniknął z pola widzenia i pogrzyżł się w ciemnościach nocy, zapadającej nad tą północną krainą.

POWRÓT Z KRAINY PÓŁNOCY

Spędziłem jeszcze kilka dalszych tygodni w towarzystwie wojowników i szlachciców z królestwa Rothgara. Był to przyjemny czas, ponieważ ludzie ci byli łaskawi i gościnni; z wielką troską odnosili się do moich ran, które goiły się dobrze, dzięki Allahowi. Ale wkrótce zdarzyło się, iż zapragnąłem powrócić do mojego kraju. Wyjawiłem królowi Rothgarowi, że jestem emisariuszem kalifa Bagdadu i że muszę wypełnić zadanie, z jakim mnie wysłał, albo ściagnę na siebie jego gniew.

Nie wywarło to żadnego wrażenia na Rothgarze, który powiedział, że jestem szlachetnym wojownikiem, on zaś pragnie, abym pozostał na jego ziemiach i pędził żywot godny tak czczonego wojownika. Oświadczył, iż na zawsze pozostanę jego przyjacielem i że będę miał wszystko, czegokolwiek zapragnę spośród rzeczy, jakie on będzie władny mi dać. Jednakże nie chciał pozwolić mi na wyjazd i wynajdywał wszelkiego rodzaju wymówki i opóźnienia. Rothgar mówił, że muszę dbać o moje rany, chociaż obrażenia te wygoiły się już zupełnie; twierdził także, iż powinienem nabrać sił, chociaż było w pełni oczywiste, że już je odzyskałem. W końcu oznajmił, że muszę poczekać na wyposażenie statku, czego w żaden sposób nie rozpoczynał, a kiedy zapytałem go, w jakim czasie statek zostanie przygotowany, król dał mi wymijającą odpowiedź, jak gdyby zbytnio go to nie obchodziło. Zawsze, ilekroć naciskałem na niego, chcąc wyjechać, gniewał się i pytał, czy jestem niezadowolony z jego gościnności; musiałem odpowiadać na to, wychwalając jego łaskawość i na wszelkie sposoby wyrażając ukontentowanie. Niebawem doszedłem do przekonania, że ten stary król nie jest takim głupcem, za jakiego go wcześniej uważałem.

Udałem się do Hergera i przedstawiwszy mu swoje położenie, powiedziałem:

— Ten król nie jest takim głupcem, za jakiego go miałem.

W odpowiedzi Herger rzekł:

— Mylisz się, gdyż jest to głupiec i nie postępuje zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

— Po czym dodał, że załatwi z królem sprawę mojego wyjazdu.

Oto, w jaki sposób tego dokonał: Herger poprosił o prywatne posłuchanie u Rothgara i powiedział królowi, iż jest on wielkim i mądrym władcą, którego

ludzie kochają i szanują dzięki poświęceniu, z jakim troszczy się o sprawy królestwa i o dobrobyt swojego ludu. To pochlebstwo ugłaskało starca. Później Herger powiedział mu, iż z pięciu synów króla przeżył tylko jeden, a był to ów Wulfgar, który pojechał do Buliwyfa jako wysłannik, teraz zaś przebywa daleko. Herger rzekł, iż Wulfgar powinien zostać wezwany do domu i że należy przygotować wyprawę w tym celu, ponieważ nie ma innego dziedzica prócz Wulfgara.

O wszystkich tych rzeczach powiedział on królowi. Przypuszczam też, iż zamienił na osobności kilka słów z królową Weilew, która miała duży wpływ na swego męża.

Następnie zdarzyło się w czasie pewnej wieczornej uczy, że Rothgar zażądał przygotowania statku i załogi do podróży w celu sprowadzenia Wulfgara do królestwa. Poprosiłem o włączenie mnie do załogi, i tego stary król nie mógł mi odmówić. Wyszukowanie statku zajęło kilka dni. W tym okresie spędzałem wiele czasu z Hergerem. Dokonał on już wyboru i zdecydował się pozostać.

Pewnego dnia staliśmy na skałach, patrząc z góry na statek na plaży, który przygotowywano do podróży i zaopatrywano w niezbędne zapasy. Herger rzekł do mnie:

— Wyruszasz w daleką podróż. Będziemy odprawiać modły za twoje ocalenie.

Zapytałem, do kogo będzie się modlił, on zaś odrzekł:

— Do Odyna i Frei, i Thora, i Wyrda oraz do różnych innych bogów, którzy mogą wpłynąć na to, by twoja podróż była bezpieczna.

Są to imiona normańskich bogów.

Odpowiedziałem:

— Ja wierzę w jednego Boga, którym jest Allah, Wszechmiłosierny i Współczujący.

— Wiem o tym — odparł Herger. — Może w twojej krainie wystarcza jeden Bóg, ale nie tutaj; tu jest wielu bogów, a każdy ma swoje znaczenie, przeto do nich wszystkich będziemy się modlili o twoją pomyślność.

Podziękowałem mu zatem, ponieważ modlitwy niewiernego są tylko wtedy dobre, kiedy są szczere, a nie wątpiłem w szczerą Hergera.

Otóż Herger od dawna wiedział, że wierzę inaczej niż on, ale kiedy zbliżał się czas mojego wyjazdu, znów wiele razy wypytywał o moje wierzenia, i to w niezwykle momentach, jakby zamierzał przyłapać mnie na chwili nieuwagi i poznać prawdę. Pojąłem, że jego liczne pytania były rodzajem próby, ponieważ Buliwyf kiedyś w podobny sposób sprawdzał moją znajomość pisma. Zawsze odpowiadałem mu tak samo, zwiększając przez to jego zakłopotanie.

Pewnego dnia powiedział do mnie, tak jak gdyby wcześniej nigdy mnie o to nie pytał:

— Jaka jest natura twojego Boga Allaha?

— Allah jest jedynym Bogiem, który włada wszystkimi rzeczami, widzi wszystko, wie

o wszystkim i wszystkim rozporządza — odrzekłem.

Słowa te wypowiadałem już wcześniej.

Po pewnym czasie Herger zapytał:

— Czy ty nigdy nie wzbudzasz gniewu owego Allaha?

— Wzbudzam, lecz On jest wszechwybaczący i miłosierny — odparłem.

— Kiedy to odpowiada jego zamiarom? — zapytał Herger.

Powiedziałem, że tak właśnie jest, a Herger rozważał moją odpowiedź. Wreszcie rzekł, potrząsając głową:

— Ryzyko jest zbyt wielkie. Człowiek nie może pokładać zbyt wielkiej wiary w czymś jednym; ani w kobiecie, ani w koniu, ani w broni, ani w żadnej pojedynczej rzeczy.

— Jednakże ja tak czynię — odparłem.

— Albowiem uważasz to za najlepsze — powiedział Herger — ale zbyt wielu rzeczy człowiek nie zna. A to, czego człowiek nie zna, to dziedzina bogów.

W ten sposób dowiedziałem się, że on nigdy nie przekona się do mojej wiary, ani ja do jego, i tak rozstaliśmy się. Prawdę mówiąc, było to smutne pożegnanie i z ciężkim sercem opuszczałem Hergera i pozostałych wojowników. Herger również odczuwał smutek. Ścisnąłem jego ramię, a on moje, potem wsiadłem na czarny statek, który zabierał mnie do krainy Danów. Kiedy statek wraz ze swą dzielną załogą oddalał się od wybrzeży Venden, widziałem na horyzoncie błyszczące szczyty dachu wielkiego dworu Hurot, a odwróciwszy się, szarą i ogromną przestrzeń morza przed nami.

Otóż wydarzyło się...

Rękopis urywa się nagle w tym miejscu, przy końcu przepisanej strony, przy ostatnich zwięzłych słowach „nunc fit”, i chociaż wyraźnie widać, że stron było więcej, dalsze fragmenty nie zostały odnalezione. Jest to, rzecz jasna, czysty historyczny przypadek, jednakże każdy tłumacz zwracał uwagę na dziwną stosowność tego nagłego zakończenia, sugerującego początek jakiejś nowej przygody, jakiś nowy niezwykle widok, który z pewnych arbitralnych powodów, jakie mogły zaistnieć w ciągu minionego tysiąclecia, nie zostanie nam przekazany.

Dodatek

POTWORY Z MGŁY

Jak podkreśla William Howells, rzadko zdarza się, że jakieś żyjące zwierzę umiera w taki sposób, iż może przetrwać jako skamielina przez nadchodzące wieki. Odnosi się to zwłaszcza do tak małego, kruchego, naziemnego stworzenia, jakim jest człowiek, toteż skamieniałe świadectwo istnienia najdawniejszych ludzi jest nad wyraz ubogie.

Podręcznikowe wykresy „drzewa człowieka” zakładają pewność uzyskanej wiedzy, co jest mylące; drzewo to trzeba poprawiać i oczyszczać ze zbędnych gałęzi co kilka lat. Jednym z najbardziej spornych i powodujących największe trudności konarów owego drzewa jest ten, do którego zazwyczaj przyczepiamy etykietkę „człowiek neandertalski”.

Jego określenie pochodzi od nazwy doliny w Niemczech, w której w roku 1856 odkryto pierwsze szczątki należące do przedstawiciela tego gatunku. Było to trzy lata przed opublikowaniem pracy Darwina *O powstawaniu gatunków*. Świat wiktoriański poczuł się wielce dotknięty tymi skamieniałymi szkieletami; podkreślano nieokrzesany i zwierzęcy wygląd człowieka neandertalskiego. Do dzisiaj samo słowo „neandertalczyk” jest, wedle popularnych wyobrażeń, synonimem wszystkiego, co w ludzkiej naturze prymitywne i bestialskie.

Z poczuciem pewnego rodzaju ulgi dawniejsi uczeni uznali, że człowiek neandertalski „zniknął” około 35 000 lat temu i został zastąpiony przez człowieka z Cro-Magnon, którego zachowane szczątki kostne wydawały się świadczyć o wielkiej delikatności, wrażliwości i inteligencji, tak jak czaszka neandertalczyka wskazywała na potworne zezwierzęcenie. Powszechne było przeświadczenie, iż ten doskonalszy, współczesny człowiek z Cro-Magnon wymordował neandertalczyków.

Jednak w materiale kostnym, jakim dysponujemy, mamy bardzo mało odpowiednich próbek pochodzących od człowieka neandertalskiego — spośród osiemdziesięciu znanych fragmentów jedynie około tuzina jest wystarczająco kompletnych lub na tyle dokładnie datowanych, by stanowiły podstawę poważnych badań. Nie możemy więc określić z żadną dozą pewności, jak dalece rozpowszechnioną formę stanowił ten

gatunek ani co się z nim stało. Przeprowadzone ostatnio ponowne badania materiału kostnego podważyły wiktoriańską wiarę w ohydny, na wpół ludzki wygląd człowieka neandertalskiego.

W swoim sprawozdaniu z roku 1957 Straus i Cave pisali: „Gdyby można go było ponownie ożywić i wsadzić do nowojorskiego metra — pod warunkiem, że byłby wykąpany, ogolony i odziany we współczesne ubranie — wątpliwe, czy ściągnąłby na siebie więcej uwagi niż którykolwiek z naturalizowanych obywateli”.

Inny antropolog ujął rzecz jeszcze dobitniej: „Mógłbyś pomyśleć, iż wygląda on nieco topornie, ale nie sprzeciwiłbyś się, gdyby twoja siostra chciała go poślubić”.

Stąd już tylko jeden krok do przekonania niektórych antropologów, że człowiek neandertalski, jako anatomiczna odmiana człowieka współczesnego, nigdy nie zniknął, ale wciąż jest z nami.

Reinterpretacja kulturowych uprzedzeń związanych z człowiekiem neandertalskim również wpływa na zmianę punktu widzenia i życzliwsze spojrzenie na ten gatunek. Dawni antropolodzy pozostawali pod wielkim wrażeniem piękna i obfitości rysunków jaskiniowych, które po raz pierwszy pojawiają się wraz z nadejściem człowieka z Cro-Magnon; tak jak dostępny materiał kostny, rysunki te wspomagały teorię o wspaniałej nowej wrażliwości, która zastąpiła „brutalne nieokrzesanie”.

Jednakże człowiek neandertalski jest również godny uwagi ze względu na swe dokonania. Jego kultura, zwana mustierską — od nazwy stanowiska Le Moustier we Francji — charakteryzuje się pracami kamieniarskimi dość wysokiej klasy, o wiele doskonalszymi niż na jakimkolwiek wcześniejszym poziomie kulturowym. Obecnie zaś odkryto, iż człowiek neandertalski wytwarzał też narzędzia z kości.

Najbardziej poruszający ze wszystkich jest fakt, iż człowiek ów był pierwszym z naszych przodków, który rytualnie chował swoich zmarłych. W Le Moustier umieszczono w rowie w pozycji leżącej kilkunastoletniego chłopca; zaopatrzone go w zapas narzędzi krzemienych, w kamienny topór i pieczone mięso. Większość antropologów nie ma wątpliwości, iż rzeczy te były przeznaczone do użytku nieboszczyka w jakiejś formie życia pozagrobowego.

Istnieją też inne dowody uczuć religijnych: w Szwajcarii znajduje się miejsce kultu jaskiniowego niedźwiedzia, stworzenia, któremu oddawano boską cześć, które wielbiono, a także zjadano, w jaskini natomiast Shanidar w Iraku neandertalczyk pochowany został z kwiatami w grobie.

Wszystko to wskazuje na pewną postawę wobec życia i śmierci, na świadome widzenie świata, które jest jądrem wszystkiego, co wedle naszych przekonań wyróżnia człowieka myślącego spośród reszty stworzeń. Na podstawie istniejących dowodów musimy uznać, iż postawę taką po raz pierwszy przejawiał człowiek neandertalski.

Powszechna rewizja poglądów na człowieka neandertalskiego zbiega się z ponownym odkryciem opisu spotkania ibn-Fadlana z „potworami z mgły”; jego opis tych stworzeń przywołuje na myśl anatomię neandertalczyka i nasuwa pytanie, czy rzeczywiście forma neandertalska zniknęła z powierzchni ziemi tysiące lat temu, czy też ci pierwotni ludzie przetrwali do czasów historycznych.

Argumenty oparte na analogiach działają w obie strony. Istnieją historyczne przykłady wpływu garstki ludzi o wyższym poziomie kultury technologicznej, którzy wypierali zbiegiem lat społeczność bardziej prymitywną; chodzi przede wszystkim o historię spotkania Europejczyków z Nowym Światem. Ale istnieją też przykłady społeczeństw prymitywnych, żyjących w izolowanych obszarach i nie znanych bardziej rozwiniętym, cywilizowanym ludom w ich bliskim sąsiedztwie. Tego rodzaju plemię odkryto ostatnio na Filipinach.

Akademicką dysputę na temat ibn-Fadlanowskich stworzeń można zwięźle podsumować, przedstawiając zapatrywania Geoffreya Wrightwooda z Uniwersytetu w Oksfordzie oraz E. D. Goodricha z Uniwersytetu w Filadelfii. Wrightwood twierdzi (1971): „Świadeństwo ibn-Fadlana daje doskonały, pożyteczny opis człowieka neandertalskiego, zgodny ze świadectwem z wykopalisk oraz z naszymi przypuszczeniami na temat poziomu kulturowego tych pierwotnych ludzi. Powinniśmy uznać go natychmiast, o ile nie zdecydowaliśmy jeszcze, iż ludzie ci zniknęli bez śladu jakieś 30-40 000 lat wcześniej. Musimy pamiętać, iż my jedynie zakładamy owo zniknięcie, ponieważ nie odnaleźliśmy żadnych skamielin z czasów późniejszych, a brak takich wykopalisk nie oznacza jeszcze, że one faktycznie nie istnieją.

(...) Obiektywnie nie istnieje żaden powód *a priori* upoważniający do zaprzeczenia, że pewna grupa neandertalczyków mogła przetrwać bardzo długo na izolowanym obszarze w Skandynawii. W każdym razie takie przypuszczenie najlepiej odpowiada opisowi zawartemu w tym arabskim tekście”.

Goodrich, paleontolog znany ze swego sceptycyzmu, przyjmuje przeciwny punkt widzenia (1972): „Ogólna dokładność relacji ibn-Fadlana skłania nas do pomijania pewnych nadużyć w jego rękopisie. Jest ich kilka, a wynikają albo z uprzedzeń kulturowych, albo z pisarskiej chęci wywarcia jak największego wrażenia. Nazywa on wikingów olbrzymami, podczas gdy z całą pewnością nimi nie byli; podkreśla, że jego gospodarze byli wyjątkowo brudni i skłonni do pijaństwa, czego mniej wybredni obserwatorzy nie uważali wcale za aż tak szokujące. W swoim opisie tak zwanych wendoli uwypukla ich bujne owłosienie i zwierzęcy wygląd, gdy tymczasem mogli oni nie być aż tak owłosieni ani tak podobni do zwierząt. Mogli po prostu być plemieniem należącym do *Homo sapiens*, żyjącym w izolacji, które nie osiągnęło poziomu kultury Skandynawów.

Istnieje dowód wewnętrzny, w ramach samego tekstu ibn-Fadlana, potwierdzający

pogląd, iż «wendole» to w istocie *Homo sapiens*. Figurki przedstawiające ciężarną samicę, opisane przez Araba, nieodparcie przywodzą na myśl prehistoryczne rzeźby i figurki, jakie można znaleźć w przemysłowych okolicach Aurignac we Francji oraz na terenie wykopalisk grawecjańskich w Willendorf w Austrii, na poziomie 9. Zarówno w Aurignac, jak i w przypadku wykopalisk grawecjańskich poziom kulturowy właściwy jest w zasadzie człowiekowi współczesnemu, a nie człowiekowi neandertalskiemu.

Nigdy nie możemy zapominać, że dla niewprawnych obserwatorów różnice kulturowe są często tożsame z różnicami fizycznymi, nie trzeba zatem być bardzo naiwnym, by popełnić ten błąd. Tak więc nawet tak późno, w latach osiemdziesiątych XIX wieku, wykształceni Europejczycy mogli się głośno zastanawiać, czy Murzynów z prymitywnych społeczności afrykańskich należy uważać za istoty ludzkie, czy też stanowią oni jakieś dziwaczne skrzyżowanie ludzi i małp. Nie możemy też pominąć stopnia, w jakim mogą istnieć obok siebie społeczeństwa o niezwykle zróżnicowanych poziomach osiągnięć kulturowych; takie kontrasty występują obecnie na przykład w Australii, gdzie można odkryć epokę kamienia łupanego istniejącą w bliskiej odległości od epoki odrzutowców. Zatem interpretując opisy ibn-Fadlana, nie powinniśmy zakładać istnienia reliktyw neandertalskich, chyba że odpowiada to naszej skłonności do fantazjowania”.

Ostatecznie argumenty te napotykają przeszkodę w postaci samej metody naukowej. Fizyk Gerhard Robbins zauważa, że „ściśle mówiąc, nigdy nie można dowieść żadnej hipotezy czy teorii. Można jedynie wykazać ich fałszywość. Kiedy mówimy, że wierzymy w jakąś teorię, znaczy to jedynie tyle, iż nie jesteśmy w stanie wykazać, że teoria ta jest nieprawdziwa — nie zaś, iż możemy dowieść, ponad wszelką wątpliwość, że teoria ta jest słuszna.

Teoria naukowa może istnieć przez całe lata, a nawet wieki, i można gromadzić setki pojedynczych dowodów na jej potwierdzenie. Jednakże ma ona zawsze jakiś słaby punkt i wystarczy jedynie małe, sprzeczne z nią odkrycie, aby wprowadzić zamęt, odrzucić hipotezę i domagać się nowej teorii. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka sprzeczność zostanie wykryta. Może zdarzy się to jutro, a może nigdy. Ale historia nauki jest usłana ruinami potężnych budowli, które runęły przez przypadek czy przez jakąś błahostkę”.

To właśnie miał na myśli Geoffrey Wrightwood, kiedy w roku 1972 na VII Międzynarodowym Sympozjum Paleontologii Człowieka w Genewie mówił: „Wszystkim, czego potrzebuję, jest jedna czaszka albo fragment czaszki czy kawałek szczęki. Prawdę mówiąc, trzeba mi jednego właściwego zęba i cała debata jest skończona”.

Zanim taki kosztny dowód zostanie odkryty, spekulacje będą kontynuowane, a każdy może zająć w tym sporze pozycję, jaka odpowiada jego wewnętrznemu poczuciu prawdy.

ŹRÓDŁA

I. ŹRÓDŁA PODSTAWOWE

Yakut ibn-Abdallah, rękopis, leksykon geograficzny, 1400(?); nr 1403A-1589A. Uniwersytecka Biblioteka Archiwaliów, Oslo, Norwegia.

Tłum.: Blake Robert, Frye Richard, w: *Byzantina — Metabyzantina: A Journal of Byzantine and Modern Greek Studies*, Nowy Jork 1947.

Cook Albert S., Nowy Jork 1947

Fraus-Dolus Per, Oslo 1959-1960

Jorgensen Olaf, 1971, nie publikowane

Nasir Seyed Hossein, 1971, nie publikowane.

Rękopis z Sankt-Petersburga, historia lokalna, opublikowana przez Akademię w Sankt-Petersburgu, 1823; nr 233M-278M. Uniwersytecka Biblioteka Archiwaliów, Oslo, Norwegia.

Tłum.: Fraus-Dolus Per, Oslo 1959-1960.

Stenuit Roger, 1971, nie publikowane

Soletsky V.K., 1971, nie publikowane

Ahmad Tusi, rękopis, geografia, 1047, zbiory J. H. Emersona, nr LV 01-114. Uniwersytecka Biblioteka Archiwaliów, Oslo, Norwegia.

Tłum.: Fraus-Dolus Per, Oslo, 1959-1960.

Nasir Seyed Hossein, 1971, nie publikowane

Hitti A.M., 1971, nie publikowane

Amin Razi, rękopis, historia wojen, 1585-1595, zbiory J. H. Emersona; nr LV 207-244. Uniwersytecka Biblioteka Archiwaliów, Oslo, Norwegia.

Tłum.: Fraus-Dolus Per, Oslo, 1959-1960.

Bendixon Robert, 1971, nie publikowane

Porteus Eleanor, 1971, nie publikowane

Rękopis z Ksymos, geografia we fragmentach, bez daty, z zapisu majątku A. G.

Gavrasa; nr 2308T-2348T. Uniwersytecka Biblioteka Archiwaliów, Oslo, Norwegia.

Tłum.: Fraus-Dolus Per, Oslo, 1959-1960.

Bendixon Robert, 1971, nie publikowane

Porteus Eleanor, 1971, nie publikowane

II. ŹRÓDŁA DRUGORZĘDNE

Berndt E., Berndt R.H.: *An Annotated Bibliography of References to the Manuscript of ibn-Fadlan from 1794 to 1970*. Acta Archaeologica, VI: 334-389, 1971.

To znakomite zestawienie odsyła zainteresowanego czytelnika do wszystkich drugorzędnych źródeł, zawierających wzmianki o rękopisie, jakie ukazały się w językach: angielskim, norweskim, szwedzkim, duńskim, rosyjskim, francuskim, hiszpańskim i arabskim we wskazanym okresie. Ogólna liczba wymienionych źródeł wynosi 1042.

III. OPRACOWANIA OGÓLNE

Niżej wymienione publikacje są zrozumiałe dla każdego czytelnika i nie wymagają szczególnego przygotowania archeologicznego czy historycznego. Uwzględniono jedynie prace w języku angielskim.

Wilson D.M., *The Vikings*, Londyn 1970.

Brondsted J., *The Vikings*, Londyn 1960, 1965.

Arbman H., *The Vikings*, Londyn 1961.

Jones G., *A History of the Vikings*, Oksford 1968.

Sawyer P., *The Age of the Vikings*, Londyn 1962.

Foote P.G., Wilson D. M., *The Viking Achievement*, Londyn 1970.

Kendrick T.D., *A History of the Vikings*, Londyn 1930.

Azhared Abdul, *Necronomicon* (wyd. H. P. Lovecraft), Providence, Rhode Island 1934.

PRZYPISY

¹ Ibn-Fadlan niedokładnie podaje liczebność i skład swojej wyprawy. Czy ta wyraźna niedbałość wynika z przeświadczenia, że czytelnik zna skład karawany, czy też jest ona konsekwencją zaginięcia fragmentów tekstu, trudno rozstrzygnąć. Przyczyną mogą być również konwencje społeczne, gdyż ibn-Fadlan nigdzie nie stwierdza, że w jego grupie jest więcej niż kilka osób, podczas gdy w rzeczywistości liczyła ona prawdopodobnie stu lub więcej ludzi i dwa razy tyle koni i wielbłądów. Ale ibn-Fadlan nie uwzględnia — formalnie — niewolników, służących i pomniejszych członków karawany.

² Farzan, zagorzały wielbiciel ibn-Fadlana, uważa, iż w tym akapicie przejawia się „wnikliwość współczesnego antropologa, relacjonującego nie tylko obyczaje tego ludu, ale także mechanizmy, które wymuszają stosowanie się do tych obyczajów. Ekonomiczne znaczenie zabijania koni nomadycznego przywódcy jest, w przybliżeniu, odpowiednikiem współczesnych podatków spadkowych, to znaczy wymierzone jest przeciw nadmiernej akumulacji odziedziczonego bogactwa w jakiejś rodzinie. Chociaż wymagana przez religię, nie mogła to być praktyka powszechna, a w żadnym razie nie bardziej, niż dzieje się to w czasach obecnych. Ibn-Fadlan z niezwykłą wnikliwością ukazuje sposób, w jaki narzuca się ją opornym”.

³ W rzeczywistości terminem, jakiego mówiąc o nich używa ibn-Fadlan, jest słowo „Rus”, nazwa tego właśnie, konkretnego plemienia Normanów. W swoim tekście ibn-Fadlan określa czasem Skandynawów ich konkretną nazwą plemienną, czasami zaś posługuje się terminem ogólnym, nazywając ich „Waregami”. Historycy ograniczają obecnie zastosowanie terminu „Wareg” do skandynawskich najemników wojennych w służbie Cesarstwa Bizantyjskiego. Aby uniknąć mylenia pojęć, w niniejszym tłumaczeniu wszędzie zastosowano terminy: „Normanowie” i „wikingowie”.

⁴ Arabowie zawsze obawiali się tłumaczenia Koranu. Pierwsi szejkwowie utrzymywali, że święta księga nie może być tłumaczona; zakaz ten był najprawdopodobniej spowodowany względami religijnymi. Ale każdy, kto kiedykolwiek próbował coś przełożyć, zgodzi się z jak najbardziej świeckim wyjaśnieniem: arabski jest z samej swej natury językiem bardzo zwięzłym, Koran zaś ma kompozycję utworu poetyckiego i jest przez to jeszcze bardziej treściwy. Trudności z zachowaniem dosłownego znaczenia — nie mówiąc już o urodzie i wdzięku oryginału — powodują, że tłumacze poprzedzają

swoje twory wstępami zawierającymi rozwlekłe i nędzne usprawiedliwienia.

Jednocześnie islam jest aktywnym, ekspansywnym nurtem myślowym, a wiek X był jednym ze szczytowych okresów jego rozprzestrzeniania się. Ekspansja ta w sposób nieunikniony wymagała tłumaczeń na użytek nowo nawróconych, toteż przekłady powstawały, ale nigdy nie były one udane z punktu widzenia Arabów.

⁵ Samo to było już wstrząsające dla arabskiego obserwatora z ciepłego klimatu. Praktyka muzułmańska wymagała szybkiego pogrzebu, często w dniu śmierci, po krótkiej ceremonii rytualnego obmycia i modłach.

⁶ Czy też może: „oszałała”. Rękopis łaciński podaje: *cerritus*, ale arabski tekst Yakuta zawiera: **سَعِدٌ** „oszołomiona” lub „oślepiąca”.

⁷ Interesujące, że zarówno w arabskim, jak i w łacińskim tekście występuje tu słowo „choroba”.

⁸ Zdanie to unaocznia niebezpieczeństwa przekładu. W oryginalnym tekście arabskim Yakuta czytamy: **لَا مَعِيَ كَلِمَةٌ أَنْ أَجِدَ أَنْ تَكْتُبَ**, co znaczy dosłownie: „Nie ma nazwy, którą mogę wymówić”. W rękopisie z Ksymos zastosowano łaciński czasownik *dare*, o znaczeniu: „Nie mogę nadać temu nazwy”, implikującym, że tłumacz nie zna właściwego słowa w języku nienordyckim. Rękopis Raziego, który również obejmuje poszczególne kwestie wypowiedziane przez tłumacza, zawiera słowo *edere* o znaczeniu: „Nie ma nazwy, którą mogę uczynić znaną (tobie)”. Ten przekład jest bardziej adekwatny. Norman ów po prostu obawia się wyrzec to słowo, żeby nie wywołać demonów. W języku łacińskim *edere* ma znaczenie: „wydać na świat” oraz „wywołać”, oprócz swego dosłownego znaczenia „wydawać”. Dalsze ustępy potwierdzają taką interpretację tego znaczenia.

⁹ Wulfgara pozostawiono. Jensen twierdzi, iż Normanowie zazwyczaj zatrzymywali posłańców jako zakładników i dlatego właśnie „odpowiednimi posłańcami byli synowie królów, możni szlachcice albo inne osoby, mające jakąś wartość dla własnej społeczności”. Olaf Jorgensen utrzymuje, że Wulfgar pozostał, ponieważ bał się wracać.

¹⁰ Niektórzy dawniejsi autorzy najwidoczniej sądzili, że znaczy to, iż żagiel był otoczony liną; istnieją osiemnastowieczne rysunki, na których żagle wikingów są obramowane linami. Nie ma żadnego dowodu na to, że tak właśnie było; ibn-Fadlan miał na myśli to, iż żagle były olinowane w sensie żeglarskim, tj. nachylone pod kątem pozwalającym najlepiej chwycić wiatr, za pomocą lin z foczej skóry jako fałów.

¹¹ Jest to typowo muzułmański punkt widzenia. Islam, inaczej niż chrześcijaństwo, religia, którą pod wieloma względami przypomina, nie kładzie nacisku na pojęcie grzechu pierwородnego, będącego rezultatem upadku człowieka. Dla muzułmanina grzechem jest zapomnienie o wypełnieniu codziennych obrzędów zgodnych z nakazami religii. Wskutek tego znacznie cięższym przewinieniem jest całkowite zapomnienie o danym rytuale niż pamiętanie o nim, lecz niewypełnienie go czy to z powodu niesprzyjających

okoliczność zewnętrznych, czy też z racji osobistej niemożności. Tak więc ibn-Fadlan powiada w istocie to, iż pamięta o właściwym zachowaniu, mimo że nie postępuje zgodnie z jego nakazami; lepsze to niż nic.

¹² Inne relacje naocznych świadków są sprzeczne z opisem traktowania niewolników i niewiernych żon w pismach ibn-Fadlana, przez co pewne autorytety kwestionują jego wiarygodność jako obserwatora życia społecznego. W rzeczywistości istniały zapewne znaczne różnice lokalne w zakresie przyjętego traktowania niewolników i niewiernych żon wśród poszczególnych plemion.

¹³ Wśród współczesnych uczonych zaistniał pewien spór w związku z pochodzeniem terminu „wiking”, ale większość zgadza się z ibn-Fadlanem, że pochodzi on od słowa „wik”, oznaczającego dopływ lub wąską rzekę.

¹⁴ Ścisłość niniejszego opisu ibn-Fadlana została potwierdzona przez bezpośrednie świadectwo archeologii. W roku 1948 odkopano wojskowe obozowisko Trelleborg w zachodniej Zelandii na terytorium Danii. Miejsce to odpowiada dokładnie opisowi ibn-Fadlana pod względem rozmiaru, charakteru i budowy tej osady.

¹⁵ Dosłownie: „człowiek dwuręczny”. Jak wynika z dalszej części tekstu, Normanowie walczyli oburącz, a przenoszenie broni z jednej ręki do drugiej było uważane za sztukę godną podziwu. Tak więc dwuręczny człowiek jest zręczny. Pokrewne znaczenie było kiedyś również nadawane słowu „chytry”, które obecnie znaczy „podstępny” i „wykrętny”, lecz uprzednio miało bardziej pozytywny sens: „pomysłowy, wynajdujący fortele”.

¹⁶ Relacja niniejsza, będąca, oczywiście, opisem oglądanych wielorybów, jest przedmiotem dyskusji wielu uczonych. Pojawia się ona w rękopisie Raziego, w wersji takiej jak tutaj, ale w tłumaczeniu Sjogrena jest znacznie krótsza; w tekście tym opisano, jak Normanowie robią Arabowi starannie zaplanowany żart. Według Sjogrena Normanowie znali wieloryby i odróżniali je od morskich potworów. Inni uczeni, łącznie z Hassanem, powątpiewają, by ibn-Fadlan mógł być nieświadomy istnienia wielorybów, tak jak wynika z niniejszego tekstu.

¹⁷ Popularne podobizny Skandynawów zawsze pokazują ich odzianych w hełmy z rogami. Jest to anachronizm; w czasie wizyty ibn-Fadlana hełmy takie nie były już używane od ponad tysiąca lat, czyli od wczesnej epoki brązu.

¹⁸ Opisywana figurka bardzo przypomina pewne rzeźby odkryte przez archeologów we Francji i Austrii.

¹⁹ *Ducere spiritu*, dosłownie: „wdychać”.

²⁰ Nie jest ona tym samym aniołem śmierci, który był wśród Normanów nad brzegami Wołgi. Najwidoczniej każde z plemion miało jakąś starą kobietę, która spełniała funkcje szamańskie, a którą nazywano aniołem śmierci. Jest to zatem termin ogólny.

²¹ Najwyraźniej na Skandynawach znacznie większe wrażenie robiła podstępność

i przewrotne okrucieństwo tych stworzeń niż fakt ich kanibalizmu. Jensen sugeruje, że kanibalizm mógł być nienawistny dla wikingów, ponieważ utrudniał wejście do Walhalli, raju poległych wojowników; nie ma jednak dowodów potwierdzających ten pogląd.

Natomiast dla ibn-Fadlana, który posiadał rozległą wiedzę, pojęcie kanibalizmu mogło implikować jakieś trudności w życiu pozagrobowym. Zjadacz Umarłych jest dobrze znanym stworzeniem z mitologii egipskiej; jest to straszliwa bestia z głową krokodyla, torsem lwa i plecami hipopotama. Ten mitologiczny Zjadacz Umarłych pożera grzeszników skazanych na Sądzie.

Warto przypomnieć, że przeważnie w całej historii ludzkości rytualny kanibalizm, w takiej czy innej formie, z takiego czy innego powodu, nie był ani rzadki, ani uważany za szczególnie godny uwagi. Człowiek pekiński, tak samo jak człowiek neandertalski byli najwyraźniej kanibalami; kanibalami byli również w różnych okresach, Scytowie, Chińczycy, Irlandczycy, Peruwiańczycy, Majorunowie, Jagowie, Egipcjanie, australijscy aborygeni, Maorysi, Grecy, Huroni, Irokezi, Paunisi oraz murzyńskie plemiona Aszanti.

W czasie, kiedy ibn-Fadlan przebywał w Skandynawii, inni arabscy kupcy byli w Chinach, gdzie zanotowali w swoich opisach, że ludzkie mięso — określane jako „dwunożna baranina” — było otwarcie i legalnie sprzedawane na targowiskach.

Martinson sugeruje, że Normanowie uważali kanibalizm wendoli za odrażający, ponieważ sądzili, iż ciałami wojowników karmiono kobiety, a zwłaszcza matkę wendoli. Nie ma żadnego dowodu na potwierdzenie i tego zapatrywania, ale gdyby tak istotnie było, z całą pewnością czyniłoby to śmierć wojownika-wikinga bardziej hańbiącą.

²² Arab był szczególnie skłonny do takiej opinii, ponieważ religijna sztuka islamu jest z założenia sztuką nieprzedstawiającą i jest jakościowo podobna do większości wytworów sztuki skandynawskiej, która często wydaje się skłaniać ku niefiguratywnemu wzornictwu. Jednakowoż wikingów nie obowiązywał zakaz przedstawiania bogów, toteż wyobrażenia bogów są częste w ich sztuce.

²³ **أُذِيَ** dosłownie: „żyły”. To arabskie słowo doprowadziło do kilku naukowych błędów; E. D. Graham pisał, na przykład, że „wikingowie przepowiadali przyszłość za pomocą rytuału wycinania żył zwierząt i rozkładania ich na ziemi”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to nieprawda; arabskie wyrażenie oznaczające oczyszczanie zwierzęcia brzmi: „wycinanie żył” i ibn-Fadlan ma tutaj na myśli szeroko rozpowszechnioną praktykę wróżenia z oglądanych wnętrzności. Językoznawcy, którzy przez cały czas zajmują się wyrażeniami charakterystycznymi dla danego języka, uwielbiają takie rozbieżności znaczeń; ulubionym przykładem Halsteada jest angielskie ostrzeżenie: *Look out!* („rozejrzyj się”), które zazwyczaj znaczy, że powinno się zrobić coś wręcz przeciwnego — dać nura, by się osłonić.

²⁴ Obrzezania.

²⁵ Ibn-Fadlan nie opisuje bazyliuszka, najwidoczniej zakładając, że jego czytelnikom dobrze znany jest ten mitologiczny stwór, który pojawia się w najwcześniejszych wierzeniach prawie wszystkich kultur zachodnich. Bazyliuszek jest przeważnie przedstawiany jako kogut z ogonem węża, o ośmiu nogach i czasami pokryty łuskami zamiast piór. Tym, co zawsze charakteryzuje bazyliuszka, jest jego spojrzenie, które zabija, tak jak spojrzenie Gorgony, jad zaś jego jest szczególnie śmiertelny. Zgodnie z niektórymi przekazami osoba, która zada cios bazyliuszce, zobaczy, jak jego jad przenosi się po mieczu aż na rękę. Człowiek taki będzie wówczas musiał odciąć własną dłoń, aby ocalić swe ciało.

Prawdopodobnie tego właśnie rodzaju niebezpieczeństwo ze strony bazyliuszka sprawiło, że został on tutaj wspomniany. Stary szlachcic daje ibn-Fadlanowi do zrozumienia, że bezpośrednia konfrontacja z intrygantami nie rozwiąże problemu. Co ciekawe, jedynym sposobem na zabicie bazyliuszka jest pokazanie mu jego wizerunku odbitego w lustrze; wówczas zostałby on uśmiercony przez własne spojrzenie.

²⁶ حذو، سوطاً* po arabsku, w tekstach łacińskich zaś: *verbera*. Obydwa słowa znaczą „chłostanie” lub „biczowanie” a nie „rozzucanie”, jak tłumaczy się zwykle w tym fragmencie. Zazwyczaj przyjmuje się, że ibn-Fadlan użył metafory „chłostanie błotem”, aby podkreślić ciężar tej zniewagi, która i tak jest dostatecznie wyraźna. Jednakowoż mógł on świadomie lub nieświadomie przekazać charakterystyczną skandynawską postawę wobec zniewag.

Inny arabski sprawozdawca, al-Tartushi, odwiedził miasto Hedeby A.D. 950 i tak opowiadał o Skandynawach: „Najbardziej specyficzne są ich kary. Mają jedynie trzy kary za wykroczenia. Pierwszą z nich, i budzącą największy lęk, jest wygnanie z plemienia. Drugą — być sprzedanym w niewolę, trzecią zaś jest śmierć. Kobiety, które popełnią czyn karygodny, są sprzedawane jako niewolnice. Mężczyźni zawsze wolą śmierć. Chłosta jest nie znana wśród Normanów”.

Ten punkt widzenia podziela, chociaż nie całkiem dokładnie, Adam z Bremy, niemiecki historyk kościelny, który pisał w 1075 roku: „Jeśli okaże się, że kobiety są bezwstydne, zostają one natychmiast sprzedane, ale jeżeli mężczyźni zostaną przyłapani na zdradzie albo jakimś innym wykroczeniu, wolą oni być ścięci niż wychłostani. Żadna forma kary inna niż topór lub niewolnictwo nie jest im znana”.

Historyk Sjogren przywiązuje dużą wagę do stwierdzenia Adama, iż mężczyźni woleliby raczej zostać ścięci niż wychłostani. To wydaje się sugerować, że chłosta była znana wśród Normanów; dowodzi on dalej, że była to najprawdopodobniej kara dla niewolników. „Niewolnicy są własnością, z ekonomicznego punktu widzenia nierozsądne jest więc zabijanie ich za drobne wykroczenia; z pewnością batożenie było przyjętą formą karania niewolnika. Tak więc możliwe, iż wojownicy uważali batożenie za karę hańbiącą, ponieważ było ono zarezerwowane dla niewolników”. Sjogren

utrzymuje również, że „wszystko, co wiemy o życiu wikingów, wskazuje na to, że była to społeczność oparta na idei hańby, a nie winy, jako negatywnego bieguna zachowań. Wikingowie nigdy nie czuli się winni z żadnego powodu, ale zażarcie bronili swego honoru i za wszelką cenę starali się unikać hańbiących czynów. Bierne poddanie się chłości musiało być oceniane jako hańbiące w najwyższym stopniu i daleko gorsze niż sama śmierć”.

Spekulacje te odsyłają nas znowu do rękopisu ibn-Fadlana i jego wyboru słów „chłostanie błotem”. Skoro Arab ten jest tu tak wymyślny, można by się zastanawiać, czyjego słowa są odbiciem przekonań wyznawcy islamu. W tym zakresie musimy pamiętać, że chociaż świat ibn-Fadlana był z całą pewnością podzielony na świat rzeczy i czynów czystych oraz rzeczy i czynów nieczystych, ziemia jako taka nie była konieczne nieczysta. Przeciwnie, *tayammum*, obmycie ziemią lub piaskiem, dokonywane jest wówczas, gdy niemożliwe jest rytualne obmycie wodą. A zatem ibn-Fadlan nie miał jakiegos szczególnego wstrętu do ziemi dotykającej człowieka; byłby znacznie bardziej rozstrojony, gdyby poproszono go o wypicie czegoś ze złotego kielicha, co było surowo zakazane.

²⁷ Najwyraźniej ten właśnie fragment stał się źródłem uwagi zapisanej w 1869 roku przez uczonego księdza, wielebnego Noela Harleigha, iż „wśród barbarzyńskich wikingów moralność była tak perwersyjnie przenicowana, że ich pojęcie jałmużny obejmowało należności płacone wytwórcom broni”. Wiktoriańska pewność siebie przewyższała u Harleigha jego wiedzę lingwistyczną. Normañskie słowo *alm* (ang. *elm*) oznacza wiąź, sprężyste drewno, z którego Skandynawowie wyrabiali łuki i strzały. Jedynie przez przypadek słowo to ma również angielskie znaczenie [angielskie słowo *alms* (jałmużna), oznaczające dobroczynne datki, uważa się zazwyczaj za pochodzące od greckiego *eleos*, litować się].

²⁸ *Linea adeps*; dosłownie: „linia tłuszczu”. Chociaż wiedza anatomiczna w tym fragmencie nigdy nie była podważana przez żołnierzy w ciągu tysiąca lat, jakie minęły od tamtej pory — ponieważ środkowa linia ciała jest miejscem, w którym znajdują się wszystkie nerwy i naczynia decydujące o życiu — dokładne pochodzenie tego terminu pozostaje nieznanne. Pod tym względem interesujące jest spostrzeżenie, że jedna z sag islandzkich opowiada o pewnym rannym wojowniku z 1030 roku, który wyciąga strzałę ze swej piersi i ogląda strzępy ciała przyczepione do grotu, po czym mówi, że ma wciąż jeszcze tłuszcz wokół swego serca. Większość uczonych zgadza się, że jest to ironiczna uwaga wojownika, który wie, że został śmiertelnie ranny; ma to sens również z punktu widzenia anatomii.

W 1874 roku amerykański historyk Robert Miller powołał się na ten fragment z dzieła ibn-Fadlana, kiedy mówił: „Chociaż byli okrutnymi wojownikami, wikingowie mieli słabą znajomość anatomii. Ludzie ich byli ćwiczeni, by celować w pionową linię

wyznaczającą środek ciała przeciwnika, ale czyniąc tak, oczywiście nie trafiali w serce, umieszczone, jak wiadomo, po lewej stronie”.

Ta słaba znajomość anatomii musi być przypisana Millerowi, a nie wikingom. W ciągu ostatnich kilkuset lat przeciętni ludzie Zachodu wierzyli, że serce usytuowane jest po lewej stronie; Amerykanie kładą dłoń na sercu, kiedy ślubują wierność sztandarowi; mamy silnie ugruntowany przekaz ludowy o żołnierzach ocalonych od śmierci przez Biblię, która noszona w kieszeni na piersi powstrzymuje fatalną kulę, i tak dalej. W rzeczywistości serce jest strukturą umieszczoną na linii środka, w różnym stopniu zwróconą w lewą stronę, ale zadanie rany w środek piersi zawsze przebije serce.

²⁹ Zgodnie z prawem boskim muzułmanie wierzą, że posłaniec Boga zakazuje okrucieństwa wobec zwierząt. Dotyczy to tak świeckich szczegółów, jak przykazanie natychmiastowego rozładowywania zwierząt jucznych, tak aby nie były one niepotrzebnie obciążone. Ponadto Arabowie zawsze znajdowali szczególne zadowolenie w prowadzeniu hodowli i trenowaniu koni. Skandynawowie nie przejawiają żadnych specjalnych uczuć wobec zwierząt; prawie wszyscy obserwatorzy arabscy komentują ich brak przywiązania do koni.

³⁰ Najwcześniejsi tłumacze rękopisu ibn-Fadlana byli chrześcijanami, nieznanymi kultury arabskiej, toteż ich interpretacje odzwierciedlają tę niewiedzę. W bardzo dowolnym przekładzie Włoch Lacalla (1847) podaje: „O poranku zbudziłem się z mego pijackiego odrętwienia jak zwykły pies i byłem wielce zawstydzony moim stanem”. Skovmand zaś w swoim komentarzu z roku 1919 stwierdza bez ogródek, że nie można dawać wiary opowieściom ibn-Fadlana, ponieważ był on pijany w czasie tych walk, co sam przyznaje. Nieco życzliwiej pisał w 1908 roku Du Chatellier, zagorzały miłośnik wikingów: „Arab ten prędko przyswoił sobie upojenie walką, które jest samą istotą heroicznego ducha wikingów”.

Jestem głęboko wdzięczny Massudowi Farzanowi, sufickiemu uczonemu, za wyjaśnienie aluzji, jaką robi tutaj ibn-Fadlan. W rzeczywistości porównuje on tutaj siebie do postaci z bardzo starego arabskiego dowcipu:

Pewien pijak wpada do kałuży swych własnych wymiocin przy drodze. Przechodzący tamtędy pies zaczyna oblizywać jego twarz. Pijak sądzi, że to jakaś dobra osoba czyści jego oblicze, i mówi przepełniony wdzięcznością: „Niech Allah uczyni twe dzieci posłusznymi”. Wówczas pies podnosi nogę i oddaje mocz na pijaka, który odwzajemnia mu się słowami: „I niech cię Bóg błogosławi, bracie, za to, żeś przyniósł ciepłą wodę do obmycia mojej twarzy”.

W języku arabskim dowcip ten nawiązuje do zwyczajowego zakazu pijaństwa oraz zawiera delikatne przypomnienie, że likwor to *khmer*, czyli plugastwo, tak jak mocz.

Ibn-Fadlan prawdopodobnie spodziewa się, że jego czytelnik pomyśli nie o tym, iż był on pijany, lecz raczej, że szczęśliwie uniknął obsuszenia przez psa, tak jak wcześniej

umknął śmierci w boju; innymi słowy, jest to aluzja do uniknięcia o włos kolejnego nieszczęścia.

³¹ Mocz jest źródłem amoniaku, znakomitego składnika czyszczącego.

³² Niektórzy znawcy mitologii twierdzą, że Skandynawowie nie zapoczątkowali idei wiecznej bitwy, i dowodzą, że jest to raczej koncepcja celtycka. Jakakolwiek byłaby prawda, jest rzeczą rozsądną twierdzić, że towarzysze ibn-Fadlana mogli przejąć to wyobrażenie, ponieważ w owych czasach Skandynawowie pozostawali w kontakcie z Celtami już od ponad stu pięćdziesięciu lat.

³³ *مَرَاةٌ خَوْفٍ*, dosłownie: „pustynia strachu”. W artykule z 1927 roku J. G. Tomlinson wskazał, że dokładnie to samo zdanie występuje w *Volsunga Saga*, i na tej podstawie dowodził, z całkowitą pewnością, że jest to ogólna nazwa oznaczająca ziemie zakazane. Tomlinson był najwidoczniej nieświadomy, że *Volsunga Saga* nie zawiera niczego takiego; dziewiętnastowieczne tłumaczenie Williama Morrisa istotnie podaje wers: „W najdalszej części świata znajduje się pustynia strachu”, ale zdanie to, będące własnym pomysłem Morrisa, występuje w jednym z wielu fragmentów, w których rozbudował on treść oryginalnej germańskiej sagi.

³⁴ Muzułmański zakaz picia alkoholu jest dosłownie sformułowany jako zakaz picia sfermentowanych owoców winorośli, to znaczy wina. Napoje ze sfermentowanego miodu są wyraźnie dozwolone dla muzułmanów.

³⁵ Powszechnym w psychiatrii wyjaśnieniem takich lęków przed utratą części ciała jest twierdzenie, iż wyrażają one strach przed kastracją. W przeglądzie z 1937 roku pod tytułem *Deformacje wizerunku ciała w społeczeństwach prymitywnych* Engelhardt zauważa, że w wielu kulturach to przekonanie wyrażone jest bezpośrednio. Na przykład brazylijskie plemię Nanamani karze przestępców seksualnych przez obcięcie lewego ucha; uważa się, że zmniejsza to potencję seksualną. Inne społeczności przypisują znaczenie utracie palców, paluchów u nogi lub, tak jak w przypadku Normanów, nosa. W wielu społeczeństwach rozpowszechniony jest przesąd wiążący wielkość nosa mężczyzny z rozmiarami jego penisa.

Emerson dowodzi, iż znaczenie nadawane nosowi w społeczeństwach prymitywnych jest odzwierciedleniem atawistycznych postaw z czasów, kiedy mężczyźni byli myśliwymi i w wielkim stopniu polegali na zmyśle węchu, który pozwalał im znajdować zwierzynę i unikać wrogów; przy takim trybie życia utrata węchu była doprawdy poważnym obrażeniem.

³⁶ W kręgu śródziemnomorskim, poczynając od czasów egipskich, karły uważane były za szczególnie inteligentne i godne zaufania, więc powierzano im zadania związane z księgowością i obrotem pieniężnym.

³⁷ Na blisko pięćdziesiąt szkieletów, które wiarygodnie można określić jako pochodzące z czasów wikingów, znalezionych w Skandynawii, średnia wysokość

wynosi około 170 centymetrów.

³⁸ Dahlmann (1924) pisze, że „przy uroczystych okazjach spożywano barana, aby wzmóc potencję, ponieważ rogaty samiec tego zwierzęcia uważany był za coś lepszego niż samica”. W rzeczywistości, w owych czasach zarówno barany, jak i owce miały rogi.

³⁹ Joseph Cantrell zauważa, że „istnieje pewna tendencja w mitologiach germańskiej i normańskiej, wyrażająca się w przeświadczeniu, że kobiety mają szczególne moce, właściwości magiczne, toteż mężczyźni powinni się ich bać i nie dowierzać im. Najważniejsi bogowie są mężczyznami, ale walkirie, co dosłownie znaczy: «wybierające poległych», to kobiety, które przenoszą zabitych wojowników do raju. Zgodnie z wierzeniami były trzy walkirie, tak jak były trzy norny, czyli boginie przeznaczenia, które pojawiały się przy narodzinach każdego mężczyzny i określały przebieg jego życia. Norny nosiły imiona: Urd — przeszłość, Werdandi — teraźniejszość oraz Skuld — przyszłość. Norny «przędły» los mężczyzny, a przędzenie było czynnością kobiecą; w popularnych wyobrażeniach były one przedstawiane jako młode dziewice. Wyrd, bóstwo anglosaskie władające przeznaczeniem — również było boginią. Przypuszczalnie takie powiązanie kobiet z losem mężczyzny było odmianą wcześniejszych idei czyniących kobiety symbolami płodności; boginie płodności panowały nad wzrastaniem i kwitnieniem roślin wydających owoce oraz nad rozwojem wszystkich żyjących istot”.

Cantrell zwraca również uwagę, że „w praktyce, wiemy, iż wróżby, czary, rzucanie uroków i inne funkcje szamańskie były w społeczności wikingów zastrzeżone dla starych kobiet. Poza tym popularne wyobrażenia o kobietach zawierały znaczną domieszką podejrzliwości. Zgodnie z *Havamalem*: «Nikt nie powinien ufać słowom dziewczyny ani kobiety zamężnej, albowiem serca ich zostały utoczone na obracającym się kole i są niestałe z natury»,,.

Bendixon powiada: „Wśród dawnych Skandynawów istniał swego rodzaju podział władzy w zależności od płci. Mężczyźni zarządzili sprawami fizycznymi; kobiety — sprawami psychologicznymi”.

⁴⁰ Jest to parafraza pewnego poglądu, rozpowszechnionego wśród Normanów, pełniej wyrażonego tak: „Nie chwal dnia, dopóki nie nadejdzie wieczór; kobiety, dopóki jej nie spalą miecza, dopóki go nie wypróbowano; panny, dopóki nie wyjdzie za mąż; lodu, dopóki po nim nie przejdiesz; piwa, dopóki nie zostanie wypite”. Ten rozważny, trzeźwy i do pewnego stopnia cyniczny punkt widzenia na naturę ludzką i na świat był tym, co łączyło Skandynawów i Arabów. Arabowie, podobnie jak Skandynawowie, często wyrażają go w doczesnych i satyrycznych obrazach. Istnieje pewna suficka opowiadka o człowieku, który pytał mędrca: „Przypuśćmy, że podróżują po jakiejś okolicy i muszą dokonać rytualnego obmycia w strumieniu. W którą stronę mam się obrócić w czasie spełniania tego obrzędu?” Na to mędrzec ów odpowiedział: „W stronę twoich ubrań, żeby ich nikt nie ukradł”.

⁴¹ Na wyspach Faeroe w Danii nadal stosowana jest podobna metoda wdzierania się na skaliste urwiska w celu podbierania ptasich jaj, ważnego źródła pożywienia wyspiarzy.

⁴² Niniejszy opis cech fizycznych wendoli wywołał łatwą do przewidzenia dyskusję. Patrz: Dodatek.

⁴³ *Lectulus*.

⁴⁴ *Fenestra porcus*, dosłownie: „świńskie okno”. Zamiast szkła Normanowie używali do przesłaniania okien naprężonych błon. Błony te przepuszczały światło. Nie można było wiele przez nie zobaczyć, ale światło wpadało do wnętrza domów.

⁴⁵ Ten fragment manuskryptu został skompletowany na podstawie rękopisu Razięgo, którego głównym punktem zainteresowania były techniki wojenne. Nie wiadomo, czy ibn-Fadlan wiedział albo napisał o znaczeniu ponownego ukazania się Buliwyfa. Z całą pewnością Razi o tym nie pisze, chociaż waga tego faktu jest dostatecznie wyraźna. W mitologii wikingów Odyn powszechnie przedstawiany jest jako postać niosąca kruka na każdym z ramion. Ptaki te przynoszą mu wszystkie wieści ze świata. Odyn był najważniejszym bóstwem w panteonie wikingów i uważano go za Wszechojca. Rządził on zwłaszcza sprawami wojny; wierzono, że od czasu do czasu pojawia się wśród ludzi, chociaż rzadko w swej boskiej postaci, gdyż wolał przybierać wygląd zwykłego podróżnika. Mówiono, że wrogów przerażała i płoszyła sama jego obecność.

Co ciekawe, istnieje pewien przekaz o Odynie, zgodnie z którym został on zabity i powstał z martwych po dziewięciu dniach; większość autorzytetów uważa, iż idea ta wyprzedza jakikolwiek wpływ chrześcijaństwa. W każdym razie ów zmartwychwstały Odyn nadal był śmiertelny i wierzono, iż pewnego dnia umrze ostatecznie.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	4
POCHODZENIE RĘKOPISU	
WIKINGOWIE	
WYJAZD Z MIASTA POKOJU	11
OBYCZAJE TURKÓW Z PLEMIENIA OGUZ	15
PIERWSZE ZETKNIĘCIE Z NORMANAMI	20
NASTĘPSTWA NORMAŃSKIEGO POGRZEBU	26
PODRÓŻ DO ODLEGŁEJ KRAINY	31
OBOZOWISKO W TRELBURGU	42
KRÓLESTWO ROTHGARA NA ZIEMI VENDEN	48
WYPADKI, KTÓRE NASTĄPIŁY PO PIERWSZEJ BITWIE	63
ATAK OGNISTEGO SMOKA KORGONA	73
PUSTYNIA STRACHU	82
RADA KARŁA	88
WYDARZENIA W NOCY PRZED ATAKIEM	92
JASKINIE GROMU	94
AGONIA WENDOLI	103
POWRÓT Z KRAINY PÓŁNOCY	108
Dodatek	111
POTWORY Z MGŁY	

ŹRÓDŁA	115
I. ŹRÓDŁA PODSTAWOWE	
II. ŹRÓDŁA DRUGORZĘDNE	
III. OPRACOWANIA OGÓLNE	
PRZYPISY	117